

LEBROWSKI CHCE BAWIĆ • TOMEK LIPINSKI PROSI O CISZĘ • WITKACY JEDNAK NIE ŻYJE

PRZE KROJ

NR 12/3378 / 23 MARCA 2010 / CENA 4,95 ZŁ

/ W TYM 7% VAT /

SZTUKA
ZMIENIA
PŁEĆ

>42

POLSKA
WALKA
KLAS

>10

AMERYKAŃSKA
SZKOŁA
TUCZENIA

>16

MACIEJOWSKI:
NOWY
MATEJKO

ISSN 0033-2488

12

INDKS 371424



NOWE KONTO WYDAJESZ & ZARABIASZ



- **100 zł** za otwarcie konta
- **1% CO MIESIĄC** – co miesiąc na Twoje konto wróci 1% wszystkich płatności dokonanych Kartą Wydajesz & Zarabiasz. Płacąc kartą, po prostu kupujesz wszystko 1% taniej
- **ZA DARMO BANKOMATY** w całej Polsce

Zmień konto dla pieniędzy

☎ 1 9999
www.bzwbk.pl



WBK

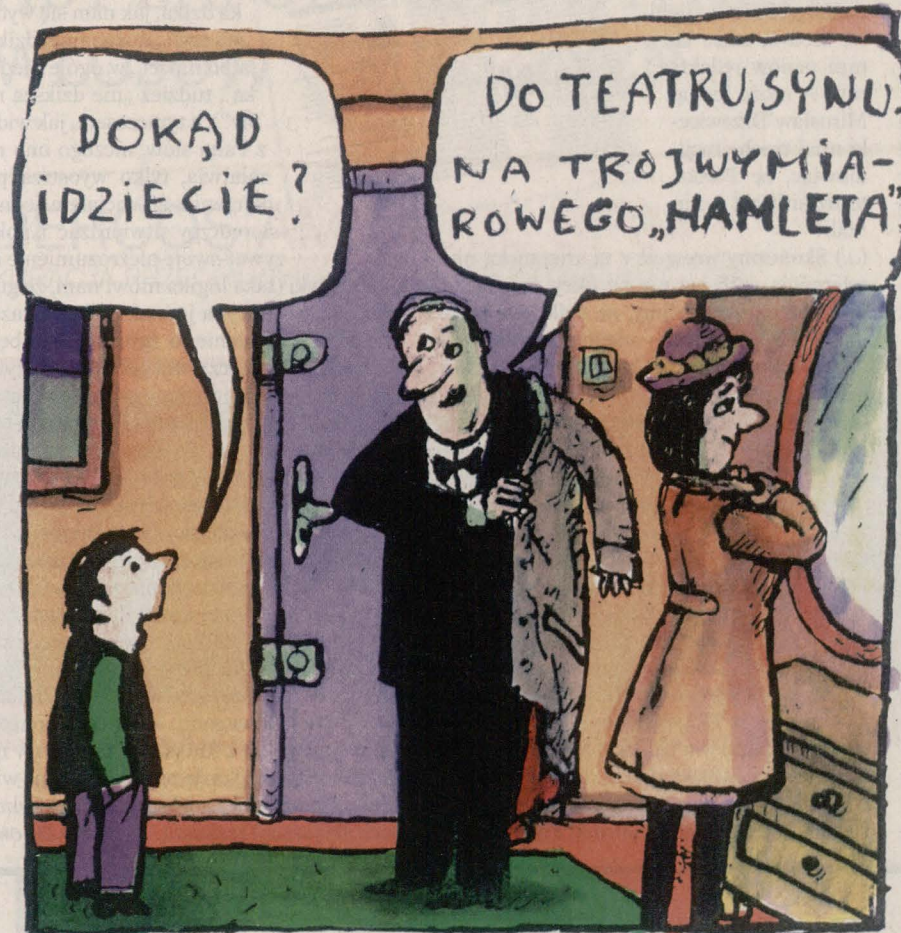
Bank Zachodni WBK

Promocja „100 zł za konto” skierowana jest do osób, które w terminie do 30.04.2010 r. założą Pakiet z nowym Kontem Wydajesz & Zarabiasz, nie posiadały w ciągu ostatnich 12 miesięcy konta osobistego w PLN w BZ WBK oraz w ciągu dwóch kolejnych miesięcy kalendarzowych zapewnią wpływy na konto minimum 1000 zł. Zwrot co miesiąc 1% płatności kartą dotyczy Karty Wydajesz & Zarabiasz. Darmowe wypłaty ze wszystkich bankomatów w Polsce dotyczą wypłat Kartą Wydajesz & Zarabiasz. Szczegóły oferty, informacje o opłatach i prowizjach oraz regulamin promocji „100 zł za konto” dostępne w oddziałach BZ WBK lub placówkach BZ WBK Partner 1 9999 – opłata zgodna z taryfą danego operatora. Stan na 1.03.2010 r.

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU O KIM NIE PISZEMY...

...o premierze Donaldzie Tusku i jego trosce o ochronę zagrożonych gatunków. „Wyginiecie jak dinozaury!” – przestrzegał PiS-owska opozycja. A czemu mieliby wyginać? Bo nie popierają zabiegów rządu o zwiększenie dyscypliny budżetowej. Docenia-my troskę i o budżet, i o przyrodę, ale przypominamy, że nie każdy chroniony gatunek musi być zaraz objęty reżimem ochrony ścisłej.

...o Pawle Grasiu, rzeczniku rządu, i jego perypetiach mieszkaniowych. Od feralnych 13 lat Graś mieszka w willi biznesmena, ale szczęśliwie nie płaci choćby

złamanego szelaga za wynajem, a i czynsz też ma za friko. Rzecznik i poseł PO nie wpisał tego do rejestru korzyści majątkowych (obowiązek parlamentarzysty), no bo co to za korzyść, skoro na tym nie zarabia? Stanowczo bronimy linii obrony pana rzecznika (przed komisją etyki i urzędem skarbowym), bo nawet klasyk mówił, że nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch, ale nie mówił, że nie ma darmowej chałupy.

...o Radku Sikorskim, kandydacie na kandydata na prezydenta, i jego prawyborczym apelu do działaczy PO. „Nie róbcie

tak jak ja” – podkreślał Sikorski, głosząc w prawyborach na swego rywala Bronisława Komorowskiego. Obawiamy się, że hasło może chwycić nawet bardziej, niż pan Radek by chciał, bo idealnie pasuje do całości jego kampanii.

...o Jolancie Szczypińskiej i jej słodkiej zemście na Jacku Kurskim za to, że ujawnił bolesną prawdę o nabytej przez nią kiedyś podrabianej torebce. Nie dziwi nas, że usuwanie przez PiS Kurskiego z pierwszej linii medialnego frontu Szczypińska uznała za „zgodne z linią kongresu”. Czas bułterierów minął, pora na pudelki. – ju

PRZEKROJ

6 | Świat według „Przekroju”
Katarzyny Janowskiej
i Orbita „Przekroju” Jana
Hartmana

8 | Krótko

KRAJ I ŚWIAT

10 | Klasy z klasą i bez klasy
14 | Kościół piekła się nie boi
16 | Ameryka tyje przez polityków
20 | Szkoła dla geniuszy

SYLWETKA

24 | Najsztub pyta Tomka
Lipińskiego, czy jest
beneficjentem totalitarnego
świata

28 | John Cale w kakofonii życia
31 | Krawcowa z misją – Monika
Jakubiak

CYWILIZACJA

32 | Nie wygrasz z dopingiem
35 | Cybersport czeka na kibiców
36 | Nawet bakterie mogą być
altruistami
38 | Też pytanie!
40 | Wiosenne porządki
w cyfrowej fotografii

KULTURA

42 | Sztuka o ciele, seksie
i polityce
46 | Film: Martina Scorsese
problem z Ameryką
48 | Muzyka: Muniak świetnie
gra i słabo pisze
51 | Książki: Zagłębiamy
do nocnika
52 | Teatry prywatne
57 | Teatralne polemiki:
Maciej Nowak kontra
Jacek Sieradzki
59 | Komiks polityczny
60 | Lektura: Tadeusz Nyczek
rozmawia z Jerzym
Jarzębskim

OTWÓRZ OCZY

64 | Taki jest Maciejowski
ZAWSZE W „PRZEKROJU”
70 | Rozmaitości z krzyżówką,
jolką i felietonami
73 | Stopklatka
74 | Dziennik Jerzego Pilcha
70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

Okiem pesymisty:
znowu wiosna. Będą wysyłać
na zieloną trawkę.

Dziki tytuł

Drogi panie Bartku, niedawno wpadł mi do rąk pański artykuł „Afryka nie taka dzika” (9.03, „Przekrój”), omawiający krótko nowości muzyki afrykańskiej, szczególnie malijskiej. Jako że mieszkam od lat w Hamburgu, z pewnym opóźnieniem chcę ustosunkować się do tej „relacji”.

To dobrze, że powoli i w Polsce muzyka zachodniej Afryki, a zwłaszcza muzyka Mali, staje się coraz bardziej popularna. Wiem też, że coraz częściej muzycy z tego kraju przyjeżdżają do Polski na koncerty.

Jedno drażni mnie i jest absolutnie nie do przyjęcia! Tytuł pańskiego artykułu. Afryka nie taka DZIKA (czyli w sumie dzika), ale jakich ma muzyków! Tak? Zdziwienie? Nie, arogancja, lekceważenie, kompleksy i kompletna nieznajomość realiów tamtego świata. Proszę pamiętać, że student etnologii czy muzykologii miałby duże problemy, gdyby użył słowa DZIKA, określając kultury krajów afrykańskich. Tak jak wyrażenia „prymitywne plemię”, „prymitywna muzyka” są nie do przyjęcia. Nie ma krajów dzikich i prymitywnych. Są inne kultury, dzicy i prymitywni są faceci przy budce z piwem w Polsce albo hordy tak zwanych fanów podczas meczów piłkarskich. Lekceważenie narodów afrykańskich w Polsce ma spore tradycje, dlatego niedopuszczalny jest taki język w pismach o dużej skali popularności, jak na przykład właśnie „Przekrój”.

My, Polacy, jesteśmy przewrażliwieni na swoim punkcie i bardzo nie lubimy, kiedy o nas mówią się: naród złodziei samochodów, brudasów, bałaganiarzy. Jednocześnie sami uważamy Afrykanów za dzikusów, sam wielokrotnie spotkałem się z takimi pojęciami podczas pobytów w kraju. Tutaj taki tytuł artykułu absolutnie nie mógłby być zatwierdzony, a gdy-

by przeszedł, redaktor naczelny czy dyżurny miałby spore nieprzyjemności. W Polsce zapewne nikt go to nie interesuje, mamy bardzo mało obcokrajowców, nie spotykamy się z innymi kulturami na co dzień, mam nadzieję, że i to zmieni się kiedyś, także kultura panów redaktorów. A może jednak Mirosław Drzewiecki miał trochę racji, mówiąc, że Polska to dziki kraj? A nie Mali?

(...) Skończmy wreszcie z tą arogancją nie-tolerancją, jeśli już nie na ulicy, to chociaż w kulturze. Przyjmijmy, że dziki jest tylko dzik, OK? Jeszcze raz – nie ma prymitywnego malarstwa, dzikich obrzędów, tym bardziej muzyki, jedyne uniwersalne języka na tym świecie. I dzikiej Afryki też nie ma. I nie było.

Pozdrowienia

Jędrzej Słodkowski, archeolog, Hamburg

Od redakcji: Drogi Panie!

Dokładnie wiem, co miałem na myśli, pisząc „Afryka nie taka dzika”. I jest to dokładnie coś przeciwnego, niż Pan w tym tytule czytał. Tytuł odnosi się bowiem krytycznie do pewnego obrazu Afryki, jaki mamy, wysłuchawszy w PRL-owskiej telewizji po tyśiąckroć Zbigniewa Wodeckiego z tekstem jego piosenki „Afryka dzika, dawno odkryta/ Chałupy welcome to” i przeczytawszy o tyl-sięcnej ofercie biura podróży, które propo-



aliów Afryki (taka logika mówi nam, że gdybym napisał „Afryka jednak dzika”, okazałbym ich zrozumienie, o zgrozo!). Nie będę więc już dalej przeczył ani potwierdzał, tylko zapewnię Pana, że jesteśmy po tej samej stronie. I jeśli już koniecznie ma Pan mi – dziennikarzowi skromnie, ale jednak zaangażowanemu w oddzianie Afryki – robić wyrzuty, to żądam dowodów na to, że Wodeckiemu już Pan przesłał swoje zarzuty wcześniej.

W każdym razie dziękuję za list, który skłonił mnie do tępienia stereotypu o dzikiej Afryce z jeszcze większą niż dotąd dzikością. Dziękuję również za ten list, dlatego że pozwolił mi on podziękować przy okazji za stały kontakt z Czytelnikami „Przekroju”, ich opiniami, polemikami i uwagami, a o tym zapomniałem, żegnając się z tutejszymi łamami w numerze 10/2010. Okazję tę wykorzystuję więc z dziką (i pozbawioną jakichkolwiek afrykańskich skojarzeń) rozkoszą. Bartek Chaciński

KOMENTARZE INTERNAUTÓW

Smutne wnioski przysły do głowy czytelnikowi artykułu Renaty Kim „Rachunek śmierci opłacony” („Przekrój” 9/2010).

Problem ZUS-u

Powinno się usunąć ten artykuł, bo jak przeczytają go decydenci z ZUS-u, to zaczną kombinować, jak namówić naszych emerytów na seppuku. Stary kawał mówił, że emeryci „mogą przechodzić na czerwonym świetle”.

– polok 2010.03.15 09:01

Olga Woźniak poruszyła internautów artykułem „Serca w naprawie” („Przekrój” 9/2010). Oto, co nam przekazała.

HLHS

Mój synek obecnie ma 13 miesięcy i urodził się z HLHS. Przeszedł już dwa etapy leczenia, operowany

był przez wspaniały zespół prof. Skalskiego w Krakowie-Prokocimiu. Żyje, rozwija się, śmieje i jest małym łobuziakiem. Do końca życia będę wdzięczna tym wspaniałym lekarzom, że dali mojemu dziecku drugie życie. Mam ogromną nadzieję, że pani minister dotrzyma słowa i szybko uda się doposażyć IT w nowe stanowiska, tak bardzo potrzebne, a raczej wręcz niezbędne. Stawką jest życie naszych dzieci.

– EwaM 2010.03.14 21:35

Statystyki

Bardzo ładny artykuł. A jeśli chodzi o rzetelną informację medyczną, to brakujące statystyk kardiologicznych, że śmiertelność dzieci z HLHS do 10. roku życia wynosi 80%!!!

Lawina pełnych podziwu komentarzy pojawiła się pod artykułem „Falszery od aniołów”. Jedni podziwiają fałszerza, inni Anię Szulc.

Szanuję ludzi z pasją

Piękna historia. Od teraz oglądam każdą pięcioczkotówkę i mam nadzieję, że to ta zrobiona przez pana Krzysztofa.

– mimi 2010.03.14 19:15

Gratuluje

Już długo nie czytałem tak ciekawego artykułu. Czułem się, jakby Carlos Ruiz Zafón pisał dla prasy, wielki szacunek dla Pani Anny Szulc. Co do Krzysia, to historia genialna i mam nadzieję, że odnajdzie gdzieś tam swoją drogę i szczęście. Pozdrawiam i życzę powodzenia.

– Ningun 2010.03.14 14:59

Wypadanie włosów.

Korzeń jest uciskany, a włos osłabiony i cieńszy.

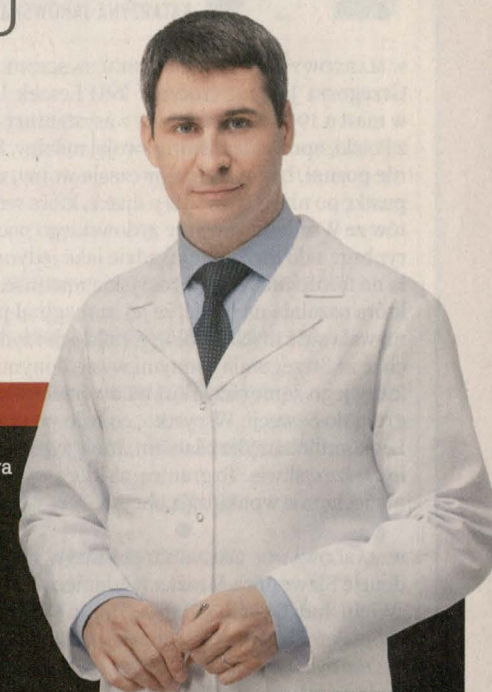
VICHYCONSULT.pl

Piotr Szlązak
specjalista dermatolog

PODWÓJNE DZIAŁANIE, ABY ZAPOBIEGAĆ WYPADANIU WŁOSÓW U MĘŻCZYZN

DERCOS AMINEXIL SP94™

KURACJA PRZECIW WYPADANIU WŁOSÓW DLA MĘŻCZYZN



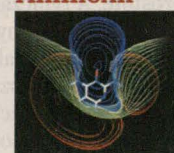
WEDŁUG DERMATOLOGA

Niekorzystne procesy zachodzące w organizmie mężczyzny mogą sprawić, że otoczka kolagenowa wokół korzenia włosa ulega zwłóknieniu. Uciskany korzeń jest gorzej odżywiony oraz słabiej przytwierdzony w skórze głowy. Wytwarzany przez niego włos staje się coraz cieńszy, wypada, a po pewnym czasie przestaje odrastać. Rozpoczyna się proces łysienia. Aby temu zapobiegać, należy działać podwójnie: przytwierdzić korzeń włosa w skórze głowy oraz pobudzić jego odbudowę, dostarczając składniki odżywcze. W tym celu wskazane jest stosowanie preparatów zawierających składniki aktywne o potwierdzonej w porównaniu z placebo skuteczności przeciw wypadaniu włosów.

SKŁADNIKI AKTYWNE

Składniki aktywne zapewniające podwójne działanie w korzeniu włosa, aby przeciwdziałać jego wypadaniu.

Aminexil®



Przeciwdziała włóknieniu otoczki kolagenowej wokół korzenia, aby włos był mocniej przytwierdzony w skórze głowy*

SP94™



Wewnątrz korzenia włosa ulega przemianie w budulec włosów, aby stały się grube, mocne i gęste*

* Test in vitro.

STADIA ŁYSIENIA ZE WSKAZANIEM DO STOSOWANIA PREPARATU DERCOS AMINEXIL SP94™



Stadium 1.



Stadium 2.



Stadium 3.



+6000
WŁOSÓW**

NUMER 1 W APTEKACH WŚRÓD
PREPARATÓW PRZECIW
WYPADANIU WŁOSÓW***

** Liczba włosów zachowanych w ciągu 6 tygodni. Test kliniczny w grupie 120 osób, średnia wartość dla osoby łysiejącej.
*** IMS Pharma Trend International Europe 9 (segment środków przeciw wypadaniu włosów), wartość sprzedaży Dercos, 2008.

ZDROWIE JEST PIĘKNE
VICHY
LABORATOIRES

przekroj.pl
CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETU

„Przekroju” szukaj też w serwisach Facebook (jako facebook.com/przekroj), MySpace (pod adresem mspace.com/przekroj), Blip (przekroj.blip.pl) i Twitter (twitter.com/przekroj_pl). Aby dostawać co tydzień newsletter informujący o zmianach na przekroj.pl, wystarczy zapisać się na naszej stronie lub wysłać wiadomość o temacie „Zamawiam” na adres newsletter@przekroj.pl.



Marcowa noc

Ma dla mnie twarze ludzi brutalnie wypchniętych ze swojego świata w 1968 roku

KATARZYNA JANOWSKA – REDAKTOR NACZELNA

W MARCOWY WIECZÓR 2010 ROKU NA SCENIE TR WARSZAWA PROWADZONEJ PRZEZ Grzegorza Jarzynę (rocznik '68) Leszek Leo Kantor, polski Żyd wyrzucony w marcu 1968 roku najpierw z asystentury na uniwersytecie w Opolu, a potem z Polski, opowiada historię swojej rodziny. Pokazuje zdjęcie ojca, którego nigdy nie poznał, bo ten zginął w czasie wojny, zanim jego syn był w stanie poczuć pustkę po nim. Opowiada o matce, która wraz z drugim mężem i falą repatriantów ze Wschodu, głównie żydowskiego pochodzenia, przywędrowała z Jekaterynburga do Strzegomia, gdzie jako jedyna w poniemieckim miasteczku grała na fortepianie tęskne rosyjskie romanse. Wspomina Lusię Widerę, Niemkę, która oszalała na wieść, że jej mąż zginął pod Stalingradem. Po wojnie utrzymywała się z mycia podłóg w polskich i żydowskich domach. Nie umiała wyjechać ze Strzegomia z innymi wysiedlonymi. Kantor przypomina o znajomym, który jego żonie przyniósł na dworzec ciepłe rękawiczki, bo wiedział, że emigrują do Szwecji. Wszystko, co było po marcu, Leo Kantor zamyka zdaniem: moje życie ułożyło się szczęśliwie. To granica, za którą wypędzeni niechętnie wpuszczają obcych.

**Jest granica,
za którą
wypędzeni
niechętnie
wpuszczają
obcych**

W MARCOWĄ NOC 2009 ROKU CZYTAŁ KORESPONDENCJĘ Sławomira Mrożka z Adamem Tarnem. „Wielu ludzi znało Adama Tarna – do roku 1968. Potem, czyli odkąd musiał opuścić Polskę, już nie było tylu świadków jego życia – aż do jego śmierci” – pisze Mrozek we wstępie do swej korespondencji z założycielem pisma „Dialog”. Ostrem światłem obrysowuje los przymusowego emigranta. Wszystko, co było po marcu, Kantor zamyka zdaniem: moje życie ułożyło się szczęśliwie. To granica, za którą wypędzeni niechętnie wpuszczają obcych.

Tarn, odkrywca między innymi talentu Mrożka, zaprzyjaźniony z Beckettem, Frischem, Dürrenmattem, w którego redaktorskim pokoju toczyło się życie towarzyskie i kulturalne Warszawy, zostaje w marcu 1968 roku jak wielu innych brutalnie wypchnięty ze swojego świata.

Łąduje jako profesor na Uniwersytecie w Calgary, gdzie, jak pisał Mrozek, wśród szklano-betonowych wieżowców rozrzuconych na preriі usiłował tłumaczyć, kto to był Czechow. Ostatni raz Mrozek spotkał się z nim w połowie lat 70. w Szwajcarii. Tarn, wówczas schorowany, stary człowiek, mieszkał w cudzym mieszkaniu, martwym i pustym. „Kończące się życie Adama nie mogło go wypełnić, a skończone życie tego mieszkania nie mogło niczego przydać kończącemu się życiu Adama. Można powiedzieć, że Adam umierał w grobie – w grobie z łazienką, kuchnią i przedpokojem... Jak zawsze mówił o sprawach warszawskich, jakby tam ciągle był...”

TARN NIE MÓGŁ ZOSTAĆ, NIE UMIAŁ WYJECHAĆ. UTKNAŁ ZATRZAŚNIĘTY W SAMOTNOŚCI emigranta tak jak szalona Niemka ze wspomnień Leo Kantora błakająca się po mieście, z którego wygnano mieszkańców. Marcowa noc ma dla mnie ich twarze.



Starzy Żydzi i Pan Bóg

Wszecmocny nie może sobie być albo nie być

JAN HARTMAN

FILOZOF TO TAKI GADACZ DO WYNAJĘCIA. JAK COŚ TRZEBA powiedzieć ładnie i niegłupio, dla uświetnienia jubileuszu albo innej promocji, zaraz się woła filozofa. Wypada tanio, a jeśli się w dodatku okaże, że filozof mówi coś, co wszyscy już sobie sami wcześniej myśleli, to pochwałam nie ma końca.

Na trasie mego tournée znalazł się ostatnio rodzinny mój Wrocław, gdzie koncertowałam dla osobliwej publiczności, bij zabij!, dla Starych Żydów po prostu. Jak osobliwa to socjeta, dowiedzieć się możemy z modnego arcydzieła Piotra Pazińskiego „Pensjonat”. Opowiada się tam o dziwnych, lecz znacznych staruszkach, którzy nie tylko filozofują i dokuczają sobie nawzajem, choć żyć bez siebie nie mogą. Filozofują o przemijaniu, wojnie, Bogu, Mesjaszu, a najwięcej o tym, po co są Żydzi na świecie. Zwłaszcza Starzy Żydzi. Paziński wie, o czym pisze, i dlatego powiastka jego jest smaczna i autentyczna. Kudy mi do Paziaka, ale i ja coś o Starych Żydach mam do powiedzenia.

Moi Starzy Żydzi filozofowali ze mną, a jakże, o Bogu. Czy jest i skąd mamy to niby wiedzieć i kto to w ogóle ten Bóg jest? No bo (tak sobie powiadamy) skoro jest nieskończony, to jak zdołał wycofać się w Siebie, by zrobić miejsce dla świata? A jeśli jest przedwieczny, doskonały i od nikogo niezależny, to nie może mieć żadnych części, bo mógłby się wtedy na nie rozpaść, no i w ogóle ktoś musiałby go wcześniej z tych części poskładać. Czyli jest Bóg całkiem prosty, prostszy niż kropla wody. A skoro tak, to nie można nic o Nim powiedzieć – na przykład tego, że jest prosty – bo się go podzieli na Boga i prostotę. A tymczasem my ciągle o Bogu gadamy... W dodatku mówimy, że Bóg czegoś żąda, gniewa się albo że nas kocha. I jak to się ma do prostoty i niezmienności? A na tym jeszcze nie koniec! Bo jeśli Bóg jest najpotężniejszy i niezniszczalny, to nic go nie stworzyło ani nic go nie zmoże. Bóg istnieć musi. Taki ma mus ten Wszecmocny! Zresztą co to by był za Bóg, który nie istnieje? Kto mówi „Boga nie ma”, ten na pewno nie o Bogu mówi, bo przecież Bóg to nie jest takie coś, co może sobie być albo nie być, jak wyspa Atlantyda. Chociaż kto wie? Może wszystko to sobie jakiś Żyd wymyślił, żebyśmy sobie głowę łamali?

Autor jest profesorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego



UWAGA! Konkurs na okładkę!

Z okazji 65-lecia tygodnika „Przekrój” redakcja ogłasza konkurs na okładkę jubileuszowego wydania.

„Przekrój” to najstarszy polski tygodnik. Przez 65 lat przechodził różne etapy, różni naczelni mieli nań różne pomysły. Ale niezmiennie „Przekrój” woli bawić, niż straszyć, cieszyć się, niż narzekać – a przede wszystkim jednak woli widzieć, niż zamykać oczy. „Przekrój” jest pozytywny, emocjonalny, ale nie histeryczny. Lubi ludzi. Kocha życie. Ma szacunek dla wymagań czytelnika i dlatego nie godzi się na nudę. „Przekrój” uznaje zarazem ironię i dowcip za oręż w walce o wyznawane przez siebie wartości.

Na 65-lecie widzielibyśmy okładkę szczególną, łączącą najlepsze tradycje „Przekroju” z czasów założyciela i redaktora Mariana Eilego z nowymi trendami i nowym „Przekrojem”, który rozumie kulturę jako przestrzeń, w której codziennie się poruszamy.

Zaskoczcie nas, zaprojektujcie ją, pamiętając, że „Przekrój” jest zarówno mądrą gazetą, jak i pięknym przedmiotem.



SPECJALNE WYDANIE „PRZEKROJU” W FORMACIE XXL UKAŻE SIĘ 20 KWIETNIA. PROJEKTY MOŻNA WYSYŁAĆ DO 9 KWIETNIA NA ADRES OKLADKA@PRZEKROJ.PL
FORMAT: PION 260/350 + SPAD 5 mm

FORMAT PLIKU: PDF. AUTOR ZWYCIĘSKIEGO PROJEKTU POZA PUBLIKACJĄ OTRZYMA

2000 ZŁOTYCH

REGULAMIN KONKURSU NA STRONIE WWW.PRZEKROJ.PL

PRZEKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Eile. ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL. E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNA: Katarzyna Janowska. ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ: Juliusz Urbanowicz, Marek Zajac. DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myslik. SEKRETARZ REDAKCJI: Magda Gędziorowska, Piotr Witek. SEKRETARIAT: Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33. KULTURA: kultura@przekroj.pl, Malgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępcza szef), Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski. KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Winczorek (redaktorzy), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Rykiel, Anna Szulc, stale współpracują: Piotr Najstubb, Bogdan Rymanowski. ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostyrzyński (redaktor), Maciej Jarkowicz, Joanna Woźniak-Czeczott. CYWILIZACJA: nauka@przekroj.pl, Olga Woźniak (szef), Milena Rachid Chehab, Piotr Stanisławski, stale współpracują: Irena Cieśliska, Piotr Koszobudzki. ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk, stale współpracują: Ola Saliwa, Kaliber 45. PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedy. art.), Malgorzata Kłoszewska, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski. FOTODYDZIAŁ: foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef), Anna Bajorek, Bogdan Kretel, Marek Szczepański, stale współpracują: Kuba Dąbrowski. PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap. STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński. KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej. REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor. ARCHIWUM: Dominika Bok. OBRÓBKĄ ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meat



WYDAWCA: WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 55, FAKS 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz. P.O. DYREKTOR WYDAWNICZY: Artur Rumiński. PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski. BIURO REKLAMY „PRZEKROJU”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Malgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18, Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 50, Eliza Zymarska tel. 22 525 99 51, Eliza Zymarska tel. 22 525 99 52, Izabella Cieniuszek tel. 22 525 99 15. DYREKTOR DYSTRYBUCJI: Elżbieta Maciążek. DRUK: RR Donnelley. PRENUMERATA: PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69. PRZEZ RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16, 22 532 88 25, www.ruch.pol.pl



KRÓTKO

Życzenia od policji

Drogówka wypłacie solenizantów

POLICJA WYJEŻDŻA NA drogi z nową akcją. „Imieninowe kontrole trzeźwości” odbywać się będą w święta popularnych solenizantów, takich jak Marek, Józef, Bogdan, Anna, Bożena i Krystyna, choć najwięcej kontroli planowanych jest w imieniny Ewy. Jeśli akcja przetrwa więcej niż 20 lat, to już teraz podpowiadamy: według danych MSWiA z pierwszej połowy 2009 roku najczęściej nadawane dzieciom imiona to Julia, Maja i Zuzanna oraz Jakub, Kacper i Szymon.

– iggy

Odwołany ser ścigany

Na razie nikt nie dogoni cheddar

ORGANIZATORZY DOROCZNEGO Cheese Rolling, czyli pościgu za okrągłym serem cheddar toczącym się po zboczu Cooper Hill w południowej Anglii, odwołali imprezę. Z powodu coraz większej popularności stała się zbyt niebezpieczna. Rok

temu zjechało na nią 15 tysięcy widzów. 19 z nich poturbował rozpędzony do stu kilometrów na godzinę ser. Zawody rozgrywano od początku XIX wieku, podczas II wojny światowej prawdziwy ser zastępowała drewniana atrapa. Organizatorzy chcą wznowić imprezę za rok.

– aj

Droga rodzinna

Podatnicy słono płacą za pięć żon prezydenta

PREZYDENT RPA JACOB Zuma, Zulus z krwi i kości (jak o sobie mawia), ma 5 żon i 20 dzieci. Przez rok jego urzędowania wydatki na utrzymanie prezydenckiej rodziny wzrosły dwukrotnie – do dwóch milionów dolarów. Głównie dlatego, że wszystkie małżonki (ze służbą) towarzyszą Zumie w podróżach. Prezydent ma słabość do kobiet. Tak duża, że na początku roku przyznał się, iż jest ojcem dziecka córki jednego ze swych urzędników. Ponadto zanim został głową państwa, uniknął więzienia za gwałt, bo przekonał sąd, że ofiara „sama się prosiła”.

– mac



Dzieci z drutu i metalu

Robot, największy ze zbudowanych dotąd przez domorosłego konstruktora, ciągnie wózek, w którym siedzi jego twórca. Wu Yulu, chiński rolnik z niepełnym podstawowym wykształceniem, od 11 lat buduje roboty z drutu, skrawków metalu i innych materiałów. Na koncie ma już 30 maszyn. Nadaje im imiona i nazywa swoimi dziećmi. Jego roboty potrafią nie tylko chodzić, ale i wspinać się po murach oraz wywijać salta. Wu Yulu pracuje teraz nad maszyną, która pomoże przykutym do łóżka chorym przewracać się na drugi bok.

– rk

EFEKTY ANNA SZULC

Epidemia czystości

Świńska grypa nie była groźniejsza dla Polaków niż ta sezonowa. Za to dzięki niej kupujemy więcej mydła. Spadła też liczba przypadków chorób brudnych rąk

– PANDEMIA WIRUSA A/H1N1 okazała się najłagodniejszą światową epidemią w obecnym i poprzednim stuleciu – ocenia Jan Bondar, rzecznik Głównego Inspektoratu Sanitarnego. – Histeria, jaka jej towarzyszyła, wywołała jednak kilka pozytywnych skutków. – Polacy używają więcej mydła – precyzuje Cyryla Staszewska z Powiatowej Stacji Epidemiologicznej w Poznaniu. Przedstawiciele sanepidu znajdują coraz więcej środków czystości w kontrolowanych instytucjach i oceniają, że także w domach przybyło mydła i żelu do mycia.

To z kolei poprawiło statystykę chorób brudnych rąk. Z danych Państwowego Zakładu Higieny wynika, że w 2008 ro-

ku na bakteryjne zakażenia jelitowe zapadło 7451 osób, w ubiegłym roku – 6664 osoby. Na salmonellozę w 2009 roku chorowało 8959 Polaków, rok wcześniej – 9608. Dwa lata temu na lambiozę, na którą zapadają najmłodsze dzieci, chorowały 3182 maluchy, w ubiegłym roku – 2257.



Głoszone latami z pudełek na zapalki hasła nie dały tyle, ile jedna pandemia

Dokładnie rok temu, w marcu 2009 roku, dowiedzieliśmy się, że światu grozi A/H1N1, nowy szczep wirusa grypy. 11 czerwca Światowa Organizacja Zdrowia (World Health Organization) ogłosiła pandemię. Teraz WHO – oskarżana o wyolbrzymianie niebezpieczeństwa, co miało pomóc koncernom w sprzedaży szczepionek – prowadzi wewnętrzne śledztwo, by dowiedzieć się, dlaczego ogłosiła pandemię. Także w Polsce skutki świńskiej grypy nie okazały się wcale groźniejsze niż sezonowej. Na tę pierwszą w ubiegłym roku zmarło 157 osób. Dla porównania – w 1975 roku na zwykłą grypę umarło aż 1,4 tysiąca osób, a w 2004 roku – 180.

Dobre pomysły

FUNDACJA Z SENSEM

ŚWIAT MA SENS. I POLSKA MA SENS – UZNAŁA grupa zaprzyjaźnionych krakowskich twórców. Dlatego w lutym założyli fundację, która udowodni malkontentom znad Wisły, że żyją w fantastycznych czasach w fantastycznym kraju.

A zaczęło się niewinnie, bo od portalu. Stronę www.20latrp.pl reżyser Artur „Baron” Więcek założył rok temu z publicystą i producentem filmowym Witoldem Beresiem. – W dzisiejszej Polsce optymizm jest równie ekskluzywnym towarem jak kiedyś džinsy w Peksie. A my doszliśmy do wniosku, że najwyższy czas, by Polacy, zamiast narzekać, zaczęli się chwalić swoimi sukcesami – wyjaśnia Więcek.

Twórcy rozpisali w portalu plebiscyt „Pochwalmy się!”. Dzięki głosom tysięcy internautów w ciągu kilku miesięcy udało im się wybrać 101 największych sukcesów wolnej Polski. Wśród laureatów znalazły się między innymi Mazury i sklep Allegro. Człowiekiem 20-lecia został Leszek Balcerowicz. Jednak przez największą liczbę wydarzeń, którymi Polacy w ostatnich 20 latach mogli się po-

chwalić, przewijał się Andrzej Wajda. Dlatego 28 marca w Muzeum Techniki i Sztuki Japońskiej „Manggha” w Krakowie nowa fundacja Świat Ma Sens, założona przez Więcka, Beresia i kilku ich przyjaciół, wręczy reżyserowi nagrodę specjalną.

Wkrótce fundacja stworzy portal pod hasłem „Polska ma sens”, w którym promować będzie nadzwyczajnych ludzi, pasjonatów (artystów, naukowców, wynalazców) oraz ciekawe wydarzenia, o których nie usłyszymy w głównych wydaniach telewizyjnych wiadomości. – Chcemy pokazać, że na polskiej prowincji dzieją się rzeczy ważniejsze niż kłótnie polityków i kolejne wybory – wyjaśnia Artur Więcek.

– ana



WYCHOWANIE

Niania wychodzi z szarej strefy

Jest szansa, że samorządy częściowo opłacą prywatne opiekunki do dzieci

Z NIANIĄ PODPISZEMY UMOWĘ O PRACĘ, POTEM zgłosimy się do wójta bądź burmistrza, a wówczas gmina zajmie się opłaceniem opiekunki składki ZUS – taki pomysł zapisany został przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w „założeniach do ustawy o formach opieki nad dziećmi do lat trzech”.

Teraz też można legalnie zatrudnić opiekunkę, ale wszystkie opłaty ponoszą rodzice. Dlatego nianie funkcjonują w szarej strefie. Rząd szacuje ich liczbę na blisko 100 tysięcy, ale pieniądze potrzebne na składki oblicza na 50 tysięcy, co daje 242 miliony złotych rocznie.

Niania zyskałaby prawo do emerytury, zasiłku chorobowego i bezpłatnego leczenia, a rodzice zaoszczędzą na składkach 800 złotych. Ale nie więcej – gmina zapłaci ZUS obliczany dla pensji minimalnej, która obecnie wynosi 1317 złotych brutto. Jeśli rodzice płacą opiekunce więcej, różnicę w składce pokryją sami. – Zyska tylko państwo, które zasilę pieniądze niewydolny ZUS oraz ściągnie więcej podatku od niań. I sztucznie zmniejszy bezrobocie – krytykuje Andrzej Sadowski z Centrum imienia Adama Smitha.

Magdalena Janczewska z Konfederacji Pracodawców Polskich uważa jednak, że ustawa będzie mieć szersze skutki, zresztą całkiem pozytywne: – Upowszechnienie zatrudniania niań umożliwi szybszy powrót do pracy nie tylko matek, ale i czynnych zawodowo babć. A to nie tylko pozwoli państwu ściągnąć dodatkowe podatki, ale też pomoże w nakręcaniu koniunktury gospodarczej.

Ministerstwo liczy na to, że ustawa wejdzie w życie pod koniec roku.

– fieda

Dyplomacja

BLISKI WSCHÓD BLISKO Z BRUKSELA

ROBOCZEGO SPOTKANIA NA tak wysokim szczeblu dawno nie było – w Moskwie w ostatni piątek sekretarz stanu USA Hillary Clinton, szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow, przewodniczący ONZ Ban Ki-moon i szefowa unijnej dyplomacji Catherine Ashton oświadczyły, że warunkiem wznowienia rozmów pokojowych na Bliskim Wschodzie jest

wycofanie się Izraela z planów budowy nowego osiedla we wschodniej Jerozolimie. W ostatnich dniach Palestyńczycy coraz częściej ścierali się z izraelską policją, a wystrzelona ze Strefy Gazy rakietą zabiła w Izraelu jedną osobę. Wszystko po ogłoszeniu przez rząd Beniamina Netanjahu budowy 1,6 tysiąca nowych domów w palestyńskiej czę-

ści Jerozolimy. Zrobił to podczas wizyty wiceprezydenta USA Joego Bidena, co Amerykanie (sprzeciwiający się takiemu osadnictwu) odebrali jako afront. Zbigniew Brzeziński w wywiadzie dla internetowego dziennika „Huffington Post” powiedział, że „polityka prawicowego rządu Izraela jest dziś największym zagrożeniem dla interesów USA”, bo radykalizuje świat muzułmański.

Do bliskowschodniej dyplomacji mocno włącza się UE. W zeszłym tygodniu Ashton odwiedziła Gazę. Choć nie spotkała się z przedstawicielami Hamasu, uznawanego przez UE i USA za terrorystów, to jej wizytę odebrano jako gest solidarności Europy z Palestyńczykami. Bruksela wspiera Autonomię Palestyńską miliardem euro pomocy rocznie, ale dotąd zachowywała dyplomatyczną bierność. Teraz to ma się zmienić.

– mac



Catherine Ashton podczas wizyty w Strefie Gazy dała jasno do zrozumienia, że Unia Europejska wspiera Palestyńczyków

Najczęściej obserwując życie polityczne, pytają, czy w tej karafce, która stoi koło trybuny sejmowej, jest woda, czy wódka – Stanisław Żelichowski, szef klubu PSL, wyjaśniający, o co zwykle pytają go wyborcy

GRA W KLASY

POWIEDZ MI, PO CO I DOKĄD JEŹDZISZ NA ROWERZE, A DOWIESZ SIĘ, KIM NAPRAWDĘ JESTEŚ – **KREDYTOWĄ BURŻUAZJĄ, ETOSOWĄ INTELIGENCJĄ CZY MOŻE BIZNESOKRACJĄ?** OTO BARDZO PRAKTYCZNY PORADNIK, JAK SVOICH ODRÓŻNIĆ OD OBCYCH

NIE MÓWIMY O TYM GŁOŚNO, ALE GRAMY W TO wszyscy. Najważniejsza zasada: pokaż się, a powiem ci, kim jesteś. Najsukuteczniejsza metoda: nie daj się zwieść pozorom, diabeł tkwi w szczegółach.

Ledwie uchyla się drzwi, a Magda już rzuca okiem na obuwie wchodzącego. Musi precyzyjnie ocenić klienta, by ten nie poczuł się niedoceniony lub odwrotnie – przeceniony, bo wtedy ucieknie wystraszony ceną. – Jakość określam po kształcie. W dobrym obuwie, nawet znoszonym, szew się nie rozejdzie, trzyma linię – instruuje Magda, historyk sztuki, która przez lata pracowała w galeriach i domach aukcyjnych. Po spojrzeniu na buty zajmuje się całą postacią: – Ubiór ma niby-przeciętny, ale wchodzi pewnie, na luzie. To koneser, kolekcjoner. Wie, co chce kupić. Może Malczewskiego, a może cykl wysmakowanych fotografii.

Inny klient, pę prostu schludny, rozgląda się spłoszony na boki. – Waha się, czy w ogóle ma prawo tu być, boi się ośmieszyć. Ale gdy raz się przekona, że stać go na przykład na grafikę za dwa tysiące złotych, będzie wracał, już lepiej zorientowany i pewniejszy siebie. To świeżo upieczona klasa średnia – ocenia Magda.

Z takimi klientami łatwo się dogadać. Gorzej, gdy galerię zaszczyli nuworysz na siłę pchający się do elity. – Wchodzi pewnie, wręcz arogancko, jego zegarek bije po oczach. Nie jest miły – charakteryzuje Magda. – Spodobała mu się romantyczne, nastrojowe pejzaże i kobiece portrety. Szczególnie gdy dama ma wydatny biust. Nie proponuje dyskretnych grafik lub obrazu piórkiem, bo dzieło musi być słusznych rozmiarów. Ma się imponująco prezentować w salonie.

– Wciąż słyszę, że teraz społeczeństwo jest egalitarne. Wszyscy mamy dzinsy, coca-cole i mp3 – doktor Maciej Gdula, socjolog, uśmiecha się tajemniczo. – Ale czy to naprawdę znaczy, że jesteśmy równi?

Stylu nie kupisz

Z ostatniego raportu Głównego Urzędu Statystycznego o wynagrodzeniach wynika, że najwyższy szczebel w drabinie Polaków – zarabia-

ją od 10 tysięcy złotych brutto wwyż. Prawie sześć procent pobiera pensje równe dwóm średnim krajowym, czyli około sześciu tysięcy złotych. W tej grupie dominują specjaliści i średnia kadra kierownicza. Ponad 65 procent zarabia przeciętnie, czyli 3,2 tysiąca złotych co miesiąc. Prawie 20 procent zatrudnionych otrzymuje do 1,6 tysiąca złotych brutto.

– Tyle że nie do końca o zarobki tu chodzi – kręci głową doktor Gdula. – Przyzwyczajaliśmy się dzielić społeczeństwo w kategoriach dochodów. Masz 800 złotych miesięcznie, jesteś na społecznym dnie; masz 800 tysięcy, jesteś na szczycie. Kłopot w tym, że często dochody nijak się mają do rzeczywistych aspiracji i kapitału kulturowego człowieka.

Jak to? Przecież nie żyję w średniowieczu, w którym jeżeli się „chłopką do ziemi przypisaną urodzę”, jako chłopką umrę. Skończę studia i awansuję albo powiem mi się w biznesie, w każdym razie się dorobię. – Ale podzieliły klasowe i tak nas dopadną – oponuje doktor Gdula. – Stan konta zmienia się szybciej niż gust i styl życia, jakie wynieśliśmy z domu. Bo klasę oznacza się na wielu poziomach, cza-

Zwykle dzielimy społeczeństwo według dochodów. Ale te często nijak się mają do rzeczywistych aspiracji i kapitału kulturowego człowieka

DOKTOR MACIEJ GDULA

sami nie do rozpoznania na pierwszy rzut oka. Często określa się ją na przykład nie po tym, co mówimy, ale po tym, o czym milczymy. Klasa siedzi w naszych głowach – podsumowuje doktor Gdula.

Wychodząc właśnie od stylu, francuski socjolog Pierre Bourdieu wyróżnił trzy podstawowe klasy: niższa (ludowa) konsumuje, by zaspokoić podstawowe potrzeby życiowe; klasa średnia wydaje pieniądze z myślą o tym, by się popisać, pokazać status; wyższa – by czerpać z tego rozrywkę.

Proste? Niestety, nie aż tak bardzo, jakby się mogło wydawać. Rodzima odmiana gry w klasy to ciut wyższa szkoła jazdy. Niby klasa to kwestia stylu, ale zupełnie abstrahowanie od pieniędzy w przypadku społeczeństwa na permanentnym dorobku też byłoby błędem. Doświadczony gracz musi mieć zatem oko na oba czynniki. Zresztą typowy dla zachodniego kapitalizmu podział na klasy kształtuje się w Polsce dopiero od 20 lat. Na przykład klasa średnia rozpadła się u nas na trzy grupy – jedną, która dopiero co się pojawiła, i dwie aspirujące do warstw wyższych, do elity.

Tę pierwszą, czyli kredytową burżuazję, często tworzą przedstawiciele zawodów, które pojawiły się po 1989 roku, czyli menedżerowie i drobni biznesmeni. Po studiach szybko wybili się klasowo, dlatego żyją w przekonaniu, że zawodowy i finansowy sukces trzeba sobie wywalczyć. Jednocześnie jednak błyskawiczny awans sprawił, że jako klasa średnia nie czują się pewnie. Kolejnymi dobrami muszą więc potwierdzać prestiż i separować się od biednych – ich przepustką do rajy są kredyty, w tym wieloletnia pożyczka hipoteczna.

Druga grupa to inteligencja etosowa, zasilana głównie przez tak zwaną starą inteligencję, wolne zawody i kadre naukowe szkół wyższych. Nie muszą zarabiać kokosów, bo wiedza i pozycja zapewniają im uznanie, a to z kolei pozwala na kreowanie wzorców. To oni dyktują kulturę wysoką, oni tworzą społeczeństwo obywatelskie. Z kolei trzecia grupa, biznesokracja, nie epatuje już bogactwem w złym guście, co można było obserwować w latach 90. Jej przedstawiciele są eleganccy w stonowanym stylu, w apartamencie albo willi powieszają dzieła młodych artystów. Ale ich fortuny jeszcze na tyle nie okrzepły, by potrafili się oddać działaniom bezinteresownym.

Zanim przystąpimy do gry, jeszcze ważne zastrzeżenie. Naprawdę musisz być czujny – każdy z nas nawet jednego dnia potrafi migrować między klasami. Rano w supermarkecie wybierasz dobra solidne i drogie, choć konwencjonalne – niczym kredytowa burżuazja. A wieczorem po fortepianowym recitalu Kevina Kennera brylujesz wśród →



→ znajomych anegdotami o wielkich chopinistach. Brawo, przepoczwarzyłeś się w etosową inteligencję.

Gotowi do gry? Runda pierwsza – rower.

Średni lubi porządek

Budnym i rozklekotanym jeżdżą robotnicy, a nowym i błyszczącym bogacze? – To wcale nie tak – ostrzega doktor Gdula. Dwa lata temu ze studentami i doktorem Przemysławem Sadurą na zlecenie Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy badał przynależność klasową, pytając nie o dochody, ale o to, po co komu rower.

Wpadam do moich sąsiadów. Pan domu rowerem jeździ do pracy. Auto, pakownego vana, uruchamia tylko od święta – co niedziela do samochodu wsiadają żona, czwórka dzieci i wszyscy jadą do kościoła. – Klasom niższym rower służy do oszczędzania – ocenia i tłumaczy Maciej Gdula. „Nie płacę za bilety, już mam 52 złote w kieszeni” – uzasadniali respondenci.

O rower idę zapytać koleżankę ze studiów, która mieszka w bloku w centrum Warszawy. To żona analityka pracującego w firmie consultingowej, wychowująca dwoje dzieci. – Naprawdę nie wiem, po co nam rower za prawie siedem tysięcy – denerwuje się kobieta. Nie przyjmuje argumentów męża, że to dobry, wyjątkowo lekki model miejski. – Po prostu wszyscy jego koledzy takie mają – wyjaśnia. Trafiony, zatopiony – pan domu to kredytowa burżuazja jak malowana.

– Te droższe i solidne rowery mają świadczyć o zaradności i prestiżu nabywców – potwierdza doktor Gdula. Bo ta grupa obsesyjnie chce pokazać, że zasługuje na swoje miejsce w społeczeństwie. Przy okazji jest najbardziej uprządkowana, i to w sensie dosłownym. – Respondenci przyznawali, że najbardziej lubią

od wyższej, wchodzi do warszawskiego salonu Ermenegilda Zegny. W sklepie, w którym garnitur kosztuje nawet 10 tysięcy złotych, musieli przecież wypracować metody rozpoznawania milionera. Nawet jeżeli w przypływie fantazji przebrali się za żebraka.

Rzeczywiście, sprzedawcy Zegny zapewniali, że nie wyproszą ze sklepu klienta w przybrudzonej, rozwleczonej kurtce. Najpierw dokładnie go zlustrowali. Często na przebiegu niezbyt czystych rąk dostrzegali zegarek Patek, a na nogach robione na zamówienie buty. Nawet kamuflaż niewiele pomoże, gdy na człowieka spojrzy doświadczony sprzedawca.

W takim razie runda druga – dom.

Sierść na kanapie

Dom to kolejny dowód, że o klasie decyduje nie tylko portfel, ale także to, co mamy w głowie. Mieszkanie w niepozornym bloku może być ostoją arystokracji, a wytworny pałac z kolumnami siedzibą lokalnego monopolisty mechaniki samochodowej. Jak zatem sobie poradzić? Zatrzymajmy się przy furtce i spójrzmy na psy.

Brytyjska antropolog Kate Fox w opublikowanej także po polsku książce „Przejrzeć Anglików” skrupulatnie wymienia rasy, po których można zidentyfikować przynależność klasową ich właścicieli. Na przykład pudle czy rottweilery to ulubieńcy klas niższych, labradory – wyższej średniej. Kłopot w tym, że tych wyspiarskich klasyfikacji nie da się przenieść na polski grunt, bo tu rasy są podatne na zmienność mody – w latach 90. królowały dalmatyńczyki, niedawno *passé* stały się yorki, a teraz na topie są labradory i golden retrievery. Na szczęście klasę i tak poznamy po przechwałkach oraz nawykach związanych ze sprzątnięciem, i to zarówno nad Tamiżą, jak i nad Wisłą.

„Tylko ludzie z klasy średniej i niższej chodzą na wystawy psów, kotów oraz szkolenia i tylko oni nakleją sobie naklejkę na tylnej szybie, deklarując namiętność do konkretnej rasy – wylicza Fox. – Członkowie klasy średniej zwykle są mniej tolerancyjni dla brudu i bardziej przeczuleni na punkcie niegrzecznego zachowania zwierzątek niż ci na szczycie i dole drabiny społecznej” – dodaje. Na ich dywanie w salonie nie znajdziesz włosów ulubieńca. Tymczasem zarówno pupil klasy wyższej, jak i społecznego marginesu może wylegiwać się na kanapie w salonie.

Cofnijmy się jednak na moment przed próg domu. Jeżeli osiedla strzegą domofon i ochrońniarz, to znak, że zbliżamy się do matecznika kredytowej burżuazji. – Tacy ludzie chcą się czuć bezpiecznie na każdym polu – podkreśla dekoratorka wnętrz Katarzyna Koszałka ze studia mDom. – Dlatego są zachowawczy. Boją się, że jeśli powieszają oryginalnie dobraną lampę czy zasłonę, to zostaną wyśmiani przez znajomych. Dlatego meble, choć dość drogie, wciąż kupują w gotowych zestawach. Gustownie, ale bez indywidualizmu.

A co z biznesokracją? – Oczywiście widać u nich zamożność, ale ta grupa jest zwykle odważniejsza i nie boi się urozmaicać nowoczesnego wnętrza odrestaurowaną sofą z gieldy staroci – mówi Koszałka.

Schody zaczynają się wtedy, gdy wchodzi my do starego domu.

Test ściany

Bo w starszym domu każdy mebel wygląda, jakby był z innej parafii – skórzana sofa sąsiaduje ze starą otomaną, dywany nie są nowe, podobnie jak podłoga. Jasne, że etosowa inteligencja – podobnie jak *high society* – często mebli nie kupuje, bo je dziedziczy, ale przecież kredytowa burżuazja też prędzej czy później może zaopatrzyć się w antyki, bo to modne. Wpadliśmy w pułapkę bez wyjścia? Nic z tych rzeczy. Pomocną dłoń z nów wyciąga Kate Fox, która proponuje test tak zwanej ściany przechwałek. To miejsce, gdzie wieszamy przedmioty świadczące o naszej pozycji, na przykład zdjęcia ze znajomymi ludźmi, dyplomy, a także cenne obrazy.

Kredytowa burżuazja umieści je na ekspozowanym miejscu, na przykład nad kominem w salonie. Klasy wyższe – powtórzymy – nikomu nie muszą niczego udowadniać, dlatego ich ściany chwały znajdziemy choćby w toalecie. „To sprytna sztuczka: goście prędzej czy później skorzystają z tej właśnie toalety i nasze osiągnięcia zrobią na nich stosowne wrażenie, ale wystawiając je tam, jednocześnie sobie z tych trofeów żartujemy i w ten sposób nie można nas posądzić o przechwalanie się” – przekonuje Fox.

Zróbcie taki test wśród znajomych. Ja w toalecie znanej łódzkiej reżyserki znalazłam zdjęcia z VIP-ami, u warszawskiego artysty – prace grupy Twożywo.

REKLAMA

By rozpoznać klasę, najlepiej dać się zaprosić na wesele. Nawet jeśli młodzi społecznie awansowali, to i tak rodzina kieruje się własnym gustem

PRZEMEK POKRYCKI

Z doświadczenia praktyków wynikają jednak jeszcze inne nieomyślne oznaki przynależności klasowej. Fotograf Przemek Pokrycki z pełnym przekonaniem twierdzi – by poznać klasę, najlepiej dać się zaprosić na wesele. Po- ra na rundę trzecią.

Parada ze słonecznikiem

Styl można przyswoić, zabytkową szafę kupić, ale w tej szafie ukryte są niezbite dowody – albumy ze zdjęciami. – Nawet jeżeli młodzi niby awansowali już klasowo, to i tak rodzina, która zwykle wyprawia im przyjęcie, kieruje się własnym gustem – tłumaczy Przemek Pokrycki, który od sześciu lat tworzy cykl „Rytuały przejścia”. Fotografuje rodzinne uroczystości, ludzi z wielu stron Polski, o różnym pochodzeniu. Odwiedza wesela, pogrzeby, chrzciny.

Otwiera teczkę ze zdjęciami i zabieramy się do oglądania. Choć klasy niższe wybierają wnętrza z kolumnami i złotymi obrusami, sztuczność dekoracji rzuca się w oczy. To zwykle domy weselne. Widać też skromne wesela, w domu, nawet w stodole, przy gołej żarówce. – Ale zaraz. By mieć pewność, że owa stodola to nie zabawa konwencją, którą urządziła sobie klasa wyższa, należy przyrzeć się osobom – zauważa Pokrycki. – Stroje, fryzury i poza, w jakiej stoją młodzi, powiedzą więcej niż tło.

Na przykład młoda para inteligentów z Białegostoku posadziła gości na pieńkach w namiocie, a pan młody paradował z wielkim słonecznikiem w butonierce.

Najbardziej jednak zainteresowało mnie zdjęcie ze ślubu w prawdziwej *high society*. Młodzi na tle białych namiotów w ogrodzie – ona ma na sobie prostą białą sukienkę z rękawkami do łokcia, dyskretny makijaż i biały kwiat we włosach, on w dopasowanym smokingu, z ręką w kieszeni. – Ich swobodę widać na pierwszy rzut oka – fotograf nie kryje podziwu. W tle dobrze ubrani goście rozmawiają ze sobą, zamiast sztucznie się uśmiechać do obiektywu.

Oto wymarzona elita, klasa wyższa *par excellence*, chociaż *high society* na modłę zachodnią to w Polsce wciąż bardzo rzadki gatunek. Chodzi bowiem o ludzi, których autorytet społeczny jest tak niepodważalny, majątek tak duży, a wpływ na życie publiczne tak przemożny, że nie drżą na myśl o degradacji w klasowym rankingu.

Często legitymują się też wieloma pokoleniami zaangażowania społecznego i charytatywnego. W dojrzałych demokracjach są naturalnym rezerwuarem dla życia politycznego – mogą sobie pozwolić na pracę dla idei, nie dla awansu czy zysku. Miną dekadę, nim *upper class* rozwinie się i okrzepnie nad Wisłą. Tu nie ma dróg na skróty.

Dlatego stop! Odlóż na bok albumy i nożyczki. Wycinanie rodziny z fotografii i tak nie pomoże. Karol Marks miał rację: walka klas trwa w najlepsze. Ale – jak widać – w dużym stopniu toczy się w naszych głowach. □

RADIO VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 23 marca o godz. 20.00

Kupując Internet SuperLiga dla Firm, wspierasz naszą nową kadrę.

► internet za 49 zł mies.
+ abonament
telefoniczny gratis



netia
WOLNOŚĆ WYBORU

801 802 803
(także z komórki)
SMS: 4144

www.netia.pl

Podana cena jest ceną miesięczną brutto. Abonament telefoniczny gratis obowiązuje przez 4 miesiące przy umowie na zakup pakietu usługi internetowej z telefoniczną na 24 miesiące, przy czym gratis oznacza, że operator udziela rabatu w kwocie wysokości opłaty abonamentowej. Szczegółowe Warunki Promocji na www.netia.pl. Koszt połączenia z infolinią oraz SMS-a zgodny z cennikiem Twojego operatora. Netia nie jest sponsorem profesjonalnej piłki nożnej.

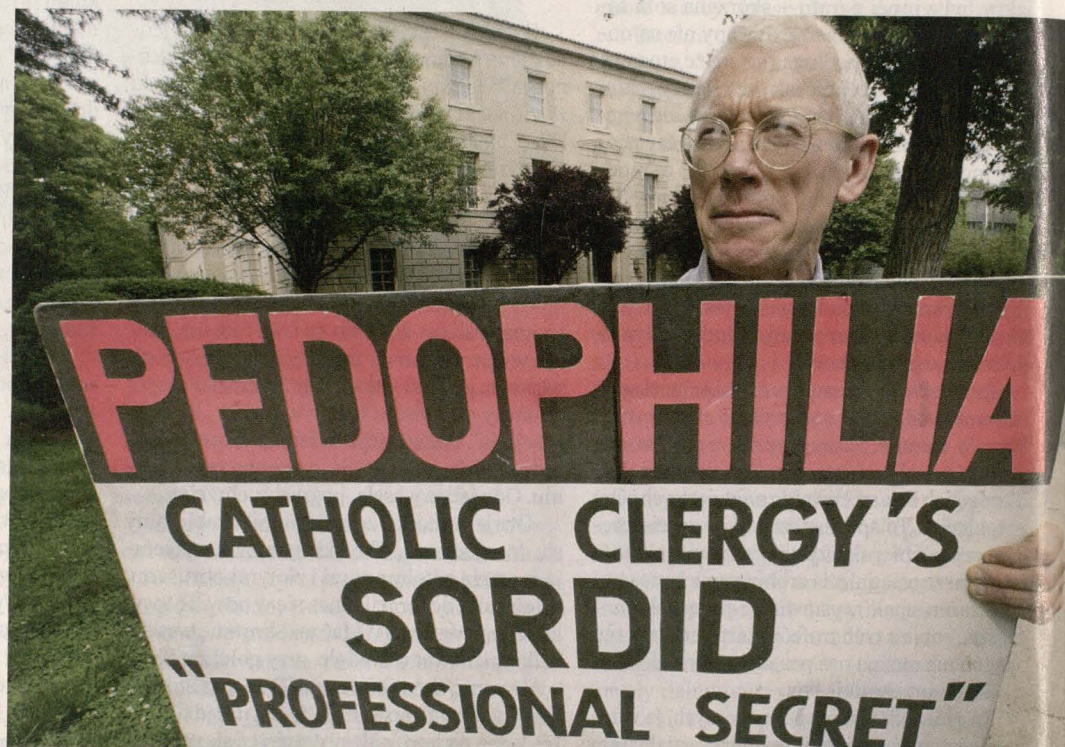
Czyścić Kościół, piekło ofiar

Pedofilia nie będzie już zamykana pod dywan? Watykan przyznaje, że ma z nią problem i chce go rozwiązać. Podobno chce to móc

Ta historia jak w soczewce skupia trzy najcięższe grzechy Kościoła: lekceważenie ofiary, bezkarność sprawcy oraz tuszowanie przestępstwa.

– Wystarczy dźwięk albo specyficzny zapach, bym natychmiast zmienił się w małego przerażonego chłopca – opowiada 60-letni Norbert Denef z Scharbeutz na północy Niemiec. Każdego dnia usiłuje uwolnić się od myśli o tamtym księdzu. I o tamtym dniu, gdy jako 10-latek po raz pierwszy służył do mszy. – Byłem dumny i podniecony. Ksiądz zabrał mnie do swojego mieszkania, zamknął drzwi, rozpiął mi spodnie, a potem mi to zrobił. W jednym momencie zamordował moją duszę – wspominał Denef w rozmowie z dziennikarzami. Ksiądz molestował chłopca przez pięć lat. Po interwencji organisty kapłana przeniesiono do innej parafii. Tyle że organista też był pedofilem. Przez kolejne trzy lata wykorzystywał chłopca. A przez następne 35 Denef cierpiał w milczeniu. Ożenił się, urodziły mu się dzieci, ale wciąż milczał. Gdy w końcu wyznał prawdę, bracia i siostry uznali, że zhańbił rodzinę i nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Denef poinformował również władze kościelne. Zaofiarowały 25 tysięcy euro. Pod jednym warunkiem – że znowu będzie milczał. Odmówił.

Dziesiątki takich historii rozgrywających się według jednego upiornego schematu wywołały efekt domina – europejskie Kościoły jeden za drugim uginają się pod brzemieniem zarzutów. Jeszcze biskupi w Irlandii nie zdążyli rozliczyć się z tysięcy przypadków molestowania i przemocy wobec uczniów w katolickich placówkach, a już wybuchła afera w Niemczech. Na początku roku tygodnik „Der Spiegel” poinformował o blisko 200 takich przestępstwach dokonanych w jezuickich szkołach w całym kra-



Polak Jan Wojnowski od 1998 roku przypomina Kościołowi o jego grzechu. Regularnie przychodzi pod budynek nuncjatury apostolskiej w Waszyngtonie. – Kierowcy już na mnie nie trąbią – mówi

ju. W tym miesiącu okazało się, że do nadużyć doszło też w Bawarii, między innymi w chłopięcym chórze, którego dyrektorem przez ponad 35 lat był brat papieża, ksiądz Georg Ratzinger. Cień podejrzenia padł też na samego Benedykta XVI. Prasa ujawniła, że w latach 80. w archidiecezji Monachium duchownego podejrzano o molestowanie uczniów, zamiast odsunąć od pracy z dziećmi, wysłano na terapię, a potem przeniesiono do innej parafii. Dziennikarze twierdzą, że Joseph Ratzinger, wówczas tamtejszy arcybiskup, musiał o tym wiedzieć. Watykan odpowiedział kategorycznym dementi.

Jakby tego było mało, przeor klasztoru w Salzburgu przyznał, że ponad 40 lat temu molestował 12-latkę. Z kolei do episkopatu Holandii zgłosiło się ponad 300 osób, które twierdzą, że jako dzieci padły

ofiara księży. Szwajcarzy poinformowali o 60 takich przypadkach, a niemal codziennie pojawiają się nowe.

Hierarchowie przez dziesięciolecie nie radzili sobie z pedofilią wśród duchownych. Przyszła pora, by posłuchali głosów spoza murów biskupich kurii, klasztorów i seminariów.

Słońce pomoże

1. przepros, 2. przyznaj się do winy, 3. przeciwdziałaj, 4. popraw się, 5. powetuj straty – to standardowy plan 5P, który stosuje się w kryzysowych sytuacjach w firmach i instytucjach, ale równie dobrze działałby w Kościele. Do jego wdrożenia przekonuje Adam Łaszyn, specjalista do spraw mediów i marketingu: – Najważniejszy jest punkt czwarty, czyli reforma. Kolejną aferę tego samego rodzaju opinia publiczna uzna za sygnał, że nie

wyciągnięto żadnych wniosków – mówi Łaszyn.

Słońce jest najlepszym środkiem dezynfekującym – dodaje Michael Novak, czołowy amerykański ekonomista i teolog. – Pokazanie winnych w pełnym świetle odstraszy nie tylko innych grzeszników, ale także tych, którzy byliby skłonni tuszować ich występkę.

Novak wie, o czym mówi: fala skandali w Europie do złudzenia przypomina to, co 10 lat temu działo się w USA. – Bardzo cierpieliśmy, widząc, jak zblądzieli nasi biskupi. Latami przymykali oczy na potworne zbrodnie, a potem odszkodowaniami starali się uciszyć ofiary – przyznaje teolog. – Żaden biskup nie poszedł do więzienia, a dopiero to byłoby poważnym ostrzeżeniem – twierdzi Janet Hauter, wiceprzewodnicząca organizacji Głos Wiernego, która powstała po wybuchu afer pe-

dofilskich w USA i kieruje się zasadą „Zachowaj wiarę, zmieniaj Kościół”. Kwestia rozliczenia hierarchów powraca jak bumerang – podnosi ją wierni w Ameryce, potem w Irlandii, teraz w Niemczech. Nawet jeżeli proces przed sądem jest mało prawdopodobny, bo z punktu widzenia prawa karnego niełatwo udowodnić biskupowi winę, to i tak surowe konsekwencje powinien wyciągać sam Kościół. – Ale Kościół utknął w połowie drogi. Do odpowiedzialności pociągani są tylko szeregowi kapłani – potwierdza amerykański publicysta katolicki John L. Allen.

Rzeczywiście, dotychczas kończyło się tylko na nielicznych dymisjach, na ogół bez podania przyczyny. Przykładem z polskiego podwórka jest arcybiskup Juliusz Paetz z Poznania, którego klerycy oskarżyli o molestowanie. W 2002 roku metropolita wprawdzie złożył rezygnację i przeszedł na emeryturę, ale zarzuty nazwał „nadużyciem jego dobroci i spontaniczności”. Nie opuścił rezydencji na Ostrowie Tumskim, brał udział w życiu publicznym. Jedną decyzją Watykanu, którą można by potraktować jako sankcję – na terenie archidiecezji arcybiskup Paetz nie może bierzować, wysłuchiwać księży i konsekrować kościołów.

W świeckie ręce

David Clohessy miał 12 lat, gdy na zorganizowanej przez parafię w Missouri wyprawie kajakowej ksiądz zmusił go do seksu. Potem robił to przez kolejne cztery lata, korzystając z tego, że David służył do mszy. Chłopiec domyślał się, że ksiądz Whiteley molestował też jego troje rodzeństwa, ale nie odważył się z nimi porozmawiać. Prawdę wydobyła z niego dopiero żona, z zawodu psycholog, która chciała się dowiedzieć, dlaczego mąż cierpi na bezsenność. W 1991 roku Clohessy wytoczył księdzu Whiteleyowi proces, ale sprawę umorzono, bo uległa przedawnieniu. To jednak nie koniec rodzinnego dramatu. Jeden z braci Davida, Kevin, został księdzem i sam był oskarżony o molestowanie dzieci. David ze wstydem przyznaje, że już w latach 80. słyszał plotki o dziwnym zachowaniu Kevina, ale nie zdobył się na rozmowę z bratem. Nie zaalarmował też policji ani Kościoła. Był przekonany, że to bezskuteczne.



John L. Allen
(z lewej)
oraz **David Clohessy**
– czyli życzliwy krytyk Kościoła i ofiara księdza

Potem jednak zmienił swoje myślenie o 180 stopni i dziś już nie zamierza kapitulować. Jest dyrektorem SNAP, największej amerykańskiej organizacji osób molestowanych przez katolickich duchownych. Słynie między innymi z komunikatów ostro krytykujących hierarchów za – jak twierdzi – działania pozorowane. – Żadna instytucja nie powinna sama badać nadużyć we własnym łonie, a szczególnie nie może tego robić tak skostniała i pełna sekretów wspólnota jak Kościół. Sprawy trzeba oddać w ręce niezależnych świeckich prokuratorów – mówi. Podobnie radzi John L. Allen: najważniejsze, by Kościoły na całym świecie informowały władze świeckie i z nimi współpracowały. A po zakończeniu śledztwa trzeba ujawnić jego rezultaty.

Niektóre wspólnoty już idą w tym kierunku – w Holandii konferencja biskupów powołała komisję do zbadania nadużyć. Na jej czele stanął protestant, były burmistrz Hagi i minister edukacji Willem Deetman. Z kolei w Niemczech w przyszłym miesiącu ma się odbyć okrągły stół z udziałem rządu i hierarchów. Ze strony Kościoła padła propozycja, by wydłużyć czas, po którym przestępstwa na tle seksualnym ulegają przedawnieniu, z 10 lat do 30, i to liczonych od chwili, gdy ofiara ukończyła 18. rok życia.

Nie może być też już mowy o tym, by księży pedofilów wysłać na terapię, a potem umieszczać w innych parafiach. – Pedofilów nie da się wyleczyć, można ich jedynie nauczyć wyłapywania symptomów zbliżających się zachowań perwersyjnych i ich kontrolowania – tłumaczy psycholog Aleksandra Jodko z warszawskiej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Można też za pomocą leków obniżyć popęd seksualny. Pod żadnym jednak pozorem nie wolno tych ludzi kierować z powrotem do pracy z dziećmi. To igranie z ogniem.

Zakaz przenoszenia księży z parafii do parafii został zapisany w specjalnym dokumencie przyjętym przez biskupów USA już w 2002 roku. Amerykanie wypracowali także inne sensowne metody: w diecezjach działają komisje rewizyjne złożone w większości ze świeckich. To one przeprowadzają wstępne dochodzenie w sprawie doniesień o molestowaniu, a po zgromadzeniu dowodów informują Kongregację Nauki Wiary. Jeśli chociaż jedno oskarżenie zostanie potwierdzone, duchowny jest na zawsze zwalniany z posługi w Kościele, między innymi z publicznego sprawowania eucharystii. Może też zostać zupełnie wykluczony z kapłaństwa.

Powoli zmiany następują również w Polsce. W 2001 roku proboszcz z Tylawy został oskarżony o molestowanie dziewczynki. Zapadł wyrok skazujący, ale arcybiskup przemyski Józef Michalik pozwolił mu pozostać w parafii. Po protestach mieszkańców kapłan został przeniesiony do innej parafii. Ksiądz Kazimierz Sowa, dyrektor Religia.tv, twierdzi, że dziś taka pobłażliwość nie wchodzi w grę: – W takich przypadkach Kościół natychmiast odsuwa duchownego od dzieci – mówi. – Znam sprawę z południa Polski, gdzie skazanego księdza o pedofilskich skłonno-

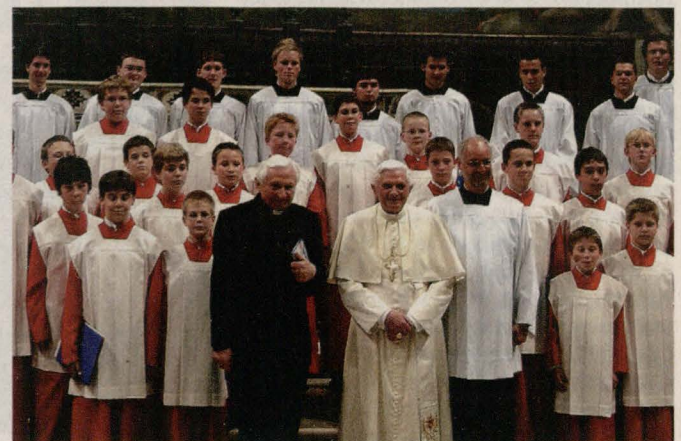
ściach przełożeni wyłączyli z duszpasterstwa, skierowali na leczenie, a potem wysłali do kościelnego domu emerytów.

Nieszczere intencje?

W samym Watykanie nastąpiła przede wszystkim zmiana tonu. Nie słychać już oskarżeń, że skandale rodmuchują antykościelne media, chciwi prawnicy i liberalni katolicy walczący z celibatem. Stolica Apostolska ustami swego rzecznika, księdza Federica Lombardiego, dwa tygodnie temu przyznała: „Tak, mamy problem. Ale zamierzamy go szybko i skutecznie rozwiązać”. Zmianę widać też w zachowaniu papieża. W 2001 roku jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary wysłał do biskupów USA list z poleceniem, by nie zgłaszali władzom cywilnym prowadzonych przez Kościół dochodzeń. Bo – jak tłumaczył – są one objęte tak zwaną tajemnicą pontyfikalną. Teraz stanowczo podkreśla, że „pedofile mają być wykluczeni z kapłaństwa”. W chwili zamykania tego numeru „Przekroju” oczekiwano na ogłoszenie listu Benedykta XVI do wiernych w Irlandii. Dokument ma wyjaśnić, jak Kościół zamierza zapobiegać molestowaniu dzieci, a także – jak ukarze sprawców.

Ale nie wszyscy wierzą w szczerość tych intencji. – To chwył marketingowy – uważa Clohessy. – Kościół po prostu nie może zignorować tak potężnego problemu, bo to zrujnowałoby jego wizerunek. Tyle że słowa skruszonych biskupów nie ochronią dzieci, jeżeli za tym nie idą czyny – dodaje z goryczą. Zapewne jednak bardzo chciałby się mylić.

Współpraca Sylwia Piechowska



Benedykt XVI, jego brat Georg i chór chłopięcy z Ratzby

Żywność masowego rażenia

Sprawa jest śmiertelnie poważna. Według danych rządu Stanów Zjednoczonych raczkujące dziś pokolenie Amerykanów będzie pierwszym od stulecia, które pożyje krócej od swoich rodziców. Powód: otyłość. Co trzecie amerykańskie dziecko ma chroniczną nadwagę, a co za tym idzie – jest skazane na nadciśnienie, cukrzycę, astmę albo raka. Na odsiecz rusza Michelle Obama. W połowie lutego Pierwsza Dama wystartowała z przygotowywaną przez rok kampanią Let's Move (Ruszmy się!), debiutując tym samym w – tradycyjnie wypełnianej przez żonę prezydenta – roli społecznej aktywistki. Przy wsparciu organizacji pozarządowych, biznesu i mediów będzie zachęcać dzieciaki, żeby odstawiły colę na rzecz soku, frytki na rzecz marchwi i siedzenie przed komputerem na rzecz ganiaania za piłką.

Inicjatywa szlachetna, tyle że jej szanse powodzenia są znikome. Żeby przestać tyć, Amerykanie na nowo muszą zbudować sobie system produkowania jedzenia. Ale na taką zmianę się nie zanoszą, bo nie pozwolą na nią ci, którzy dziś na karmieniu narodu zarabiają miliardy.

„Jesteś tym, co jesz” – mawiają za oceanem. Jeśli popularne powiedzenie potraktować dosłownie, naród amerykański jest zaprojektowanym w laboratorium, genetycznie zmodyfikowanym i wielokrotnie przetworzonym produktem wielkiej korporacji.

Nasiona

Największym żywicielem Ameryki jest dziś Monsanto – firma, która przez dziesięciolecia produkowała trucizny, jak środek owadobójczy DDT czy zawierający dioksyny preparat niszczący roślinność, używany przez amerykańską armię w Wietnamie. W połowie lat 80. korporacja Monsanto z giganta chemicznego przepoczwarzyła się w giganta spożywczego. Oprócz środków do trucia naukowcy w jej laboratoriach zaczęli po prostu wymyślać środki do jedzenia. W 1982 roku jako pierwsi zmodyfikowali genetycznie komórkę roślinną. I to właśnie na nasionach Monsanto wyrósł wielomiliardowy przemysł żywności genetycznie modyfikowanej (GMO).

Rozkwit interesu umożliwiła decyzja Sądu Najwyższego USA, który w 1980 roku pięcioma głosami przeciw czterem zezwolił na patentowanie żywych organizmów. Sprawa nie dotyczyła wprawdzie nasion GMO, tylko bakterii stworzonej przez General Electric do pożerania wycieków ropy, ale ustanowiła precedens dający początek przejściu produkcji

W amerykańskim przemyśle spożywczym liczą się dwie rzeczy – pokarm i konsument. Pierwszy jest przetworzony, więc tani, a drugi gruby, więc łasy. Oto prawdziwa sztuka tuczu

rolnej przez korporacje. Prawo do zbóż daje przecież władzę nad tym, co ludzie jedzą i czy w ogóle jedzą.

Ludzie Monsanto (firma istnieje od 1901 roku, a kokosy zarabiała już w latach 30. na sprzedaży sacharyny dla Coca-Coli) wpadli na pomysł tak prosty, że aż genialny: produkujemy jednocześnie silny środek chwastobójczy i roślinę, która będzie na niego odporna. Tak powstał Roundup i zmodyfikowana kukurydza. Farmer kupuje oba produkty, obsiewa pole kukurydzą i przyska Roundupem. Roundup kosi wszystko, co żywe, poza kukurydzą. Ta zaś – pozbawiona konkurencji – rośnie wysoka i żółta jak nigdy.

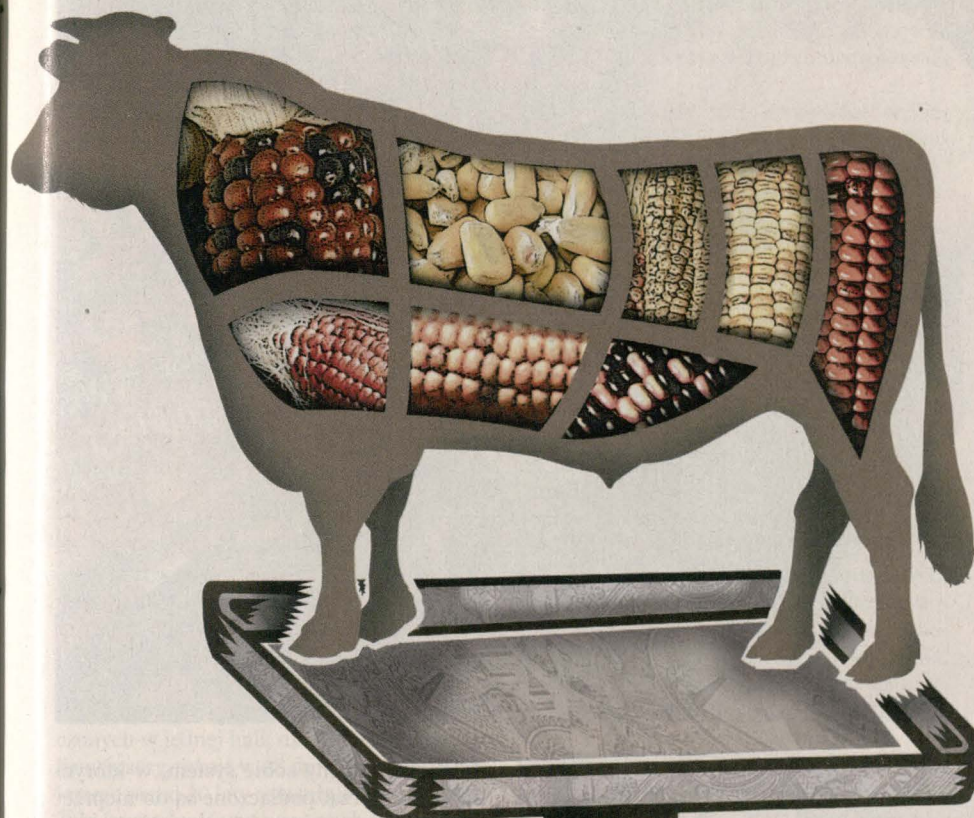
Wszyscy są zadowoleni. Monsanto – bo uzależnił farmera od swoich produktów. Z kolei zadowolenie farmera z wysokiej i żółtej kukurydzy jest tak duże, że podpisuje umowę licencyjną, która zakazuje mu zbierania nasion z zeszłorocznej uprawy, skazując go na roczną dostawę nasion z Monsanto. Dzięki temu farmer jest jeszcze bardziej uzależniony, a koncern – jeszcze bardziej zadowolony.

Monsanto ma własną policję i siatkę donosicieli. Prawie setka inspektorów wspierana przez informatorów sprawdza, czy producenci kukurydzy nie dopuszczają się – jak ujmuje to koncern – „nasiennego piractwa”.

Firma ma również sposoby na tych, którzy chcą zostać przy zwykłych uprawach. Metoda pierwsza: Monsanto systematycznie likwiduje rynek tradycyjnych nasion przez przejmowanie ich producentów. Dwa najważniejsze zakupy ostatnich lat – największy światowy producent nasion warzywnych Seminis (2005 rok; za 1,4 miliarda dolarów) i Delta and Pine Land Company, olbrzym specjalizujący się w nasionach bawełny (2007 rok; za 1,5 miliarda dolarów). Na rynku zaczyna więc brakować nasion niepozostających pod kontrolą monopolisty. Druga metoda: presja prawna. Niesione wiatrem nasiona Monsanto rozsiewają się na pola przypadkowych farmerów, a firma oskarża ich o kradzież. U Bogu ducha winnego delikwenta pojawia się inspektor Monsanto i informuje o dwóch możliwościach: albo zawieramy ugodę i podpisujesz z nami umowę licencyjną, albo mobilizujemy naszych prawników i rozpoczynamy długą batalię sądową. Zanim się skończy – będziesz zrujnowany. Według danych organizacji Center for Food Safety, która od lat monitoruje działalność Monsanto, większości farmerów nie stać na prawniczą wojnę i idą na układ z firmą. Ci niepokorni – jak 85-letni Vernon Gansbom z Nebraski – nazywają Monsanto rolniczym gestapo. Gansbom jest jednym



Michelle Obama wchodzi do gry o zdrowie małych Amerykanów



Większość amerykańskiego bydła tuczy się kukurydzą. Wszyscy od tego szybko tyją: krowy, naród i spożywcze korporacje



z około 500 rolników, którym korporacja każdego roku wytacza proces.

Monsanto jest dziś największym w USA właścicielem biotechnologicznych patentów. Ma ich prawie 700. Nie ma sobie równych na amerykańskim rynku genetycznie modyfikowanej kukurydzy, bawełny, buraków cukrowych, rzepaku, lucerny i soi. W przypadku tej ostatniej – odpowiada za 90 procent sprzedaży. Biorąc pod uwagę fakt, że prawie trzy czwarte żywności przetworzonej – a taką głównie jedzą Amerykanie – jest genetycznie zmodyfikowane, można sobie wyobrazić, jak ogromny jest wpływ Monsanto na ich dietę.

Zboża

Amerykanie jedzą głównie kukurydzę i soję. Powtórzymy: głównie z nasion Monsanto. W przeciętnym amerykańskim supermarkecie na półkach leży ponad 40 tysięcy różnych produktów spożywczych. Ale to bogactwo wyboru jest pozorne. Większość asortymentu jest zrobiona z tych samych składników. Według Larry'ego Johnsona, dyrektora ośrodka badań nad zbożami Uniwersytetu Stanowego w Iowa, 90 procent przetworzonej żywności w supermarketach ma w składzie albo kukurydzę, albo soję. Do tego sól, cukier i cała gama środków chemicznych decydujących o tym, jak jedzenie smakuje, wygląda i jak długo zachowuje „świeżość”. Tak żywi się większość Amerykanów.

Za taki stan rzeczy odpowiada polityka rolna USA, która od połowy lat 70. zwiększa subsydiowanie uprawy czterech zbóż: kukurydzy, soi, ryżu i pszenicy. Ich zaletą, z punktu widzenia rządu, jest to, że można je składować latami. Dla farmerów najwygodniejsza jest kukurydza, bo najlepiej się sprzedaje. 30 procent ziemi uprawianej dzisiaj w Stanach Zjednoczonych jest obsiane kukurydzą. Cmoka na to ze smakiem kilka korporacji kontrolujących rynek jej obróbki – Bunge, Cargill czy Archer Daniels – bo dzięki dopłatom kukurydza ląduje na rynku po cenach znacznie poniżej kosztów uprawy. Produkują z niej mączkę i – przede wszystkim – bogaty we fruktozę syrop i sprzedają dalej kilku gigantom kontrolującym rynek przetwarzania żywności – znanym również u nas – Unileverowi, Nestlé, Coca-Coli, Kellogg's. Żeby było pysznie, czyli słodko, syropem kukurydzianym (jest tańszy od cukru) słodzi się wszystko – ciasteczka i lody, ale też płatki śniadaniowe, pieczywo, a nawet wędliny, sosy w proszku, zupy w proszku, ziemniaki w proszku i hamburgery. Zadowoleni są rolnicy, korporacje i konsumenci. To, że ci ostatni tyją i umierają od tego tycia, mało kogo interesuje.



Donna Simpson
(42 lata, 300 kg wagi)
na codziennych zakupach
w ulubionym sklepie

→ Przetworzona, wysokokaloryczna żywność jest na półce w supermarkecie dużo tańsza niż świeże warzywa i owoce. I to wcale nie ekologiczne (te są jeszcze droższe), tylko pochodzące z wielkich, nawożonych na potęgę farm, ale niecieszące się aż tak hojnym wsparciem rządu jak cztery „zboża przetrwania”. Doktor Adam Drewnowski z Uniwersytetu w Waszyngtonie wyliczył, że najtańsze kalorie mają w sobie chipsy (w ich przypadku wyprodukowanie jednego megadżula, czyli 239 kilokalorii, kosztuje 20 centów). Cola jest tylko ciut droższa (30 centów/MJ). Megadżul z marchewki to wydatek 95 centów, a z soku pomarańczowego – 1,43 dolara. Profesor Uniwersytetu Kalifornii Michael Pollon, najpopularniejszy dziś rzecznik rewolucji w amerykańskim systemie rolno-spożywczym, podsumowuje to tak: – Status społeczny i sytuacja finansowa rodziny są dziś w USA decydującym czynnikiem otyłości. Biedni jedzą tanią korporacyjną mamię i tyją.

Hamburger

Sam cukier to za mało, żeby było smacznie. Musi jeszcze być tłusto. Dlatego teraz przerobimy mięso. Amerykańskie mięso jest bardzo tłuste, bo robi się je z kukurydzy. Z kukurydzy z nasion Monsanto. Trudno w to uwierzyć? Sami popatrzcie.

W przemyśle mięsnym wszystko zostało podzielone. 85 procent rynku wołowiny jest w rękach czterech firm: Tyson, Cargill, Swift i National Beef Packing. Wieprzowina w 65 procentach należy do wymienionych wyżej trzech pierwszych i giganta Smith-

field, a 60 procent kurczaków to znów Tyson i drobiowy specjalista Pilgrim's Pride. W latach 70. istniało kilkanaście tysięcy małych ubojni. Dziś zostało 13 gigantycznych. W największej rzeźni świata – należącej do Smithfield – w Karolinie Północnej ubija się 32 tysiące świń dziennie, czyli 1333 na godzinę, czyli 22 na minutę. Non stop, całą dobę.

Większość hodowanych w USA krów karmi się kukurydzą lub soją. Krowy są ewolucyjnie przystosowane do jedzenia trawy, ale trawa nie rośnie w hodowlanych konglomeratach, poza tym jest droga, a kukurydza i soja cieszą się znanym nam już korporacyjno-rządowym wsparciem. Na kukurydzy krowa szybciej rośnie, mięso jest bardziej tłuste i tańsze. Przeciętny Amerykanin zjada dziś 90 kilogramów mięsa rocznie (Polak 65), czyli o 30 kilogramów więcej niż przed 50 laty.

Michael Pollon: – Kukurydza i soja to fundamenty naszego „fastfoodowego narodu”.



W największej rzeźni świata w Karolinie Północnej praca wre nieprzerwanie

Zorganizowaliśmy sobie system, w którym miliony zwierząt podłączone są do nieprzerwanego strumienia taniej paszy.

Oczywiście świeże mięso w kawałku, mimo że wyhodowane na taniej kukurydzy, jest dużo droższe od mięsa przetworzonego. Dlatego niezamożny Amerykanin spożywa przede wszystkim mięso po wielokrotnych fabrycznych przejściach – w postaci hamburgera. Mięso w typowym amerykańskim hamburgerze – jak w październiku zeszłego roku w głośnym artykule na łamach „New York Timesa” opisał Michael Moss – pochodzi z kilkuset zwierząt. „Mięso” jest tu terminem umownym, bo mieści się resztki tego, co nie „poszło” w postaci steków – tłuste ścinki, oczy, uszy i podroby. Kto jest największym odbiorcą mielonej wołowiny w USA? McDonald's.

Za symbol uprzemysłowienia produkcji mięsa niech posłuży jedna ze scen z krytycznego wobec branży spożywczej filmu „Food, Inc.” w reżyserii Roberta Kennera. Opowiadając do kamery o swojej pracy, naukowiec grzebie w krowim żołądku. Z tym że żołądek jest jeszcze w krowie, krowa jest jeszcze żywa, stoi na czterech nogach z opuszczonym łbem. Nie zwraca uwagi na to, że ma dziurę wyciętą w boku, oklejoną plastikiem. Nazywa się to rumenotomią, a fachowa nazwa dziury to przetoka. Naukowcy od jedzenia wymyślili taką sztuczkę, żeby „na żywo” badać, co się dzieje w żołądku krowy, kiedy zje coś, na co nie przygotowała jej ewolucja.

W przypadku kukurydzy nie dzieje się za dobrze. Badania potwierdziły, że najbardziej

prawdopodobną przyczyną dręczącej Amerykanów epidemii zakażeń bakterią *E. coli* jest karmienie krów kukurydzą. Bakteria, która pojawiła się w wołowinie na początku lat 80., gdy tempa nabierał rozwój przemysłu mięsnego, zaraża się 70 tysięcy Amerykanów rocznie. Choć zazwyczaj kończy się na kilkudniowych biegunkach, niektórzy jednak umierają – jak dwulatek Kevin Kovalcyk w 2001 roku, lub zostają sparaliżowani – jak opisana przez Mossa w „New York Timesie” Stephanie Smith. Zakażeń można by uniknąć, gdyby mięso było porządnie badane. Ale nie jest. W latach 70. rząd przeprowadzał 50 tysięcy kontroli mięsa rocznie, dziś – mniej niż 10 tysięcy. Tak zwane prawo Kevina (na cześć małego Kovalcyka), które umożliwiłoby zamykanie zakładów sprzedających zatrute mięso, utknęło w kongresowych komisjach. Dlaczego? Odpowiedź w następnym rozdziale.

Nie gorzej od producentów wołowiny radzą sobie bossowie od kurczaków. Na wzór Monsanto wyspecjalizowali się w uzależnieniu od siebie hodowców. Korporacja stawia halę produkcyjną wartą 300 tysięcy dolarów i podpisuje z farmerem kontrakt. Hale i kury należą do firmy, rolnik dostaje wypłatę za samą hodowlę. Dziesiątki tysięcy ptaków słończonych w jednej hali, na dostarczonej przez firmę paszy, rośnie w 48 dni do rozmiaru, jaki jeszcze przed 30 laty osiągały w trzy miesiące. Taki kurczak nie umie nawet chodzić, bo kości nie nadążają za rosnącą jak szalona masą mięśniową. Raz na kilka lat bossowie zgłaszają się do rolnika i przedstawiają listę koniecznych unowocześnień. Możliwości odmowy nie ma, bo firma zerwie kontrakt i farmer zostanie z wielotysięcznym długiem. Więc unowocześnia – znów na kredyt, który dalej wiąże go z korporacją.

Prawo

Żeby interes się kręcił, trzeba mieć swoich ludzi w rządzie. Lobby przemysłu spożywczego kontroluje wszystkie kluczowe dla siebie urzędy i stanowiska w Waszyngtonie. Zasiadają tam:

Tom Vilsack. Dziś sekretarz rolnictwa. Do niedawna – przewodniczący Porozumienia Gubernatorów na rzecz Biotechnologii (jako gubernator Iowa), organizacji lobbującej na rzecz GMO i klonowania zwierząt hodowlanych, regularny pasażer prywatnych odrzutów zarządu Monsanto.

Islam Siddiqui. Dziś Główny Negocjator Rolniczy (urząd dbający o sprzedaż amerykańskich produktów rolnych za granicą). Do niedawna – wiceprezes koalicji CropLife zrzeszającej biotechnologiczne giganty (z Monsanto na czele).

Roger Beachy. Dziś szef Narodowego Instytutu Żywności i Rolnictwa (badania naukowe nad żywnością). Do niedawna – prezes opłacanego przez Monsanto centrum badań nad roślinami Danforth.

To tylko trzy przykłady z najwyższej półki. W Departamencie Rolnictwa i wszystkich urzędach okołospożywczych roi się od ludzi, którzy w niedalekiej przeszłości zajmowali kluczowe stanowiska w kontrolujących rynek korporacjach.

Pozycję branży rolno-spożywczej w Waszyngtonie cementuje też 1,2 miliarda dolarów wydanych przez ostatnie 10 lat na lobbowanie Kongresu i Białego Domu.

To dzięki tym pieniądzom rokrocznie spada liczba przypadków kontroli mięsa, a prawu Kevina ukręcono łeb. Również dzięki nim w USA nie trzeba na etykietach informować konsumentów, czy żywność jest genetycznie modyfikowana albo czy krowom, od których pochodzi mleko, wstrzykiwano sztuczne hormony. Co więcej, producenci hormonów (w tym największy – uwaga – Monsanto) walczą o to, żeby nie można było mówić ludziom, że mleko NIE pochodzi od krów faszeryowanych hormonami. Dziś, jeśli producent chce poinformować o tym odbiorcę, musi na nalepce dorzucić informację, że wedle znanych badań mleko z hormonami jest tak samo dobre. Trwa batalia o to, aby w przyszłości Amerykanie nie mogli się dowiedzieć, czy świnia, z której kotlet jedzą, została poczęta naturalnie, czy w laboratorium genetycznym.



Bill Cook – jeden z niewielu właścicieli małych firm nasiennych, który nie dał się kupić korporacji

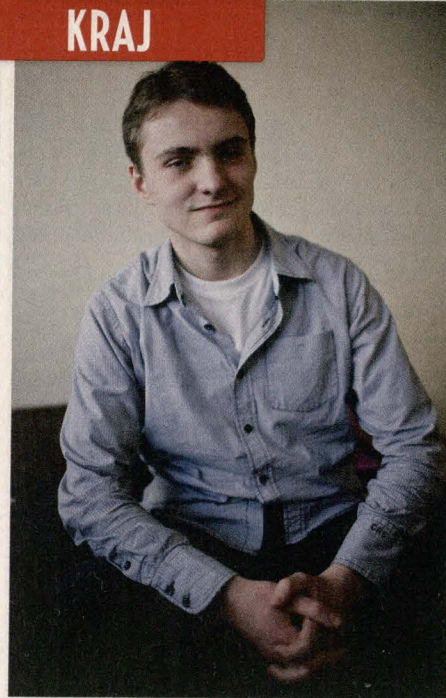
To dzięki pieniądzom wydanym na lobbing branża skutecznie rozmyła definicję żywności ekologicznej (*organic*). Zachowując na etykietce przyznawany przez rząd stempeł *organic*, można dziś do jedzenia dodawać środki wzmacniające smak i zapach, spulchniacze, sztuczne tłuszcze, można używać roślin nawożonych i transportowanych z drugiego końca świata. To, że branża *organic* jest warta 23 miliardy dolarów rocznie i rozwija się szybciej od innych sektorów spożywczych, nie znaczy, że Amerykanie zaczęli jeść zdrowo – choć wielu z nich tak myśli. Najbardziej popularne marki żywności *organic* należą do gigantów: Nestlé, Krafta, Coca-Coli. Zdrowa żywność została kupiona przez korpora-

cje i przestała być zdrowa. Wreszcie – dzięki „legalnej korupcji”, jak często nazywa się lobbing – w USA nie ma publicznej dyskusji na temat żywności GMO. W korporacyjno-politycznych gabinetach już zdecydowano, że jest bezpieczna i uratuje ludzkość przed głodem.

Sprzedaż

Skoro się wyprodukowało, trzeba sprzedać. Tym zajmą się specjaliści od marketingu. Branża wydaje na reklamę 36 miliardów dolarów rocznie, w tym 13 miliardów na przekaz skierowany do dzieci. Mały Amerykanin ogląda codziennie 30 spotów telewizyjnych reklamujących słodki i tłusty junk food. Z taką nieprzerwaną marketingową nawałnicą mierzyć się będzie kampania Let's Move Michelle Obamy. Szkoda tylko, że gdy ona ją przygotowywała, jej mąż w gabinecie obok podpisywał kolejne nominacje dla agrospożywczych bonzów, którzy – jak mówi jeden z niezależnych farmerów w filmie „Food, Inc.” – traktują konsumentów z taką samą troską jak bydło, które zarzynają.

Oczywiście USA nie są jedynym krajem, gdzie produkcja żywności została uprzemysłowiona. Jednak nigdzie indziej aż tak silnej kontroli nad tym, co jedzą ludzie, nie dierży



Kuba z Chojnic: – Gdy wracam do domu, gram z kolegami w hokeja na trawie



Edyta ze Złotników Kujawskich: – Jestem tu, bo startowałam w dwóch olimpiadach



Ania z Wągrowca: – Będę zdawała do szkoły aktorskiej albo na prawo



Wojtek z Zielonej Góry: – W moim mieście są dobre szkoły, ale nie aż tak



Basia z Pilicy: – Po wygraniu olimpiady matematycznej dostałam list z tego liceum



Piotrek z Torunia: – Jestem w pierwszej klasie i nie mam pojęcia, co będę robił w życiu

ZDOLNI DO WSZYSTKIEGO

EDUKACJA TEKST IGOR RYCIĄK, ZDJĘCIA MICHAŁ ŁUCZAK

W NAJLEPSZYM RAZIE SŁYSZYSZ, ŻE JESTEŚ KUJONEM. TYMCZASEM TY NIE MUSISZ KUĆ, BO NAUKA SAMA WCHODZI CI DO GŁOWY. TU ZNAJDZIESZ AZYL. TORUŃSKIE LICEUM AKADEMICKIE TO **JEDYNA W KRAJU** PLACÓWKA DLA DZIECI WYBITNIE UZDOLNIONYCH. **PODKREŚLMY – WYBITNIE**

SZÓSTKI W PODSTAWÓWCE, WZOROWE ZACHOWANIE I MUROWANE MIEJSCE W PIERWSZYM RZĘDZIE NA SZKOLNEJ AKADEMII? Nie, to nie wystarczy, by zostać uczniem Gimnazjum i Liceum Akademickiego w Toruniu. – Tu mamy do czynienia z prawdziwymi geniuszami – zastrzega profesor Zbigniew Bobiński z wydziału matematycznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, jednocześnie nauczyciel w szkole.

Mowa jest zatem o cudownych dzieciach, jak Wolfgang Amadeusz Mozart, który w wieku trzech lat grał na klawesynie, a po kolejnych pięciu komponował swą pierwszą symfonię? – Nie myślę o tych, którzy ledwo przekroczą próg liceum, a już o kilka długości wyprzedzają studenta czwartego roku – znowu prostuje profesor Bobiński. – Oczywiście niektórzy wyróżniają się choćby świetną pamięcią, ale głównie chodzi o unikatowy sposób myślenia. O wytężanie własnych dróg do rozwiązania problemu.

Do gimnazjum i liceum kandydaci zjeżdżają z całego kraju. W sumie niemal 300 uczniów w gmachu, który kształtem sklepień i ceglana elewacją nawiązuje do gotyku toruńskiej starówki. W licealnej sali do historii wisi stare chińskie przysłowie: „Mistrz i uczeń dziwią się razem”. W tej szkole traktowane bardzo serio.

Mnożenie na skróty

Nieprzeciętni uczniowie z Torunia byli kiedyś niemowlętami (jak każdy), przedszkolakami (jak wielu) i wówczas niczym się nie wyróżniali. Często dopiero w podstawówce okazywało się, że nauka idzie im znacznie łatwiej niż reszcie. Że sami dochodzą do wniosków, których jeszcze nie omawiano na lekcjach. W końcu na zajęciach ziewali z nudów, bo to wszystko, o czym opowiadał nauczyciel, było dla nich za proste. Szkoła to była strata czasu. O tym, że nie tracą go teraz, przeważnie zdecydował przypadek.

Bo żaden uczeń toruńskiej szkoły nie dowiedział się o niej od nauczycieli w swoich rodzinnych miejscowościach. – Sama trafiłam na informację w Internecie – wspomina Edyta ze Złotników Kujawskich pod Inowrocławiem. – Dostałam list i pomyślałam, że warto spróbować – mówi Basia ze śląskiej Pilicy. Obie skończyły gimnazja poza Toruniem.

Rozsyłanie informacji do laureatów konkursów tematycznych to jedyna akcja promocyjna liceum. Nic więcej nie trzeba, miejsc zawsze jest mniej niż kwalifikujących się do ich zajęcia młodych ludzi – w ubiegłym roku na jedno przypadało dwa i pół kandydata. Dodatkowo uwagę na szkołę zwracają ogólnopolskie rankingi. W tym najbardziej prestiżowym – przygotowywanym przez miesięcznik „Perspektywy” – toruńskie Liceum Akademickie zajmowało w 2010 roku drugie miejsce. Pierwsze od lat okupuje XIII Liceum Ogólnokształcące w Szczecinie, które słynie ze szkolenia uczniów do startu w ogólnopolskich olimpiadach. A to jedyne kryterium rankingu „Perspektyw”.

Skupmy się więc na Liceum Akademickim. Rekrutacja jest tak ostra, że wielu potencjalnych kandydatów rezygnuje w przedbiegach. Odstrasza ich rzut oka na testy z ubiegłych lat. Bo często nawet świetni uczniowie nie wiedzą, jak rozgryźć zadania. Testy wstępne, które opracowują nauczyciele i wykładowcy uniwersyteccy, trwają od 45 minut do dwóch godzin. Matematyka, informatyka, fizyka, przyroda, wie-

dza humanistyczna, geografia – w zależności od profilu klasy. I nie są to znane z gimnazjalnych egzaminów plachty, na których trzeba wypełniać puste miejsca. Kandydat sam musi znaleźć metodę na rozwiązanie. „Wysokość opuszczona z wierzchołka kąta prostego w trójkącie prostokątnym dzieli przeciwprostokątną na odcinki o długości 4 cm i 6 cm. Oblicz pole i obwód trójkąta” – to przykład z ubiegłorocznego testu matematycznego.

Drugi etap rekrutacji to ocena osiągnięć kandydata – świadectwa, wyników egzaminów gimnazjalnych, udziałów w konkursach i olimpiadach oraz innych sukcesów. Komisja przelicza je na punkty. Dlatego w tym liceum każdy ma czym się pochwalić: Basia jeszcze w Pilicy była laureatką olimpiady matematycznej i stypendystką Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci, Wojtek też wygrał olimpiadę matematyczną, Edyta przebojem przeszła przez gimnazjalne konkursy tematyczne z chemii i matematyki. – Teraz, już w liceum, nikogo nie zmuszamy do udziału w olimpiadach – mówi Arkadiusz Stańczyk, dyrektor szkoły i nauczyciel geografii. – Zachęcamy, ale nie stoimy z batem.

Nikt im niczego nie nakazuje, a mimo to im się chce. To ich wyróżnia – twierdzi Adam Makowski, wicedyrektor szkoły, kolejny matematyk. – Ci młodzi ludzie nie mają najmniejszych oporów przed zadawaniem pytań. Robią to spontanicznie i tylko wtedy, gdy naprawdę chcą znać odpowiedź.

To ja chciałbym wiedzieć, kto wpadł na pomysł, by założyć taką szkołę? Dyrektor Stańczyk nie potrafi wskazać, w czym konkretnie umyśle narodziła się idea placówki dla geniuszy. Pamięta za to rok narodzin pomysłu i miejsce: 1994, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. W praktyce stworzyło ją kolegialne gremium o nazwie Komitet do spraw Opracowania Koncepcji Szkoły złożone z przedstawicieli kuratorium i kilku akademickich wykładowców. Pieńiądze na budowę dały Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz uczelnia, która jest tak zwanym organem założycielskim i donatorem.

Nauka ruszyła 1 września 1998 roku i do dziś są to jedyne prowadzone przez publiczną uczelnię gimnazjum i szkoła średnia w Polsce. Owszem, jest kilka takich prywatnych liceów, na przykład przy Wyższej Szkole Menedżerskiej w Warszawie czy Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie. Tam jednak chodzi o biznes, w Toruniu zaś wyłącznie o młodzież. – Nie czerpiemy ze szkoły wymiernych korzyści – zapewnia doktor Marcin Czyżniewski, rzecznik Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. – Oczywiście cieszymy się, gdy absolwent liceum zostanie naszym studentem, ale szkołę stworzyliśmy tylko po to, by wybitnie uzdolnionym umożliwić korzystanie z naszych zasobów.

Liceum ma na przykład nieograniczony dostęp do biblioteki UMK. Uczeń może też swobodnie korzystać z akademickich wykładów, ćwiczeń i konwersatoriów.

To nie dziwolągi

– Znam tę szkołę doskonale, kilkakrotnie ją wizytowałam – mówi Krystyna Łybacka, posłanka SLD, członek sejmowej komisji edukacji i była minister edukacji w latach 2001–2004. – Podobne placówki należy utworzyć przy innych dużych ośrodkach uniwersyteckich, tak

by wreszcie powstał realny system pomocy uzdolnionym uczniom – postuluje posłanka. Dlaczego więc nie są tworzone?

– Brak woli politycznej – tłumaczy była szefowa MEN. – W 2006 roku przygotowałam projekt noweli ustawy o systemie oświaty sankcjonującej tworzenie takich szkół przez uniwersytety i określający sposób ich finansowania przez resorty edukacji oraz szkolnictwa wyższego.

Projekt nigdy nie opuścił jednak sejmowej komisji. – Wyrzucając ustawę do kosza, posłowie argumentowali, że nie chcą tworzyć gett zdolnych uczniów, szkół dla wybranych, że państwowa edukacja musi być egalitarna – wylicza Krystyna Łybacka. – Krytyka spadła na mnie ze wszystkich klubów partyjnych od Ligi Polskich Rodzin po lewicę. Nawet Związek Nauczycielstwa Polskiego wydał negatywną opinię – żyzną się.

– W literaturze fachowej coraz więcej jest głosów negujących tworzenie specjalnych placówek dla zdolnych, bo izolacja jest mniej korzystna niż integracja – wyjaśnia Maria Mach, dyrektor biura Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci. – Młody człowiek wyrwany do takiej szkoły otrzymuje miano geniusza, którego potem trudno mu się pozbyć, a które wbrew pozorom może utrudniać funkcjonowanie w społeczeństwie – dodaje pedagog. Jej zdaniem kolejny problem to „wyjaławianie ziemi”: – Przeciężni uczniowie w przeciętnej szkole zyskują, obcując z wybitnym uczniem. Widzą jego sukcesy i zaangażowanie, jakie wkłada w naukę. To motywuje.

– Zacząć jednak trzeba od podstaw – precyzuje doktor Jerzy Lackowski, wykładowca Studium Pedagogicznego na Uniwersytecie Jagiellońskim, były małopolski kurator oświaty. – Od wprowadzenia elastycznego systemu oceniania i wynagradzania nauczycieli, którzy byłiby dodatkowo opłacani za opiekę →

→ i prowadzenie uzdolnionego ucznia. Obecnie obowiązująca Karta Nauczyciela demotyduje pedagogów do takiej pracy.

– Ja i moi koledzy nauczyciele wierzymy w nasz projekt – podkreśla z mocą dyrektor Arkadiusz Stańczyk.

– Kilka razy spotkałam uczniów tej szkoły. Byli jacyś przygaszeni w porównaniu z rówieśnikami – twierdzi Maria Mach.

– Nie wychowujemy dziwolągów, lecz młodych ludzi, którzy więcej wiedzą, ale poza tym są całkiem zwyczajni – oponuje dyrektor Stańczyk.

– Nikt inny w Polsce nie opracował realnego sposobu pracy z młodzieżą wybitnie uzdolnioną, a my to robimy w praktyce. Wciąż jesteśmy placówką eksperymentalną, choć ten eksperyment trwa już 12 lat.

Jakie są jego wyniki? – Na 20-lecie szkoły szykujemy zjazd absolwentów, wtedy przeprowadzimy wśród nich badania – zapowiada dyrektor. – Sprawdzimy, jaką drogą poszli, czy zrobili kariery i co im dała nasza szkoła.

Wybitne planowanie

– Gdy jako licealiści idziemy na wykłady na uczelnię, nie mamy żadnych kompleksów – opowiada Basia. – Czasem na zajęcia jesteśmy lepiej przygotowani: my zawsze mamy przeczytane zadane lektury, a studenci niekoniecznie.

– Niektórzy moi uczniowie nawet nie prowadzą zeszytów – mówi dyrektor Stańczyk. – Naprawdę nie muszą nic notować, bo każde słowo wypowiedziane na lekcji zapisuje się w ich pamięci. Jak w komputerze. Taki dar od losu.

– Przeczytaj tekst – nauczycielka geografii wskazuje dziewczynę w środkowym rzędzie (cicho siedzę w ostatniej ławce). Anna Zaklikiewicz siedem lat była asystentem w instytucie geografii toruńskiego uniwersytetu, od pięciu lat uczy w liceum. Dziś prowadzi lekcję o azjatyckich miastach-państwach. Wskazana nastolatka czyta fragment dotyczący ekonomii Hongkongu. To wstęp do burzy mózgów – uczniowie mają wyłowić gospodarcze zalety i wady miasta. Trzeba wziąć pod uwagę jego położenie, wielkość, zaludnienie oraz otoczenie polityczne. – Pośrednictwo w handlu z Chinami, kadry menedżerskie wykształcone jeszcze przez Brytyjczyków, niskie cła i podatki – uczniowie wymieniają plusy. – Ale i wysokie koszty importu energii, brak rolnictwa, przez co całą żywność trzeba ściągać z odległych regionów – to minusy.



W bursie jest Internet i telewizja, ale szachy i brydż są popularniejsze

Słabe i mocne strony Hongkongu nauczycielka wypisuje na tablicy, podsumowuje i omawia. Tuż przed dzwonkiem zadaje lekturę do przeczytania na następną lekcję. Czasu nie będzie dużo, bo po zajęciach uczniowie pracują z nauczycielami w małych grupach nad interesującymi ich problemami. – Uczeń wybitny jest systematyczny – ocenia doktor Izabela Deptuła, polonistka. – Potrafi organizować sobie życie. Ma plan, który konsekwentnie realizuje.

– Emocjonalnie są na poziomie nastolatka, intelektualnie to dojrzały ludzie. Ale to jedna z cech wybitnie uzdolnionej młodzieży – tłumaczy Katarzyna Śliwińska, szkolna psycholog. Każdy uczeń przechodzi badania, które pomogą dostosować tok nauki do jego osobowości. A jest to zbiorowisko indywidualności, choć spokojnych. I nauczyciele, i uczniowie zgodni twierdzą, że w szkole nie ma na przykład problemów z alkoholem. – Budynek ma 12 lat, ale ani razu nie musieliśmy malować toalet. Na ścianach nie pojawił się żaden napis – zapewnia dyrektor Stańczyk.

– Bo tu dla uczniów liczy się najpierw nauka, a potem? Potem długo, długo nie – przyznaje Mariusz Kamiński, nauczyciel fizyki. Pracuje na drugi etat w I LO, jednym z lepszych w Toruniu: – Tam najważniejsze tematy to: gdzie jest imprezka, kto robi grilla, a kto ognisko.

Zresztą w położonej obok bursie brak pomieszczeń na imprezy. Uczniowie płacą tylko 10 złotych dziennie – za wyżywienie. Cisza nocna jest ściśle przestrzegana, a dostęp do Internetu wyłącza się o godzinie 23.

Młodzi nie protestują. Chcą spać i zbierać siły. Bo w tym liceum największym problemem jest przegrana.

Gdy wyjątkowo uzdolniony nastolatek przegrywa na olimpiadzie lub w konkursie, jego

smutek jest też wyjątkowy. – Natychmiast otaczamy taką osobę pomocą – mówi Katarzyna Śliwińska. – Rozmowa to podstawa. Podsuwamy także biografie wybitnych osób, które miały nie tylko wzloty, ale i bolesne upadki, a mimo to przeszły do historii. Tak kanalizujemy niedobre emocje – wyjaśnia.

Po porażce ucznia pedagogzy często dziękują niebiosom, że rodziny licealistów mieszkają setki kilometrów od szkoły. Piotr Nodzyński, trzeci szkolny matematyk, kilka dni przed moim przyjazdem do Torunia musiał postawić licealistce ocenę mierną. Pierwszą tak złą w jej doskonałym dotąd dorobku. Dziewczyna zaważyła sprawdzian z matematyki, bo uczyła się do olimpiady biologicznej. Następnego dnia w szkole zjawił się jej wściekły ojciec. Akurat miał blisko, bo mieszka w Toruniu. – Wyłumaczyłem, że jego córka ma wielkie możliwości, oceniam ją bardzo wysoko, a takie rzeczy się zdarzają – opowiada Nodzyński. – Koniec końców zrozumiał.

Jestem na swoim miejscu

W Liceum Akademickim nie było dotąd przypadku, by ktoś nie zdał matury. Pierwsi absolwenci opuścili jego mury w 2003 roku. Wtedy do egzaminu dojrzałości podeszły 33 osoby. Wśród nich Joanna Kułaga. – Nauczyciele umieli zainteresować nas przedmiotem, w dodatku traktowali nas indywidualnie – wspomina. W liceum doszła do finału ogólnopolskiej olimpiady matematycznej, co otworzyło jej drzwi wszystkich uczelni w kraju. – Wahałam się między matematyką na uniwersytetach w Warszawie i Toruniu. A że nie przepadam za stolicą, wybrałam Toruń – śmieje się. W czasie studiów była stypendystką ministra nauki i szkolnictwa wyższego, zakładała uniwersyteckie koło naukowe matematyków. Dwa lata temu odebrała z rąk rektora dyplom najlepszej absolwentki roku akademickiego – ze średnią 4,97. Kończy studia doktoranckie na wydziale Matematyki i Informatyki. – Ale to liceum zdecydowało o mojej życiowej drodze – podkreśla z przekonaniem.

– W poprzednich szkołach czułem, że odstawiałem od innych. Tu jestem na swoim miejscu i dobrze mi z tym – zwierza się Piotrek. Trwa długa przerwa, licealista siedzi na parapecie okna i relaksuje się, układając kostkę Rubika. Jego życiowy rekord to 41 sekund. – Ale stale się podciągám – zapewnia.

DŁUGA TRADYCJA ELITARNYCH SZKÓŁ

W 1740 ROKU STANISŁAW Konarski założył w Warszawie Collegium Nobilium z nowoczesnym programem nauczania – znacznie szerszym niż w innych ówczesnych szkołach. Uczyli się

w nim między innymi późniejszy generał i wybitny polityk Stanisław Kostka Potocki czy Tadeusz Mostowski, minister spraw wewnętrznych Księstwa Warszawskiego. W Chyrowie, na terenie

dzisiejszej Ukrainy, pod koniec XIX wieku jezuici otworzyli elitarny gimnazjum z prawem nauki dla młodzieży ze wszystkich trzech zaborów. Skończył je na przykład Eugeniusz Kwiatkowski, wicepremier II RP, twórca portu i miasta Gdyni

oraz Centralnego Okręgu Przemysłowego. Absolwentami tego gimnazjum byli też pisarze, tacy jak Jan Brzechwa, Ksawery Pruszyński i Kazimierz Wierzyński, oraz kardynał Adam Kozłowiecki. W międzywojniu placówką dla wybitnych

było Gimnazjum i Liceum w Rydzynie w Wielkopolsce – wspierane przez władze i budowane z myślą o państwowych kadrach. Po wojnie w systemie, w którym wszyscy mieli równać do średniej, o tego typu oficjalnej placówce nie było mowy.



KRAKOWSKIE KAMIENICE HERBOWE

Kraków, ul. Poznańska

Stać Cię na dobre sąsiedztwo

www.mieszkaniowy.as



RYKI I PISKI

Rozmowa odbyła się 17 marca 2010 roku w Warszawie

**Popkultura ukradła nam naj-
pierw czas, a potem wolność?**

– Przypominają się „szewcy”, którzy „wędrowali przez zielony las, nie mieli pieniędzy, ale mieli czas”. Mam nadzieję, że nie wszystkim. **Większości.**

– Na to wygląda.

Jestem po seansie „Beats of Freedom”, filmu o muzyce rockowej i punkrockowej, która na swój sposób walczyła z PRL-em. Jesteś z Tiltiem i Brygadą Kryzys jednym z głównych bohaterów tego filmu. Człowiekiem w PRL-u wolnym.

– Paradoksalnie. Tamto zniewolenie było bardzo czytelne, namacalne, stąd i wolność łatwiejsza do zdefiniowania, a więc i do wywalczenia. Patrzyłem na ten film jakby cudzymi oczami i zdałem sobie sprawę, że my w tamtej szarej rzeczywistości wytworzyliśmy sobie taką bańkę, w której byliśmy wolni. To była wolność w granicach tej bańki, bo oczywiście nie mogliśmy wyjeżdżać za granicę, koncertować, wydawać płyt, natomiast mieliśmy cudowne poczucie i cudowną świadomość bycia wolnym pośrodku niewoli.

Czułeś się przez to mocny?

– Tak, to było trochę takie odebranie mocy systemowi i transmutacja tej mocy na własną moc. Im ten system był bardziej opresyjny, tym – paradoksalnie – ja czułem się silniejszy.

Bo czułeś się bohaterem umownego filmu o wolności?

– Nie, to było bardziej takie pogłębiające się poczucie braku przynależności. Ja i moi przyjaciele już od liceum byliśmy sierotami systemu, to znaczy on nas nie ogarnął.

Jeszcze 30–20 lat temu polscy muzycy rockowi pomagali obalać państwo. Jak krzyczeli „wolność!”, to czuli, co krzyczeli. Jak śpiewali „precz z przemocą”, to krytycy milczeli, a recenzję pisali milicjanci. Co widzi, jak się dziś wokół siebie rozgląda ówczesna legenda punk rocka **Tomek Lipiński?**

Wtedy miałeś wrażenie, że tak będzie zawsze?

– Zacząłem sobie zdawać sprawę, że to się kończy, jak Rosjanie zaczęli dostawać w dupę w Afganistanie, bo każde imperium dochodzi do takiego momentu, że już dalej rozszerzać się nie może i traci impet.

A brak rozszerzania to dla imperium koniec.

– Początek końca. Nawet w połowie lat 80. powiesiłem sobie taką mapę Europy, na której zaznaczyłem już „nowe” granice i tylko nie podzieliłem Czechosłowacji, a poza tym byłem blisko dzisiejszej. Już w latach 80. miałem też świadomość tego, że generał Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny, zrobił ostatnią rzecz, jaką mógł zrobić.

Potem mógł już tylko rozstrzeliwać.

– Tak, a to już okazało się niemożliwe.

Kiedy zaczynałeś grać w Polsce punk rocka, miałeś takie wrażenie, że orzesz ugor, a któregoś dnia przyjedzie wielki, nowoczesny zachodni traktor i usłyszysz: stary, wykonałeś kawał roboty, jesteś częścią światowej historii muzyki rockowej?

– Raczej nie. Założyłem pierwszy Tilt w 1979 roku na jesieni i co prawda myśmly wtedy mówi-

li między sobą, że kładziemy jakieś fundamenty...

Jednak!

– Tak, pod przyszły niezależny rynek muzyczny czy niezależną scenę muzyczną, ale wszyscy patrzyli na nas jak na wariatów. Bo wydawało się to albo niemożliwe, albo tak odległe, że właściwie nierealne. W 1979, 1980 roku gdziekolwiek pojechaliśmy, do któregoś klubu, byliśmy pierwszym zespołem, który gra jakąś dziką muzykę, a ludzie nie siedzą na krzesłach, tylko tańczą, są emocje. Byliśmy częścią fali, która szła przez świat. Takie poczucie mieliśmy na pewno.

Ale wasi słuchacze o tym świecie nie wiedzieli.

– W dużej mierze nie. A i nas „wiedzących” nie było za dużo. Łatwo nam było rozpoznać się na ulicy, bo to był czas, kiedy wszyscy raczej starali się wtopić w tło, a my odwrotnie – staraliśmy się odróżnić wyglądem, zachowaniem. Łatwo nam było też się zidentyfikować po gadżetach, znaczkach, kolorowych włosach. Miałem takie poczucie, jakby się urodzili nowi ludzie, nowe plemię.

Co was głównie wypełniało: gniew, radość z grania dzikiej muzyki, rozpacz czy obcość?

– Gniew, wkurwienie, które wpływa właśnie z niemocy. Jak pamię-

tasz, to była rzeczywistość, w której nic nie działało, nic nie funkcjonowało, w której każdy krok, jaki próbowałeś zrobić, w którąkolwiek stronę, natrafiał na mur. Nawet nie można było zadzwonić z automatu telefonicznego, bo zawsze był zepsuty. I nas takich wkurwionych było wielu, bo kiedy cała moja generacja wyżu demograficznego połowy lat 50. zaczęła dorastać, wchodzić w wiek produkcyjny, nie miała dokąd wejść.

Bo były tylko takie same fartuchy i uniformy?

– Tak, a nawet coraz trudniej było o ten fartuch i uniform. Końcówka lat 70. to był czas, kiedy z jednej strony był obowiązek pracy, z drugiej nie było pracy, a z trzeciej strony na poczcie, w urzędach było wiele pustych okienek, bo nie było komu pracować. Wszystko się sypało, rozlażyło w szwach.

Mówisz „gniew”,

„wkurwienie”... Wy też byliście prywatnie gniewni, gwałtowni?

– Wobec siebie nie. Raczej – nie chcę używać słowa „solidarność” – ale to było takie...

Wspólnictwo?

– Bardziej. Gniew się pojawiał na styku z rzeczywistością, ale też pamiętam takie rozmowy, że powinniśmy się starać być →





→ bardzo etyczni w postępowaniu. Dyskutowaliśmy, czy możemy reagować w taki gniewny i pełen złości sposób.

Taki tradycyjny namysł punkowców.

– A jednak. Czy agresja wobec świata zewnętrznego jest świadomą metodą, a na ile jest niekontrolowana.

Poznawaliście się po elementach stroju, po fryzurach...

Co sobie myślisz, gdy słyszysz ten podstawowy dziś motyw większości reklam: bądź sobą, człowiekiem wolnym, to znaczy kup nasz produkt. To dobra droga do wolności?

– Żadna. Dzisiaj jest tak, że zamiast być człowiekiem spontanicznym i miłym, uczysz się, jak sprawiać wrażenie, że jesteś spontaniczny i miły. Zamiast być sobą, dostajesz receptę, w co się musisz ubrać, jak uczesać, żeby być sobą. To postawienie sprawy na głowie i taka dużo subtelniejsza forma zniewolenia, w którą masowo bezrefleksyjnie i radośnie wskazujemy. Udaje, że przynosi nam wolność, a tymczasem ją odbiera.

Ty też dałeś się zniewolić?

– Nie, choć przez wiele lat się szarpałem, jednocześnie nie chcąc dać się zniewolić i trochę chcąc. Ale już mi przeszło to rozdarcie, zrosłem się. Jako bardzo młody człowiek w latach licealnych otarłem się o rewolucję hipisowską, która niosła przesłanie – pomijam, na ile ono było autentyczne u źródła – żeby nie dać się zniewolić materializmowi, że pieniądź może być środkiem do pewnych rzeczy, a nie celem. I to jest mi bliskie do dzisiaj. W latach 90., kiedy wszyscy starali się na potęgę wzbogacić, to ja trochę też, ale...

Byłeś frajerem czy nie umiałeś tego robić?

– Nie umiałem tego robić, bo jak miałbym to zrobić? Kiedy zaczynałem grać, nie myślało się o pieniądzach, bo myśmy nie zarabiali. Więc ja się nauczyłem być artystą, który robi to, co robi, z musu wewnętrznego. A kiedy w latach 90. okazało się, że trzeba zarabiać pieniądze, nie bardzo wiedziałem, jak to ugryźć. I właściwie do dziś nie wiem. Więc wymyśliłem coś takiego, że będę robił to, co chcę robić, tak dobrze, jak potrafię, tak szczerze, jak potra-

fię, a jeśli to mi przyniesie pieniądze, bo ludziom się spodoba i będą chcieli to kupować, no to będę podwójnie szczęśliwy. I w zasadzie tego się trzymam do dziś.

A jeśli nie, to otworzysz sklepik spożywczy?

– Były momenty, kiedy to rzeczywiście nie przynosiło pieniędzy i produkowałem program telewizyjny, muzyczny. Potem przez prawie rok byłem szefem marketingu, pracowałem w Rozgłośni Harcerskiej przez ponad rok. Zawsze wołałem, nie chcę mówić „prostytuować się”, bo to za proste...

Dawać ciała?

– Tak, nie jako artysta, muzyk, wołałem zarabiać pieniądze w inny sposób. Mogłem wrócić później

Wszyscy hałasują, tysiące DJ-ów, dziesiątki zespołów, wszyscy wydają jakieś dźwięki, więc trudno jest usłyszeć „coś”. Nie słyszę

TOMEK LIPIŃSKI

do muzyki, bez wspomnień o obniżeniu standardu, o naginaniu się. **Gdzieś tam w środku czujesz się ofiarą tamtego świata totalitarnego czy wręcz przeciwnie – beneficjentem? Bo moim zdaniem jesteś beneficjentem.**

– Dzisiaj się okazuje, że tak. Od jakiegoś roku, dwóch-trzech lat zaczynam być, w takim bardzo szerokim rozumieniu, „wynagradzany” za to, że w przeszłości byłem taki, jaki byłem, i robiłem to, co robiłem. Film, o którym wspomnieliśmy, jest takim najlepszym przykładem.

Nie o tym mówię... Beneficjentem raczej dlatego, że tamta opresja i twój bunt przeciw niej pozwolił ci się stworzyć.

– To na pewno.

Osobiście uważam, że nic lepszego nie mogło mi się zdarzyć niż to, że gdy miałem 20 lat, w stanie wojennym poszedłem do więzienia. Tam się w jakiś sposób „urodziłem”, zbudowałem. Totalitaryzm w twoim życiu odegrał chyba podobną rolę?

– Są ludzie, którzy dostali od tamtego systemu mocno w dupę i do dziś się po niej biją sami. To jest dosyć mało twórcze i to zamyka, odbiera wolność.

Oni są nadal więźniami PRL-u.

– Natomiast rzeczywiście, gdyby nie tamta opresja, na pewno nie byłbym dzisiaj tym, kim jestem. I na pewno nie mam żalu. Przeżyłem taki moment, niedawno, kiedy po to, żeby w ogóle stanąć na nogi, musiałem dogłębnie rozliczyć się z całą swoją przeszłością.

W jakim sensie?

– Zdecydowania, czy czuję się ofiarą, czy jestem pokrzywdzony na różne sposoby – przez ojca, którego nie było, przez system, który mnie gnębił – czy też puszczam to, wybaczam, traktuję jako część swojego doświadczenia, które mnie ukształtowało, czyli jako pewien swój kapitał, i idę dalej. I wybrałem drugie rozwiązanie, to znaczy życie bez żalu, bez pretensji do tego, co mi się wydarzyło, bez żalu do ludzi, którzy mnie skrzywdzili.

Dawno się z tym uporałeś?

– Nie tak dawno. Przeszedłem przez wieloletnią ciężką chorobę depresji i w zasadzie był to warunek wyjścia z niej.

Po co chciałeś wyzdrowieć?

Może mózg rockmana powinien mieć depresję, wtedy naprawdę „wymiała”?

– Zależy, w jakim stopniu, bo jeżeli cię to kompletnie unieruchamia, to po prostu toniesz. Musiałem zdecydować, czy chcę utonąć, czy wypłynąć na powierzchnię. Zdecydowałem, że chcę wypłynąć na powierzchnię, ale musiałem poodcinać te wszystkie ciężary.

Patrzysz dziś ze współczuciem na młodych ludzi, którzy przypominają trochę taki plankton i jeżeli się zabarwiają, to dlatego, że jakaś firma farbę wrzuciła do zbiornika?

– Są różni. Moje córki dwudziestoparoletnie też są z pokolenia, które nie pamięta komuny, i właściwie wychowały się już w Polsce otwartej, w podobnych warunkach jak rówieśnicy na Zachodzie. Nie mają naszego poczucia, że „tam” jest jakiś lepszy świat, bardziej kolorowy. **Byliście ludźmi naprawdę wierzącymi w raj.**

– Dokładnie, bo zawsze były dwa rodzaje produktów, stąd i stamtąd, nawet pasta do zębów była dwóch rodzajów. Te dzieciaki już tego poczucia nie mają. Jest teraz bardzo dużo „planktonu”, ale ten plankton też był w przeszłości, tylko był szary, starający się wtopić w tło, ubierali się na burę, na szaro, przyjmowali taki wyraz twarzy, którego nie

było widać w ogóle, tak jakby twarzą nie mieli. Dzisiaj jest podobnie, tylko ta mimikra jest bardziej kolorowa, bo jest bardziej kolorowo, więc mechanizm jest podobny i zawsze jest ta mniejszość, która myśli inaczej, która źle się czuje w masie.

Dzisiaj ją słysząc w muzyce?

– Jest ogromny hałas, więc jej nie słysząc. W muzyce wydarzyła się pozorna rewolucja: bardzo łatwo jest zrobić muzykę w domu, na komputerze. I można sobie było pomyśleć, że nagle pojawi się wiele genialnej muzyki. A to oczywiście bzdura, bo geniuszów jest zawsze tyle samo.

W filmie o zbuntowanym PRL-owskim rocku wiele było prostego słownie, muzycznie fałszującego buntu, ale było też kilka pieśni wartych zapamiętania, ocalały artystycznie. Myślisz, że dzisiaj żyjemy, nie dostrzegając, iż gdzieś się rodzi coś podobnego, o czym za 20 lat powstanie film?

– Właśnie tego nie wiem.

Chyba boisz się powiedzieć, że nie.

– Trochę się boję, trochę chciałbym móc powiedzieć, że tak... Wszyscy hałasują, wszyscy robią zdjęcia, słysząc te miliony pstrykających migawek elektronicznych. Jest mnóstwo klubów, tysiące DJ-ów, dziesiątki zespołów i oni wszyscy wydają jakieś dźwięki, więc tym trudniej jest usłyszeć „coś”. Nie słyszę.

A widzisz taką możliwość, że wszechobecny materializm staje się dzisiejszym powodem do buntu nasto- i 20-latków?

– Trudno się przeciwko niemu buntować, bo stał się naturalnym, nienarzuconym trzonem życia. I jest jeszcze inny problem wynikający z czasów. Moja młodsza córka, bardzo utalentowana artystka w dziedzinie plastycznej, ma ogromny problem, bo czuje się strasznie osamotniona wśród swoich rówieśników.

To na tym między innymi polega bycie artystą – jest się samotnym!

– Też jej tłumaczę, że to tak musi być. To jest tak jak w społecznościach pierwotnych: szaman czy czarownik był tym „innym”, był „z grupy”, ale nie był „w grupie” i przez to stawał się pomostem między codziennością, która tę grupę pochłaniała, a czymś

więcej. Był „obcy”. Prawdziwi artyści są takimi szamanami w dzisiejszym świecie, a jeśli nie, to nimi nie są.

Rzeczywiście, jak słyszę, że artyści zrzeszają się w portalach społecznościowych, to wydaje mi się to śmieszno-absurdalne. Może czasy paradoksalnie nie są artystyczne?

– Rzeczywistość jest paradoksalna, bo czasy są bardziej artystyczne niż kiedykolwiek.

Bo?

– Bo więcej ludzi zajmuje się sztuką na takim bardzo elementarnym poziomie: układają melodie, robią zdjęcia, coś sobie dłubią – tego nigdy nie było. Może to powoduje inflację sztuki, dewaluje ją? Trudno się zorientować, co jest wartościowe, a co nie.

Czy dzisiaj jest w muzyce gatunek muzyczny, który odgrywa podobną rolę jak kiedyś punk – wywracania?

– Nie ma. Żyjemy w czasach koegzystencji wszystkiego, jak na wysypisku śmieci. Muzyka jest montowana dzisiaj z sampli, z próbek, czyli z fragmentów muzyki już istniejącej składa się nowe rzeczy. Mamy czas kompilacji rzeczy pozornie nowych ze starych elemen-

tów. Zastanawiam się, czy to nas nie zatrzymuje?

Raczej rozpuszcza nas osobniczych w jedną breję.

– Trochę. A czy można iść naprzód, nie ryzykując? Własną karierę, styl życia, wygodę... Nie. A dziś nikt nie chce ryzykować, tymczasem to warunek niezbędny do tego, żeby iść naprzód w muzyce.

Może więc młodzi ludzie we współczesnym świecie – inaczej niż Tomek Lipiński, który miał w tym sensie „błogosławiony” PRL – nie mają już szansy stać się sobą?

– To by było smutne. Ciągle wierzę, że ta nasza wewnętrzna przestrzeń jest dla każdego terenem penetracji. Ona jest dziś napakowana emocjami powierzchownymi, więc kluczem byłaby próba odepchnięcia tego, co na wierzchu, i zobaczenia, co jest głębiej. Na to potrzeba zmiany warunków zewnętrznych. Dzisiaj mamy stagnację, czyli grzęźnięcie w tych kolorowych piłeczkach skaczących nam nieustannie przed oczami i odwracających naszą uwagę. Ale pewnego dnia coś nagle nas z tego wyrwie i umieści w zupełnie innym kontekście.

Ekonomiści od jakiegoś czasu głoszą, że cywilizacja, szcze-

gólnie świat zachodni, osiągnęła granice rozwoju, tylko politycy boją się o tym powiedzieć ludziom. Ta świadomość końca wzrostu mogłaby też nas sprzawadzić do parteru.

– Jestem skłonny przychylić się do tej opinii. Bo będzie koniec, bo gdzie jeszcze będzie można prze-

nieść fabrykę? Dlaczego właściwie, choć może jesteś za stary, nie wyjdiesz na scenę i nie rykniesz znowu, co myślisz o tym, co nas otacza, dla wnuków nie rykniesz, żeby ich może wybudzić z letargu?

– Właśnie... Dlaczego? „Może jestem za stary i już za wygodny? Ale przede wszystkim to jest zadanie dla 20-latków czy dla nastolatków, tylko że im właśnie, w tym osaczeniu, trudniej to zobaczyć i sformułować. W moim wykonaniu to chyba mogłoby być też śmieszne. A ja im dłużej żyję, tym bardziej widzę, jak złudny – w takim szerszym wymiarze – jest ten tak zwany rozwój świata. Jasne się dla mnie staje, że jeżeli jest jakiś rozwój, postęp, to tylko wewnętrzny, że trzeba siebie odkrywać, bo tam jest zawsze najwięcej do odkrycia.

W tym odkrywaniu się zatrzymałeś czy idziesz dalej?

– Mam nadzieję, że przyspieszam. Po przekroczeniu pewnego wieku widzisz horyzont...

Ile trzeba mieć?

– Myślę, że koło pięćdziesiątki. Nagle spostrzegłem: aha, tam już jest koniec. Tak jak się wjeżdża na górkę, jesteś na szczycie, widzisz, że jest koniec góry, w zasięgu ręki.

I naturalny dla punkrockowca bunt się nie pojawia?

– Nie. Tak jak narodziny nie wydają mi się początkiem, tak śmierć nie wydaje mi się końcem. Jestem ciekaw, jak to jest potem, kiedy wydajemy ostatni oddech.

A jak byś chciał, żeby było?

– Chciałbym, żeby było tak, jak myślę, że jest, czyli że po śmierci ciała nie przestajemy doświadczać i że najpierw doświadczamy zawartości naszej świadomości, tego wszystkiego, co się przez życie nagromadziło, i uważnie przypatrujemy się sobie za życia, i możemy odkryć, czym bądź kim jesteśmy naprawdę. Że jesteśmy wolni, że te wszystkie ograniczone samoidentyfikacje okazują się po śmierci złudne. I odkrywamy, że tak naprawdę nie mamy granic.

Ten film był doświadczeniem śmierci klinicznej, patrzyłeś na siebie dawnego z góry?

– Dokładnie tak. W ogóle jak patrzę na niektóre swoje zdjęcia czy filmy sprzed ćwierć wieku, trudno mi czasami uwierzyć, że to jestem ja. Pojawia się zakłopotanie, ale też poczucie, że było warto, bo przecież robiliśmy to na przekór wszystkim – rodzicom, nauczycielom. Wielu moich kolegów rzucało szkoły, Robert Brylewski rzucił liceum, ja studia. Wszyscy patrzyli na nas jak na wykołajców. I fakt, że po 30 latach okazuje się, że nie wszystko miało sens, że nie byliśmy aż tacy głupi, jak próbowano nam wmówić, jest...

Byliście, tylko wam się udało.

– Można to i tak nazwać. Byliśmy nierozsądni i nam się udało. Byliśmy czystymi anarchistami.

Czyli ponieśliście porażkę, bo anarchii nie wywalczyliście.

– W tym sensie tak, ale chyba nie mogło być inaczej.

Byłoby pięknie, gdyby było inaczej. Nieznośnie, ale pięknie.

– Ale czy można byłoby wtedy wychodzić na ulicę bez pistoletu maszynowego? A to mogłoby być uciążliwe. □



Tomek Lipiński, 55 lat, syn rysownika Eryka Lipińskiego, wybitnego karykaturzysty. Sam też przedrzeźnia rzeczywistość, ale nie ołówkiem, lecz gitarowym piórkiem. Akademię Sztuk Pięknych porzucił, by poświęcić się muzyce. Współtworzył między innymi **Brygadę Kryzys i Izrael**, ale znany jest głównie z tego, że regularnie powołuje do życia i rozwiązuje różne mutacje grupy **Tilt**, z którą grał już niemal wszystko – od punk rocka po akustyczny pop. Bywa dziennikarzem (przez jakiś czas kierował magazynem „Aktivist”), aktorem, nawet specem od marketingu. Śpiewa, że nie wierzy politykom, ale bierze udział w wyborach, bo niektórym politykom nie wierzy bardziej. W 2007 roku włączył się w kampanię wyborczą PO, co według wielu jego fanów nie było OK.

DUMA WALII RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

SYN GÓRNIKA

Mistrz siekiery i altówki,
basista, gitarzysta,
pianista, kompozytor,
ekskokainista,
eksalkoholik, producent,
pieśniarz i piosenkarz
– wystąpią 27 marca
we Wrocławiu. Wszyscy
nazywają się **John Cale**



Z lewej: Rok 1993. Cale i Lou Reed podczas trasy reaktywowanego na chwilę Velvet Underground. Z prawej: (od lewej) Ayers, Eno, Nico i Cale w 1974

Jeśli ktoś jeszcze liczy na reaktywację The Velvet Underground, niech da sobie wreszcie spokój. Indagowany o to John Cale za każdym razem grzecznie informuje, że nie wchodzi ona w rachubę. A na pewno nie z nim. „Niewiele miałem wspólnego z Velvetami – wyjaśniał w książce poświęconej historii grupy. – W pewnym sensie był to bardzo kształcący epizod, ale mój wkład był, jak mi się wydaje, minimalny”. W wydanej w 1999 roku autobiografii „Jak jest zen po walijsku?” (Cale opowiada, Victor Bockris notuje) jest bardziej dosadny: „Cały ten kult VU jest niesmaczny. A dostrzeganie wpływu naszych pierwszych dwóch płyt na wszystko – wręcz kretyńskie”.

Cale ma powody, by odcinać się od Velvetów. Ma przecież 68 lat, z czego 60 spędził na graniu. Wydał trzy tuziny płyt, 200 wyprodukował, a tymczasem wciąż kojarzy się go z dwoma winylami sprzed ponad czterech dekad. Zupełnie jakby od tamtego czasu nic się nie zmieniło. A przecież zmieniło się wszystko. Gdy w grudniu zeszłego roku troje innych członków The Velvet Underground spotkało się w Nowym Jorku, media znów nie mogły uwierzyć, że nie ma wśród nich Cale’a. „VU to przeszłość – powtórzył na łamach „Rolling Stone’a”. – Szanuję podziw fanów dla naszych dokonań, ale jeśli chodzi o komponowanie piosenek, jestem dziś zupełnie gdzie indziej”.

John Cale ma z Velvetami dwa problemy. Pierwszy nazywa się Lou Reed. Drugi John Cale.

Lou Reed

Cale miał przetrąbane od samego początku. Nie dość, że przyszedł na świat za późno, to jeszcze wydarzyło się to w Walii, a więc zupełnie nie tam, gdzie działy się ważne rzeczy. „Urodzi-

łem się 9 marca 1942 roku. Tydzień wcześniej jakieś trzy tysiące mil dalej, na Brooklynie, urodził się Lou Reed. Od razu czułem, że ten lotr ma nade mną przewagę” – wspominał w „Jak jest zen...?”.

Z Lou Reedem zetknął się w 1965 roku na nowojorskiej East Side, udzielając się w jego kolejnym nikomu nieznanym zespole (The Primitives; były to czasy, gdy Reed mnożył zespoły garażowe bez potrzeby). Zapalali do siebie heteroseksualną przyjaźnią i zamieszkali na Ludlow Street 56. Obaj chcieli tego samego – wybicia się w kręgach nowojorskiej bohemy. John robił już wówczas w awangardzie, a Lou miał plany podbicia rockowej sceny. Ściągnęli do siebie Sterlinga Morrisona (gitarę) oraz Angusa MacLise’a (perkusja) i założyli zespół. Na nazwę Velvet Underground wpadli dopiero podczas trzeciej burzy mózgów. Wcześniej nazywali się The Warlocks i The Falling Spikes.

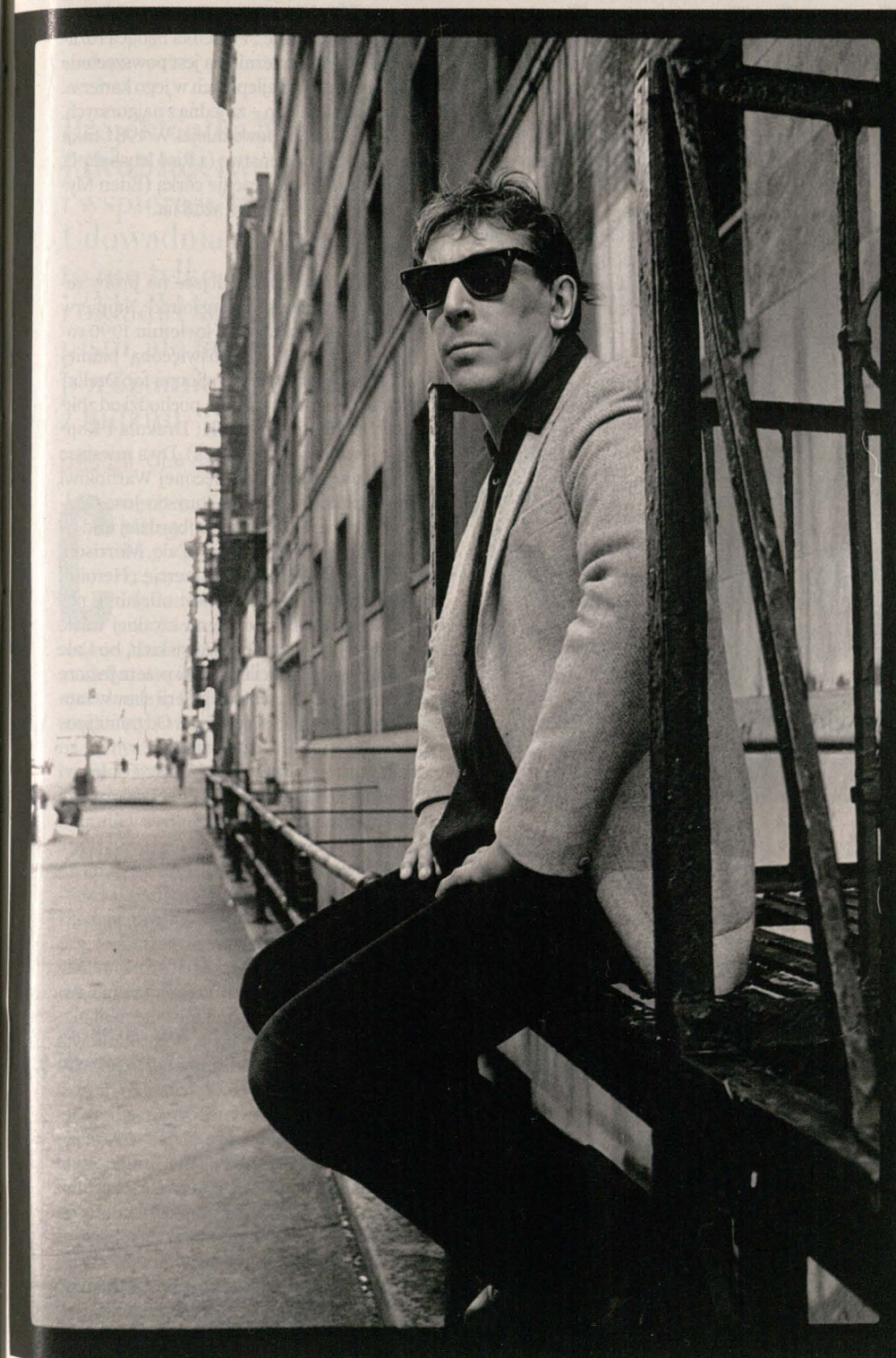
Pierwszy koncert dali 11 grudnia w Summit High School Auditorium w stanie New Jersey. Za 75 dolarów mają zagrać kilka kawałków na rozpoczęcie wieczoru muzycznego. Dla Angusa to jednak zbyt skomplikowane. – Znaczący, mamy zacząć, kiedy nam powiedzą, żebyśmy zaczęli, i skończyć, kiedy nam powiedzą, żebyśmy skończyli? – pytał z niedowierzaniem. – W takich warunkach nie da się przecież pracować!

Angus pożegnał się z zespołem, oskarżając kolegów o zaprzędanie się bożkowi komercji. Zastąpiła go Maureen Tucker. Występ w Summit zaczęli od „There She Goes Again”. Nikt wtedy nie zwrócił na nich uwagi. Gdy kilka dni później wylatywali z nowojorskiej Café Bizarre za zbyt hałaśliwą grę, zauważył ich Andy War-

hol, który wówczas zamieniał w złoto wszystko, czego się dotknął. Warhol załatwił Velvetom producenta (siebie), kontrakt płytowy (z wytwórnią Verve) i piosenkarkę (niemiecką eksmodelkę Nico). Z Nico zagraли po raz pierwszy trzy tygodnie później, uświetniając swoim występem doroczny bal Nowojorskiego Towarzystwa Psychiatrii Klinicznej w hotelu Delmonico. W 1967 roku nagrali płytę „The Velvet Underground & Nico”, z którą przebili się do Top 200 „Billboardu”.

To był początek końca. Najpierw z zespołu odeszła Nico, potem wycofał się Warhol. Wydany w 1968 roku „White Light/White Heat” jest ostatnim albumem VU, na którym słychać Reeda i Cale’a razem. Przyjaźń zamieniła się w zazdrośną rywalizację. Reed chciał być liderem, a Cale nie chciał być zepchnięty na margines. Wszystko pękło we wrześniu 1968 roku, zaraz po tym jak menedżerem zespołu został Steve Sesnick. Cale: „Lou zaczął się śmieszyć zachowywać. Przyprowadził tego Sesnicka – od razu wiedziałem, że to nieźla szuja – i zaczęły się intrygi. Lou mówił o nas »mój zespół«”. Reed nie tolerował niesubordynacji; w końcu zebrał się z Tucker i Morrisonem i dał im wybór – albo Cale wypada ze składu, albo rozwiązujemy VU. Cale wypadł ze składu.

Różne można pełnić funkcje w zespołach. 10 000 Maniacs poradziło sobie bez Natalie Merchant, Clan Of Xymox bez Pietera Nootena, Genesis bez Petera Gabriela. Ale trudno obrazić sobie Cocteau Twins bez Elizabeth Fraser, Killing Joke bez Jaza Colemana, The Cure bez Roberta Smitha czy Joy Division bez Iana Curtisa. Obecność Cale’a w VU miała właśnie ten wymiar (nawet bardziej niż obecność



**Gdyby nie ekstrawagancje
Johna Cale’a, Velvet
Underground nie miałby
tego, czym imponował
na muzycznej scenie
końca lat 60.
– powiewu awangardy**

Reeda). Bez jego brzmienia w takich utworach, jak „All Tomorrow’s Parties”, „Heroin” czy „Sister Ray” (z którym to kawałkiem zupełnie nie radzi sobie wspomniany Joy Division na płycie „Still”), Velvet nie miałby tego, czym imponował na muzycznej scenie końca lat 60. – powiewu awangardy. W określaniu Cale’a mianem ojca chrzestnego muzyki punk jest sporo przesady, ale nie ma jej w stwierdzeniu, że nadał muzyce rockowej praw-

Okolo roku 1980. Cale w przededniu spokojniejszego okresu kariery

dziwie alternatywne brzmienie. To on tego dokonał, nie Reed.

Lou Reed zachował się jednak sprytnie. Wprawdzie odszedł z zespołu ledwo dwa lata później (zostawiając go w żałobnej formie przetrwałnikowej), ale pozwolił sobie czerpać garściami ze splendoru, którym okrył się Velvet Underground. Nagrywał raz lepsze, raz gorsze płyty, ale jego kariera solowa nie traciła rumieńców. Cale natomiast udał, że VU był pozbawionym znaczenia epizodem. Postanowił, że znów będzie tym, kim był, zanim trafił na Reeda.

Kimś dla prawdziwych koneserów. W końcu nie dość, że urodził się tydzień później niż Lou, nie dość, że w Walii, to jeszcze prawie nie widywał ojca. Arthur George Cale był górnikiem i rzadko wyjeżdżał na powierzchnię. „Sam musiałem być sobie ojcem, czerpać z doświadczenia tych, którzy mieli je w nadmiarze – wspomina. – Moim pierwszym partnerem muzycznym była matka”. Margaret Davies, nauczycielka, zapisała go, kiedy miał siedem lat, na lekcje fortepianu. Muzyka go wciągnęła. „Dzięki niej miałem silniejszą świadomość tego, kim jestem”. W wieku 12 lat zaczął się uczyć gry na organach. „Dorastanie w Walii było dość brutalnym zderzeniem z religią” – napisze po latach, nawiązując i do kościelnych kazań, i do tego, że był molestowany podczas zajęć.

Awangarda

W latach 1960–1963 Cale studiował muzykę w Londynie. Goldsmith College skończył z tytułem najbardziej zniechęconego studenta. To przez swoje prace dyplomowe. Najpierw odgrywał kompozycję „X for Henry Flynt” minimalisty La Monte Younga, uderzając łokciami w fortepian, a potem niejaki Robin Page wykonuje skomponowany przez Cale’a „Utwór na roślinę”. Wykonanie polega na zabiciu trzykrotnie wrzaskiem. Wypada fatalnie – roślina ma się dobrze, a publiczność jest wyraźnie zdegrustowana.

Do Stanów Zjednoczonych ściągnął go znany kompozytor Aaron Copland. Młody Cale trafia pod skrzydła mistrza Iannisa Xenakisa – do szkoły muzycznej w Tanglewood w stanie Massachusetts. Tam też podpada. Władze szkoły uznają, że rozwalanie stołu toporkiem jest zbyt brutalną ekspresją muzyczną.

We wrześniu 1963 roku John Cale za namową słynnego kompozytora Johna Cage’a wraz z 10 innymi pianistami bierze udział w prawykonywaniu pełnej wersji „Vexations” Erika Satiego. To dziełko da się zagrać w kilka →

→ minut, ale autor zostawił przy zapisie nutowym następującą notkę: „Aby odegrać ten utwór 840 razy, muzyk powinien uprzednio przygotować się do tego w ciszy i zupełnym bezruchu”. Satie nigdzie nie napisał wyraźnie, że „Vexations” mogą być wykonane tylko w ten sposób. Ba, nie napisał nawet, czy jest to utwór na fortepian. Nawet jeśli był to żart kompozytora (znanego w końcu z żartów), to po raz pierwszy od 70 lat został potraktowany poważnie. Odegranie utworu zajęło 18 godzin i 40 minut. John Cale grał jako czwarty.

W 1964 roku współpracował z La Monte Youngiem, artystą równie awangardowym jak Cage, w jego grupie Dream Syndicate znanej też jako Theater of Eternal Music. Swoje doświadczenia z tego okresu opisuje tak: „Nigdy wcześniej nie grałem muzyki, wystawiając się na jednostajne buczenie przez półtorej godziny każdego dnia przez półtora roku”.

Kurczaki

I z takim bagażem rozpoczynał John Cale swój postvelvetowski etap w życiu. Zatrudnił się jako producent muzyczny w wytwórniach Warner Bros., Elektra i Columbia. Robił kwadrofonię Barbrze Streisand, uzależniał się od alkoholu, heroiny i kokainy. Promował młodych wykonawców i nagrywał własne płyty. Z wykonawcami szło mu nieźle (Patti Smith, The Stooges, Squeeze to jego dzieła). Z własnymi płytami – różnie. Nie dało się za nim nadążyć. Jego debiutancki album „Vintage Violence” (1970) to muzyka łatwa i przyjemna. Trzy lata później „Paris 1919” – elegancka i wyszukana (zapewne jedna z lepszych płyt na liście najgorzej sprzedających się produkcji wszech czasów). Potem były płyty „Fear” (1974), na której słyszeć glam rock i hard rock, „Slow Dazzle” (1975) ze ścianą dźwięku wymyśloną przez producenta Phila Spector. Cale: „Spector miał pomysł, żeby połączyć rhythm and blues z takim wagnerowskim them”. Z projektu zrealizowanego wspólnie z uczniem La Monte Younga Terryem Rileyem wyszła minimalistyczna płyta „Church of Anthrax” (1971). „Academy in Peril” (1972) została rozpisana na całą orkiestrę. „Sabotage” (1979) czy „Even Cowgirls Get the Blues” (1991) to proto punk. „Words for the Dying” (1989) to wiersze walijskiego wieszczki Dylana Thomasa plus chór i smyczki. To nawet nie eklektyzm, to labirynt.

Przez narkotyki rozwala swoje związki, psuje relacje z ludźmi. Jego małżeństwo z projektantką mody Betsey Johnson przetrwało niecały rok. Z Cindy Wells z girlsbandu GTO’s – trzy lata. Związek z producentką Jane Friedman – rok dłużej. Nawet jego koledzy z zespołu schodzą ze sceny. Jak w Croydon w 1977 roku. „W czasie jednej z naszych tras koncertowych, w drodze do Londynu, powiedziałem menedżerowi, że chcę żywego kurczaka – wspomina Cale. – Wcześniej w Niemczech kupiliśmy tasak i wpadł mi pewien pomysł do głowy. Kazałem menedżerowi zatrzymać się przy fermie, kupić kurę i przynieść w pudełku, żeby nikt nie

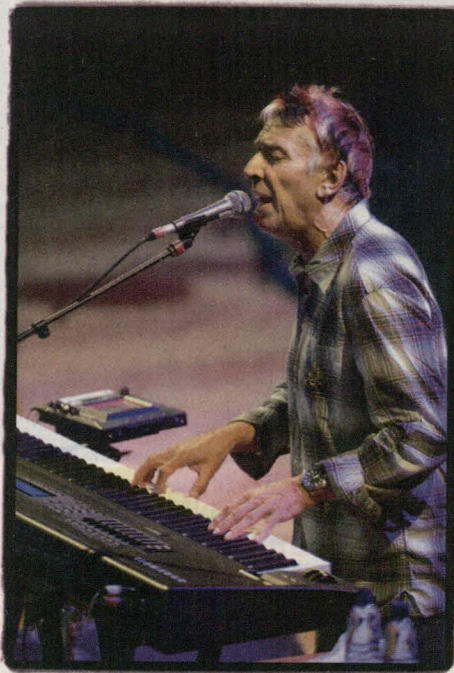
zobaczył. Ale on wrócił, trzymając gdaczące ptaszysko za nogi. Przez całą drogę do hotelu zespół pytał: »Co chcesz zrobić z tym pieprzonym kurczakiem? Chyba nie chcesz mu zrobić krzywdy?«”.

Sprawa wyjaśniła się na koncercie w Croydon. Uprzednio zabitego kurczaka Cale kazał sobie przynieść wtedy, gdy będzie wykonywał słynny hit Presleya „Heartbreak Hotel”. Śpiewając: „Mogliśmy być tacy samotni”, zaczyna machać kurą, czego otumaniony tłumek nie zauważa, po czym wyciąga z ukrycia tasak i uciną jej łeb. Kadłub ląduje wśród tańczących ludzi, a głowa – w drinku jednego z gości. Zespół przestaje grać, a perkusista Joe Stefko, wegetarianin, schodzi ze sceny. „Powiedziałem Johnowi, że wyjdę, jeśli to robi. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Strasznie obciachowo się zachował” – wyjaśniał potem Stefko. Cale był zachwycony uzyskaniem przez siebie efektem zgorzienia. Stefko został bohaterem jednej z piosenek na płycie „Animal Justice” (1977). Piosenka nosi tytuł „Chickenshit”.

W styczniu 1980 roku w Ontario nawaliło im nagłośnienie i zeszedł ze sceny. Publiczność trochę ponarzekała, ale w końcu zaczęła się rozchodzić. Została grupka twardzieli, którzy żądali zwrotu pieniędzy za bilety. W końcu Cale i reszta wyszli na scenę, zdemolowali ją i wrócili za kulisy. Dostali owacje na stojąco, ale nie bisowali.

Potem Cale się uspokoił. Lata 80. to okres intensywnego promowania innych muzyków

Została grupka twardzieli, którzy domagali się zwrotu pieniędzy za bilety. W końcu Cale i reszta wyszli na scenę, zdemolowali ją i wrócili za kulisy



Stary mistrz na Starym Kontynencie. Czerwiec 2008 roku, Bruksela

i płyta „Artificial Intelligence” (1985) z piosenką „Dying on the Vine”. Piosenka będąca rozliczeniem z latami uzależnienia jest powszechnie uważana za jedną z najlepszych w jego karierze. Płyta – w klimacie pop – za jedną z najgorszych. Cale zdecydowanie poważnie. W 1981 roku zawiera trzecie małżeństwo (z Risé Irushalmi), które nie dość, że zaowocuje córką (Eden Myfanwy), to jeszcze przetrwa aż 18 lat.

Wycucie czasu

Znalazło się oczywiście miejsce na próby reaktywacji The Velvet Underground. Najpierw była „mała reaktywacja”. W kwietniu 1990 roku Lou i John nagrali poświęconą pamięci Andy’ego Warhola płytę „Songs for Drella” (Drella to pseudonim artysty; pochodzi od zbitki słów Drakula i Cinderella; Drakula i Kopciuszek – coś jak Drapciuszek). Dwa miesiące później na wystawie poświęconej Warholowi we francuskim miasteczku Jouy-en-Josas Velvet Underground w swoim najbardziej undergroundowym składzie (Reed, Cale, Morrison, Tucker) zagrał 15-minutową wersję „Heroin”. W 1993 muzycy ogłosili nawet oficjalnie powrót VU, ale skończyło się na krótkiej trasie koncertowej po Wyspach Brytyjskich, bo Cale i Reed znów się pokłócili. Zegrali potem jeszcze tylko raz – gdy VU trafił do galerii sław w muzeum rock and rolla w Cleveland. Od tamtej pory prawie ze sobą nie rozmawiają.

Szkoda, bo z kaustycznych relacji Cale’owi zawsze wychodziły najciekawsze rzeczy. Jak

„Wrong Way Up” (1990) z Brianem Eno. Nie mógł na niego patrzeć, ale mógł z nim grać. Podobnie było z Nico, na której muzykę miał niewątpliwie największy wpływ. Wyprodukował wszystkie jej studyjne albumy od 1967 roku (z wyjątkiem „Drama of Exile” – 1981). Jeździł z nią w trasy koncertowe. Nie była jednak jego muza. Ciągle się z nią użerał. Jak w 1974 roku podczas realizacji płyty „The End”: „Było coś strasznego w jej wycuciu czasu. Naprawdę rzucało się to w oczy przy robieniu tego krążka. Nie mogłem pojąć, po jaką cholerę poświęcamy tyle miejsca pamięci Jima Morrisona” – narzekał John. Rzeczywiście, Morrison zmarł trzy lata wcześniej, więc Nico rzeczywiście mogła się wykazać lepszym refleksem. Ale z drugiej strony album „Songs for Drella” ukazał się dwa lata po śmierci Warhola. A balet „Nico” powstał dziewięć lat po śmierci jego tytułowej bohaterki.

27 marca we Wrocławiu John Cale z przyjaciółmi po raz trzeci odda hołd byłej wokalistce Velvet Underground. 15 maja w Lublinie pojawi się z kolei Lou Reed, by zagrać koncert wspólnie z Laurie Anderson i Johnem Zornem. Dla ludzi z dużą wyobraźnią to już prawie reaktywacja. □

Co powie sukienka?

Projektantka **Monika Jakubiak** tworzy ubrania i wspiera w tym innych. Udowadnia, że moda to nie tylko blichtr, zbytek i okładki kolorowych pism, ale także sposób porozumiewania się z ludźmi

MODA OLA SALWA

Co robisz, kiedy masz kryzys, problem, którego nie umiesz rozwiązać, albo po prostu chcesz pobudzić swoją kreatywność? Radzisz się, guglujesz, idziesz na zajęcia z coachingu. A może uszyjesz spódnice lub bluzkę? Własnoręcznie. Moda to nie tylko dramatycznie chude modelki, błyszczące strony ze zdjęciami dziwnych kreacji, nadąsane miny stylistów, czyli zamknięty świat, który arbitralnie dzieli ludzi na ładnych i brzydkich. Moda to także odkrywanie własnych możliwości, fajne spędzenie czasu, wyrażanie siebie poprzez szycie. Przy najmniej według 40-letniej Moniki Jakubiak, która umiejętności z zakresu szycia, konstruowania czy projektowania materiałów zdobywała w Londynie. – Nie organizuję dla ludzi terapii, po prostu dzielę się tym, co umiem, i widzę, że w trakcie warsztatów w ludziach wytwarza się dobra energia – zaznacza w rozmowie z „Przekrojem” Jakubiak.

Moda to gra zespołowa

Prowadzenie warsztatów to jedna z ofert jej firmy Soulstitch, a główna działalność to fachowe porady z dziedziny konstrukcji lub szycia ubrań. Choć Jakubiak mogłaby wspinać się dalej po szczeblach kariery, pracować w coraz większych domach mody, wolała dzielić się swoim rzemiosłem z innymi. Zwrot w jej życiu nastąpił, gdy do współpracy zaprosił ją awangardowy projektant Hussein Chalayan. – To artysta, dla którego głównym językiem wyrażania idei jest moda. Nagle zrozumiałam, że można komunikować się za jej pośrednictwem. Oczywiście to był proces trwający nie dzień, tylko około roku. Wtedy rzuciłam pracę, chciałam spędzić czas na projektowaniu podczas ćwiczeń szkolnych, skupić się na zabawie i eksperymencie, jak w laboratorium, a nie na strategii i sprzedaży, chciałam zrobić coś dla siebie – mówi Jakubiak. – Poszłam na studia podyplomowe, założyłam Soulstitch, wyjechałam do Indii – dodaje. Stamtąd zresztą udziela mi wywiadu przez Skype’a. W Dżajpurze wykonuje zlecenia dla firmy tekstylnej Anokhi i zachwyca się



To kolekcja zaprojektowanych przez **Monikę Jakubiak** ubrań z metką **Cybernetyki Szwalnia**. Nazwa nawiązuje do tradycji polskiego rzemiosła

organizacją pracy dla robotników – stołowa, autobus pracowniczy, dzieci w przedszkolu przykładowym, a nie przy maszynach do szycia. W Polsce, do której wróciła kilka lat temu, prowadzi warsztaty dla projektantów podczas Art&Fashion Festival w Poznaniu, jest dyrektorem artystyczną marki ubrań Cybernetyki Szwalnia, bierze udział w ciekawych społecznych projektach, jak zorganizowana przez Agnieszkę Tarasiuk z fundacji Widok akcja „Suknia baronowej”. We wsi Hieronimowo grupa miejscowych dziewczyn szyła suknie balowe pod okiem Jakubiak, by następnie napić się w nich herbaty w eleganckich filiżankach. Akcja nawiązywała do postaci baronowej Olgi Ramm, dawniej dobrodziejki Hieronimowa, zarazem pokazała wchodzącym w kobiecość dziewczynom, jak same mogą stworzyć coś z niczego i że ich los leży w ich rękach. Jedna z nich poszła na studia, inne stały się bardziej pewne siebie. Nadal uważacie, że moda to tylko sukienki?

Na wzór Madonny

Monika Jakubiak od dzieciństwa szyła ubrania. Zaczynała skromnie – uczyła się deptać na maszynie mamy w rodzinnym Kościanie, miasteczku pod Poznaniem. Gdy jako nastolatka zobaczyła Madonnę, ze szpitalnych prześcieradeł i gazy szyła stroje inspirowane stylem piosenkarki. – Farbowałam je w buraczkach i łupinach cebuli oraz farbami do tkanin na ostry róż i turkus – wspomina. Gdy nie do-

stała się na studia, miała się różnych prac: była garderobianą u Izabelli Cywińskiej w Teatrze Nowym, hodowała konie, stażowała u innych. Nie widząc drogi rozwoju, wyjechała w 1994 roku autostopem do Londynu. Tam, zamiast stać na zmywaku, szukała stażu w studiach mody, aż dostała go u najmłodniejszego wówczas dyrektora projektantów Clemens Ribeiro. Przez kolejne lata pracowała u różnych projektantów, wykladała też w prestiżowej szkole mody Central Saint Martins College. Wspomina, że praca zbudowała w niej poczucie własnej wartości, nauczyła się też, że projektant nie musi pracować samodzielnie, a dzielenie jednego studia przez kilka różnych osób to norma. Nasz świat mody dopiero do tego dorasta. – Gdy przyjeżdżałam do Polski z Londynu, nie mówiłam, skąd przyjechałam, bo ludzie tym się zachlęstywali, a człowiek broni się nie tym, skąd przyjechał, ale swoim dorobkiem. Zdziwienie budzi, że nie mam butików ani kolekcji zaprojektowanej pod własnym nazwiskiem. Zresztą mam wrażenie, że ludzie nie do końca wiedzą, kim jest projektant – mówi Jakubiak. Dodaje, że po części wynika to ze skromności polskiego słownika pojęć modowych. Może rozszerzy się on dzięki katedrze mody, która otwiera się właśnie na warszawskiej ASP. Jakubiak, choć nie będzie na niej wykładać, udzielała konsultacji założycielom. Działa, uczy, organizuje, dzieli się talentem. Udowadnia, że nawet w modzie można myśleć nie tylko o najbliższym sezonie. □

fig. 1

EPO-TUNING

DOPING

TEKST KRZYSZTOF MIZERA*, PIOTR STANISŁAWSKI, ILUSTRACJE VICTOR SOMA

Bieg po ciemnej stronie

Sport wyczynowy zamienił się w wyścig laboratoriów i techników.
A idee czystej rywalizacji? Śmiechu warte

DZIECINADA. TO CHYBA NAJLEPSZE SŁOWO NA określenie akcji Kornelii Marek. W nieco tylko łagodniejszej formie to samo powiedział w Radiu TOK FM Dariusz Blachnio z Komisji do Zwalczania Dopingu w Sporcie, określając pomysły polskiej narciarki jako „naiwność graniczącą z niemal dziecinny podjęciem do tematu”.

Rzeczywiście, w czasach gdy wojna dopingowa gwałtownością przypomina tak zwaną wojnę z terroryzmem, wyprawę na olimpiadę pod wpływem EPO trudno nazwać mistrzowskim posunięciem. Bo igrzyska to prawdziwy sabat wszystkich magików od wykrywania dopingu zgromadzonych pod egidą WADA, czyli World Anti-Doping Agency, organizacji o budżecie wynoszącym ponad 25 milionów dolarów, której uprawnienia w wielu kwestiach przekraczają te, jakie mają służby bezpieczeństwa większości krajów (choćby prawo do kontroli zawodników w dowolnym czasie i miejscu).

Po drugie, EPO, czyli erytropoetyna, to doping dla ubogich. Dziś wydaje się to dziwne, ale tak zwany doping krwi, który jeszcze dekadę temu dostępny był tylko dla elit, teraz nadaje się najwyżej dla zawodników drugiego i trzeciego sortu.

Erytropoetyna, substancja zwiększająca produkcję czerwonych krwinek, którą stosowała Kornelia Marek, to typowy przedstawiciel doping drugiej generacji (o emocjonujących początkach i trudnym rozwoju pierwszej generacji czytaj w ramce) opartego na ingerencji w fizjologię organizmu. Jego początki sięgają lat 70., gdy enerdowskie sportsmenki celowo zachodziły w ciążę. Organizm brzemienną kobietę wydziela bowiem w początkowym okresie sporo hormonów, co pozwala na poprawę sportowych osiągnięć. Nikt nie mógł tu zarzucić stosowania doping, nikt też nie miał nic do gadania w kwestii prywatnych wyborów – Niemki zaraz po zawodach bez skrępowań usuwały ciążę.

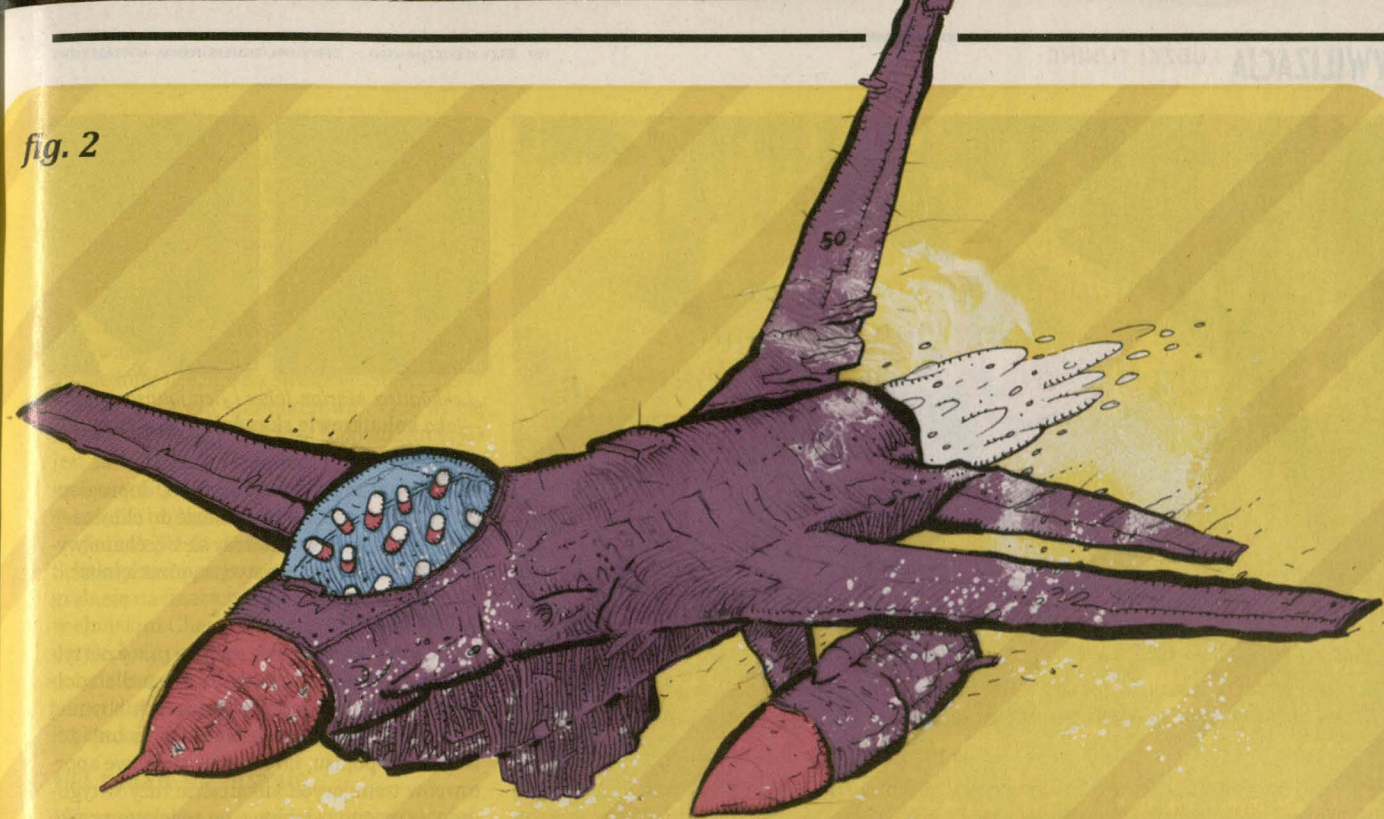
Dziś celem doping fizjologicznego jest przede wszystkim zwiększenie wydolności układu krążeniowo-oddechowego odpowiadającego za transport tlenu do mięśni. Więcej tlenu to większa chwilowa sprawność oraz wytrzymałość na długotrwały wysiłek.

Krew na wzmocnienie

EPO, przynajmniej to najczęściej stosowane, jest jednak dziś dość łatwe do wykrycia. Dlatego drugą, trudniejszą do wychwycenia metodą są transfuzje krwi. Przetaczanie jej od innej osoby łatwo rozpoznać, więc zawodnicy zwykle decydują się na pobranie własnej krwi na dwa-trzy miesiące przed zawodami i odpowiednie jej przygotowanie oraz przechowywanie. Przetoczona po tym, jak organizm naturalnie uzupełni braki, powoduje zwiększenie objętości krwi u sportowca i naturalnie poprawę wydolności organizmu.

Oczywiście WADA monitoruje nowości na dopingowym rynku i nieustannie obmyśla

fig. 2



VICTOR SOMA

w 2000 roku pięć medali, w tym trzy złote, i została prawdziwą bohaterką narodową USA.

Listy o THG

Tym większym szokiem były jej listy, które ujrzały światło dzienne w 2007 roku. Przyznawała się w nich do stosowania doping. Odebrała jej wszystkie tytuły i medale, jakie zdobyła od 2000 roku, a do tego została skazana na pół roku więzienia za składanie fałszywych zeznań. Najważniejsze jednak jest to, że Amerykanka sama się pogrążyła. Stosowała bowiem szczyt osiągnąć ówczesnej biochemii – steryd anaboliczny tetrahydrogestrinon (THG), który ma działanie podobne do testosteronu, ale nie występuje naturalnie. Substancja ta została opracowana specjalnie jako środek dopingujący przez kalifornijskie laboratorium BALCo i być może do dziś nie zostałaby wykryta, gdyby nie anonimowa osoba, która przesłała jej próbkę do Amerykańskiej Agencji Antydopingowej. Gdyby nie feralne listy, Jones nadal byłaby złotą medalistką olimpijską na sto metrów.

Dziś wygląda na to, że przedstawiciele ciemnej strony mocy oddalają się tak bardzo, że WADA może naprawdę przegrać w tym upiornym wyścigu. Na areny sportowe wkracza bowiem wspomaganie trzeciej generacji, czyli doping

przede wszystkim z ostrożnością, lecz tej w branży dopingowej akurat ze świecą szukać.

Wszystko wskazuje na to, że pierwsze genetyczne igrzyska olimpijskie odbędą się już za dwa lata w Londynie. W 2008 roku niemiecka telewizja ARD pokazała chińskiego lekarza, który proponował zastosowanie genowego doping dla równowartości 50 tysięcy złotych. Całe przedsięwzięcie dziennikarzy, z których jeden podał się za trenera amerykańskiego pływaka, okazało się skuteczną prowokacją. „Trener” zażyczył sobie poprawy wydolności płuc zawodnika, na co lekarz przystał, mówiąc, że kuracja polegająca na aplikacji kilku dożylnych zastrzyków potrwa około dwóch tygodni.

Inwestycja w geny

Interes wydaje się doskonały. Justyna Kowalczyk, która nie startuje przecież w najbardziej popularnej i dochodowej dyscyplinie, dzięki swoim medalom olimpijskim dostanie ponad 700 tysięcy złotych nagrody. Do tego dochodzą kontrakty sponsorskie opiewające na ponad 600 tysięcy złotych. Słabszy zawodnik może więc prosto i szybko skalkulować, że inwestycja w chińską kurację zwróci mu się z nawiązką.

Doping tego typu polega na ingerowaniu w kod genetyczny przez wprowadzenie do organizmu wirusa, który w kapsule lipidowej przenosi odpowiednie spreparowane DNA. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wirus ten zmieni tylko niektóre komórki, na przykład mięśniowe. W ten

* Krzysztof Mizera, fizjolog sportowy, pracuje w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie

nowe sposoby przygważdżania zawodników. Transfuzje, kiedyś niezwykle popularne w kolarstwie szosowym, wypłeniono przez wprowadzenie górnego limitu liczby czerwonych krwinek. Odpowiedzią na te restrykcje są sposoby na sztuczne zwiększanie poboru, transportu lub dystrybucji tlenu w organizmie z wykorzystaniem na przykład efaoksiralu (RSR13), który zwiększa zdolność samej hemoglobiny do przenoszenia tlenu. Krwinek pozostaje więc tyle samo, choć stają się one po prostu wydajniejsze. Z kolei stare dobre EPO modyfikuje się w laboratoriach tak, by ominąć mechanizmy jego wykrywania wykorzystywane przez WADA. Jednak preparat zastosowany przez Kornelię Marek był prawdopodobnie typową erytropoetyną znaną i wykrywaną od blisko dekady.

W tym wyścigu jasna strona mocy z góry skazana jest tylko na oglądanie pleców tych złych – nie sposób przewidzieć kolejnego posunięcia dopingowego przemysłu biochemicznego, więc siłą rzeczy można jedynie reagować na to, co uda się wykryć i udowodnić. O tym, że sprawa nie jest prosta, świadczy choćby przypadek medalistki z Sydney Marion Jones. Ta amerykańska lekkoatletka zdobyła



Kornelia Marek w Vancouver w biegu na 30 kilometrów zajęła 11. miejsce, a w sztafecie 6. Jest na razie **jedynym sportowcem złapanym na doping** podczas tych igrzysk

→ sposób można między innymi zmienić skład włókien mięśniowych, tak by dopasować go do wymogów danej dyscypliny. Aby bić rekordy w, dajmy na to, biegu na sto metrów, trzeba charakteryzować się znaczącą przewagą włókien szybko kurczliwych. W latach 90. naukowcy zidentyfikowali białko, którego niedobór powoduje wyjątkowo duży rozrost masy mięśniowej.

Dziś prawdopodobnie najszerzej stosowaną odmianą doping genetycznego jest terapia Repoxygen, która prowadzi do stałego wydzielania erytropoetyny przez komórki tkanki mięśniowej.

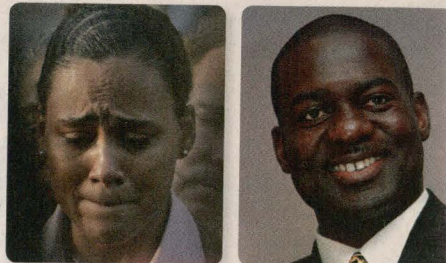
Wyścigi mutantów

Terapia genowa może pomóc nie tylko w zmianianiu korzystnych genów, ale także w leczeniu urazów, na przykład trudno gojących się uszkodzeń więzadeł wewnątrz stawu kolanowego lub złamań kości. Kontuzje słabo ukrwionych więzadeł, ścięgien czy mięśni goją się niezwykle trudno, a powrót do pełnej sprawności wymaga długiej rehabilitacji. W naukowym ma-

gazynie „Physician and Sportsmedicine” pokazano, jak transfer genów odpowiednich czynników wzrostu wprost w miejsce urazu może usprawnić regenerację uszkodzonych tkanek oraz przyspieszyć powrót do formy.

Podobne ingerencje przeprowadzane na poziomie genetycznym nie dają na razie nadziei na opracowanie metody ich wykrywania. Wirus niosący pożądane geny może zostać wprowadzony do organizmu na wiele miesięcy przed zawodami, a przyrost masy mięśniowej jest przecież naturalnym efektem ciężkiego treningu. Można próbować wykrywać w organizmie zmiany poziomu białek, jednak w przyszłości odpowiednio ostrożne zastosowanie doping genowego sprawi, że pozostaną one w granicach normy.

To kolejny problem – dziś coraz wyraźniej widać, że w wielu dyscyplinach szanse na medale mają tylko ludzie będący de facto silnymi odchyleńcami od genetycznej normy. Mogą mieć szczególnie dużą pojemność płuc czy wyjątkowe połączenie budowy ścięgien ze skła-



Lekkoatleci Marion Jones i Ben Johnson znani jako **bohaterowie skandali dopingowych**

dem tkanki mięśniowej. Walka z dopingiem genetycznym może doprowadzić do eliminacji ze sportu osób, które urodziły się z cechami wykraczającymi poza statystyczną przeciętność.

Szybkie cięcie

Rozwój doping to nowe miejsca pracy nie tylko dla genetyków, ale także szansa dla zdolnych chirurgów nieprzysługujących zbyt dużej wagi do zawodowej etyki. Mają tu oni duże pole do popisu, bo narządy ruchowe sportowców trenujących kilkanaście razy w tygodniu są mocno osłabione, co zwiększa ryzyko poważnych kontuzji lub ogranicza możliwość dalszego rozwoju. Zamiast fatalnego dla osiągnięć wypoczynku można wtedy przeprowadzić transplantację, której celem jest zastąpienie uszkodzonej struktury nową, często lepszą od oryginalnej. Zazwyczaj są to materiały biologiczne pobrane z ciała operowanego pacjenta, ale można też pokusić się o pobranie lepszego modelu ze zwłok dawcy, na przykład ścięgna, łąkotki lub chrząstki.

Czy więc idea czystego, uczciwego sportu ma jeszcze jakikolwiek sens? Prawdę mówiąc, nic nie wskazuje na to, żebyśmy byli gotowi na powrót do wyników sprzed trzech dekad, gdy doping był jeszcze wyjątkiem. Oczekujemy fenomenalnych osiągnięć, najlepiej takich, które leżą już poza granicami ludzkich możliwości. Dlatego przesuwanie tych granic właśnie trwa.

Czy ktoś dziś myśli jeszcze, że sport to zdrowie? O naiwni, witajcie po ciemnej stronie mocy.

ZAWODNICY PODKRĘCENI STRYCHNINĄ

POCZĄTKI DOPINGU TO farmakologia. Ta pierwsza generacja wspomagania sportowców zaczęła się w czasach, gdy podobne działania nie były jeszcze nielegalne. Za prekursora tego kierunku należałoby chyba uznać niejakiego Choppy'ego Warburtona, brytyjskiego trenera kolarskiego, który faszerował swoich podopiecznych mieszaniną kokainy, kofeiny, strychniny

i alkoholu. Z kolei za oficjalny koniec czystych igrzysk olimpijskich można uznać bieg maratoński na zawodach w 1904 roku. Pierwszy linię mety przekroczył Frederick Lorz. Po jakimś czasie wyszło na jaw, że już po 15 kilometrach biegu tak się zmęczył, że trener podrzucił go dalej samochodem. W ten sposób zwycięzca pokonał kolejne 18 kilometrów, a na własne nogi wrócił tylko dlatego,

że maszyna się zepsuła. W tej sytuacji pierwsze miejsce należałoby się zapewne drugiemu na mecie Thomasowi Hicksowi, który jednak przyznał się, że wyścig ukończył na brandy i strychninie. Ta silna trucizna w postaci azotanów i w niewielkiej dawce ma działanie silnie pobudzające. Wykorzystano to między innymi w popularnym jeszcze niedawno preparacie Cardiamid-Coffein.

K oło sceny pojawia się kłębowski foto-reporterów i wymachujących rękami panienek. Słychać krzyki, głośnie pytania, grupa powoli zaczyna się przesuwać. Zaintrygowany wchodzi na schody, by zobaczyć, co się dzieje. W środku zamieszania otoczony rozpychającymi tłumek mężczyznami idzie błydy, chudy chłopak. Zdecydowanie nie wygląda na aktora czy muzyka. To Jaedong Lee, mistrz świata w „StarCraftie” (strategiczna gra komputerowa). Oczywiście Koreańczyk – oni tu rządzą niepodzielnie. JD jest zawodowcem, jego roczny kontrakt przekracza sto tysięcy dolarów, do tego dochodzą pieniądze i sprzęt od sponsorów.

Jednak JD to przede wszystkim gwiazda. Scenka z rozentuzjasmowanym tłumem rozegrała się na finałach World Cyber Games 2009 w chińskim Chengdu, gdzie za swoim idolem przyjechała pokaźna grupa fanów (no dobrze, przede wszystkim fanek). Towarzyszy mu też trener oraz, a jakże, lekarz dbający o kondycję. Przesada? Gruba przesada?

400 zadań na minutę

Mój sceptycyzm mija, gdy uwolniony od towarzyszt mistrz wchodzi wreszcie na scenę i zasiada w dźwiękoszczelnej kabinie pełnej kamer. Drugie takie samo miejsce zajmuje jego przeciwnik. Jeszcze chwila przygotowań i rozpoczyna się rozgrywka.

Na centralnym ekranie widać to, co gracze obserwują na swoich monitorach, ale najciekawsze dzieje się obok, gdzie pokazani są sami zawodnicy. Przez chwilę nie wierzę własnym oczom. Ręce JD wyglądają, jakby chłopak dostał drgawek. Jedną dłoń skacze na myszce, drugą na klawiaturze. Spoglądam na centralny ekran – widać, jak w zawrotnym tempie pojawiają się i natychmiast znikają kwadraty zaznaczające całe grupy wojsk. Błyskają kolory, w tę i z powrotem ganiają stada skaczących purpurowych i niebieskich stworów. Jaedong podczas gry wykonuje 400 czynności na minutę: oznacza grupę wojsk, wydaje jej polecenie, przesuwa ekran, kontroluje poczynania przeciwnika, zmienia rozkazy.

Początkowo gra wydaje się statyczna – to etap budowania armii, gromadzenia sił. Oczywiście spokój jest pozorny, bo obaj zawodnicy stale śledzą to, co robi wróg, i dostosowują swoje oddziały. Gdzieś w szóstej minucie gry przeciwnik JD decyduje się na atak. Grupy jego żołnierzy rzucają się na bazę wroga, ale najwyraźniej coś się nie udaje i po zaledwie kilkadziesiąt sekund widać, jak niedobitki z potężnej armii kulawo uciekają w różne strony. Ręce JD zaczynają się poruszać jeszcze szybciej – rozpoczął się kontratak. Baza przeciwnika została niemal bez ochrony i w pół minuty jest po grze. JD rozniósł wroga. Jak zwykle.

„StarCraft” to narodowy sport Korei, coś jak piłka nożna dla Polaków. Z jedną różnicą – oni są w tym najlepsi na świecie. To szczególnie fenomen, bo sama gra kończy właśnie 12 lat. Dla gry komputerowej to nie jedna, ale

Wielka e-gra

Szykuje nam się nowa dyscyplina narodowa. Mamy już gotowych mistrzów, potrzebny jest jeszcze gorący entuzjazm



Z lotu ptaka wygląda to mniej emocjonująco niż futbol. Ale emocje kryją się w szczegółach

pięć epok. Czemu ktoś jeszcze gra w takie starcie? To trochę jak z lotami w kosmos – najnowocześniejszy sprzęt, jaki wysła się na orbitę, to komputery i procesory sprzed dobrych siedmiu–ośmiu lat. Sprawdzone, niezawodne, dobrze znane. „StarCraft” to właśnie taki pewniak – doskonale wiadomo, jakie są jego słabości, gdzie gracze mogliby oszukiwać, jakie strategię można zastosować.

Mistrzowski strzał

Drugi podobny fenomen to „Counter Strike” wywodzący się z 1999 roku. O ile „StarCraft” jest złożoną strategią, o tyle „Counter Strike” to taktyka w czystej postaci. Spotykają się dwie grupy – antyterrorysty i terroryści. Każdy gracz prowadzi jedną postać, widzi świat jej oczami. Tu Koreańczyk nie ma nic do gadania – w „Counter Strike’u” rządzą Polacy. Zespół Again rozniósł na strzępy (dosłownie) kolejnych przeciwników i w wielkim finale World Cyber Games zdobył złoto. Tak, to kolejna dyscyplina sportowa, w której jesteśmy światową czołówką.

Najwyższy więc czas, by do fanów Justyny Kowalczyk, Adama Małysza, Roberta Kubicy czy Agnieszki Radwańskiej dołączyli miłośnicy teamu Again. W końcu Polacy nie mają tak wielu mistrzów, by można było jakichś sobie odpuścić. Dodatkowy atut to możliwość

samodzielnego uprawiania tej dyscypliny. Gra w tenisa leży poza zasięgiem większości z nas, o skokach narciarskich i Formule 1 nie wspominając. Tymczasem „Counter Strike’a” można uruchomić nawet na bardzo wiekowym komputerze, a do rywalizacji z innymi wystarczy całkiem przeciętne łącze internetowe.

Zatem Polacy! Czas na cybersport! Mamy nową narodową dyscyplinę, mamy mistrzów. Jeśli ich nie doceniamy, to tylko dlatego, że nie traktujemy tego sportu poważnie. A przecież, nabierając nieco dystansu, czy kierowanie wirtualnymi postaciami na ekranie ma mniej sensu niż uderzanie naprężonymi sznurkami w żółtą kulkę? Bo z pewnością wymaga równie wiele treningu i wysiłku.

Dlatego piszemy o tym dziś, cztery miesiące po sukcesie naszych e-sportowców? Ano dlatego, że rok 2010 ma szansę stać się początkiem poważnego zainteresowania tą branżą w Polsce. Firma Samsung, która jest oficjalnym sponsorem World Cyber Games, postanowiła mocno potrząsnąć nieco już zastalą światową e-zawodów. Polską edycję WCG ma organizować nowy zespół ludzi, mistrzowie dostaną profesjonalne wsparcie, cała impreza zaś lepszą promocję. Sukcesy już są, potrzeba tylko kibiców, którzy przyciągną sponsorów. Zima się kończy, Justyna i Adam odpoczywają. Włącz komputer. Rozgrzej palce.



Słynni kolarze początku XX wieku – bracia Pélissierowie – **nie przejmowali się dopingiem**

Z WZAJEMNOŚCIĄ WOJCIECH MIKOŁUSZKO

Za geny oddam życie

Nie tylko zwierzęta, ale i bakterie potrafią poświęcić się dla innych. Jednak ten piękny altruizm – zupełnie jak u ludzi – zwykle podszyty jest egoizmem. Nie milknie dyskusja, czy „zwykle” oznacza „zawsze”



Spizela białobrewa atakuje grzechotnika (to mokasyn miedziogłowiec) pragnącego pożywić się jajkami. Nietrudno zgadnąć, kto wygra. Warto za to docenić poświęcenie ptaka

Naprawdę mnie wzruszyła – kiedy profesor Ewa J. Godzińska z Instytutu Biologii Doświadczalnej imienia Marclego Nenckiego w Warszawie opowiada o Białym Daszku, czyli... pewnej robotnicy trzmiela rudego, słysząc w tym emocje. Białe Daszek należała do doświadczalnej kolonii, której mieszkańcom podawano pokarm w miejscu oddalonym od ula o kilka metrów. Któregoś dnia karmnik opanowały osy. – Białe Daszek została zaatakowana i nie mogła latać. Zanim ją do gniazda. Po kilku minutach opuściła ul i na piechotę ruszyła po pokarm dla towarzyszek. Podążała uparcie w kierunku karmnika.

Dla dzieci

Przykład Białego Daszka pojawia się jako kolejny argument w toczącej się od lat dyskusji o poświęceniu. Debata wybuchła wkrótce po śmierci Karola Darwina w 1882 roku. Jego najwierniejszy uczeń Thomas Henry Huxley opublikował esej „Walka o byt”, w którym dowodził, że przyroda polega na walce wszystkich ze wszystkimi. Świat zwierząt porównywał do pokazu gladiatorów.

Jednocześnie w dalekiej Rosji dojrzewała myśl odwrotna. Piotr Kropotkin, twórca i teoretyk anarchizmu, obserwował przyrodę Syberii, gdzie służył w carskiej armii. Został uwięziony za działalność polityczną, ale uciekł na Zachód. Po wielu przygodach trafił do Anglii. Tam jął zwalczać poglądy Huxleya. Opublikował dzieło „Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju”, w którym dowodził, że prawem natury jest współpraca. To ona daje więcej korzyści niż krwawa walka wszystkich ze wszystkimi. Kropotkin opisywał, jak konie wspierają się podczas ucieczki przed pożarem, a kraby pomagają kolegom, którzy przewrócili się na grzbiet.

W czasach Kropotkina genetycy i ewolucjoniści jeszcze nie potrafili się ze sobą porozumieć. Dopiero z czasem okazało się, że obie dziedziny biologii świetnie się uzupełniają. Ich współpraca udowodniła, że to, co wcześniej uważano za czysty altruizm, niejednokrotnie bywa troską o przetrwanie własnych genów. Dlatego właśnie poświęcenie tak często widać u rodziców, którzy narażają życie, by ratować potomstwo. Niektóre ptaki, gdy widzą zbliżającego się do gniazda drapieżnika, udają kalekę. Opuszczają skrzydło, jakby było złamane, lękliwie popiskują i niezdarnie uciekają po ziemi. Zawsze w stronę przeciwną niż gniazdo. Jeśli

drapieżnik zlekceważy te sztuczki, podchodzi bliżej i piszczy głośniej.

Niektóre samice motyli z rodziny kosówkowatych (*Psychidae*) nigdy nie mają skrzydeł i nóg, niczym się nie odżywiają. Całe dorosłe życie spędzają w kokonie – tam są zapładniane i tam składają jaja. Wszystko dla dobra dzieci, które zaraz po wykluciu się otrzymują wsparcie w postaci obfitego i pożywne posiłku z martwego ciała matki.

Inne owady idą jeszcze dalej i pozwalają potomstwu zjadać się żywcem. Na takie poświęcenie decydują się niektóre muchówki. Rozmnażają się dzieworodnie, a ich córki rozwijają się jeszcze w ciele matki. Ba, bywa, że wewnątrz córek już rośnie następne pokolenie. Gdy więc zajądą się żywą matką, to są już konsumowane od środka przez własne potomstwo.

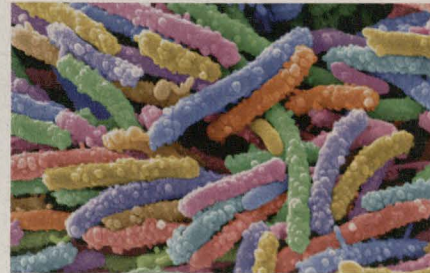
Dla klonów i dla rodziny

Równie skrajne przypadki poświęcania naukowcy odkryli wśród organizmów jednokomórkowych. Na trop, że jest to możliwe, wpadli podczas badań apoptozy, czyli zaprogramowanego samobójstwa komórki. U organizmów wielokomórkowych, w tym i u ludzi, od czasu do czasu zdarza się, że pojedyncza komórka zmutuje lub zostanie zainfekowana. Poświęca się wtedy dla dobra organizmu i pełni samobójstwo. I to w taki sposób, by po śmierci nie uwolniły się z niej szkodliwe enzymy, które mogłyby zniszczyć sąsiednie komórki.

Niemieckiemu mikrobiologowi Kai-Uwe Fröhlichowi z Uniwersytetu Tybingi udało się wzbudzić geny odpowiedzialne za apoptozę u jednokomórkowych drożdży. Uczony twierdzi, że grzyby te potrafią pełnić zbiorowe samobójstwo. Dzieje się tak wówczas, gdy w środowisku zaczyna brakować jedzenia. Martwe komórki dostarczają je pozostałym drożdżom. Dzięki ich poświęceniu najgorszy nawet głód może przetrwać przynajmniej kilka drożdży.

Podobne zjawisko badacze odkryli u bakterii. Pospolita w naszych jelitach *Escherichia coli* lubi łączyć się w warstewki zwane biofilmami. Chroni ją to przed atakami wirusów i antybiotyków. Łatwiej też w ten sposób zapać pokarm. By jednak biofilmy dobrze funkcjonowały, część bakterii musi się poświęcić. Te, które znajdują się na dnie warstwy, otrzymują mniej pokarmu i tlenu. Jest im tak niedobrze, że wstrzymują nawet procesy życiowe. Bywa, że niektóre zdobywają się na jeszcze większe wyrzeczenia. Gdy biofilmowi grozi niebezpieczeństwo, część *E. coli* wypełnia swe komórki toksyną. Puchną od niej, a w końcu eksplodują, rozsiewając dookoła truciznę. Sąsiadki już zawnazę przygotowują antidotum na toksynę. Samobójstwo pozwala więc zabić konkurencję i wrogów, lecz pozostawia przy życiu bakterie z tego samego biofilmu. Społeczność trwa dzięki poświęceniu pojedynczych osobników.

Altruizm drożdży i bakterii też można wytłumaczyć dbaniem o własne geny. Ponieważ organizmy jednokomórkowe rozmnażają się



Bakterie *Escherichia coli* lubią leżeć warstwami. Trudniej się do nich dostać

przez podział lub pączkowanie, wokół nich znajdują się zwykle kłony. Samobójcze poświęcenie jednego osobnika pozwala na przetrwanie jego licznych kopii.

Najwięcej kłopotów sprawił badaczom altruizm owadów społecznych. To tam odkrywane były przykłady wzruszającego wręcz poświęcenia. Białe Daszek, która mimo braku zdolności do lotu ruszała w teren na zbieraczką wyprawę, to ledwie wstęp do katalogu owadziej ofiarności.

Niedawne badania profesora Jürgena Heinze i jego doktora Bartosza Waltera wykazały, że mrówki *Temnothorax unifasciatus* przed śmiercią opuszczają gniazdo, by umrzeć samotnie, z dala od krewniackich. Chroniły w ten sposób współtowarzyski przed chorobą. Podobne zachowania zaobserwowały profesor Godzińska z doktor Julią Korczyńską u afrykańskich mrówek *Camponotus melanocnemis*, które normalnie żyją w ciemności. Gdy zbliżał się kres ich życia, robotnice wychodziły na światło i tam, z dala od innych, umierały.

Inny polski badacz Adam Tofilski odkrył wraz ze współpracownikami, że u brazylijskich mrówek *Formica ruginosa* co wieczór kilka robotnic pozostawiało poza gniazdem, by zasypać od zewnątrz jego wejście. Robotnice te, odcinając sobie możliwość powrotu,

de facto popełniały samobójstwo, poświęcając życie dla kolonii.

Dlaczego?

Wydawało się, że zagadkę heroizmu owadów społecznych rozwiązał William Hamilton. Mrówki, pszczoły czy trzmiele mają bowiem dość nietypowy sposób dziedziczenia genów. Jak wskazał Hamilton, w koloniach owadów społecznych złożonych niemal wyłącznie z samic każda z nich jest bliżej spokrewniona ze swymi rodzinnymi siostrami niż z potencjalnym potomstwem. Poświęcenie życia dla kolonii tak naprawdę sprzyja więc rozpowszechnianiu własnych genów.

Dla kogo?

Wyjaśnienie było zgrabne, sensowne i dlatego uznano je za obowiązujące. Tyle że taki system działa tylko wtedy, gdy wszystkie robotnice są dziećmi jednej samicy i jednego samca. Tymczasem królowe mrówek czy pszczoł potrafią kopulować z wieloma partnerami. Często bywa też, że w kolonii żyją liczne królowe. – Współczynnik pokrewieństwa między robotnicami może wtedy spaść niemal do zera – twierdzi profesor Godzińska. – A mimo to ciągle współpracują.

Dwaj słynni biolodzy i badacze mrówek Edward O. Wilson i Bert Hölldobler w 2009 roku w książce „The Superorganism” odrzucili odrzuconą niegdyś teorię doboru grupowego. Zgodnie z nią ewolucja może działać nie tylko na poziomie genów czy osobników, ale też grup. Owad może poświęcać się dla dobra kolonii. Wszystko po to, by chronić grupę, od której zależy przetrwanie jego krewnych.

Postulaty Wilsona i Hölldoblera popiera profesor Ewa J. Godzińska: – Kiedy statek tonie, giną wszyscy. Dlatego warto pomagać załodze, dzięki której łódź utrzymuje się na powierzchni, nawet jeśli nie są to nasi bliscy krewni. Nie wszystkich naukowców to przekonuje. Dyskusja wciąż trwa. □

RYBKI CZYSZCZĄ ZĘBY TYLKO DOBRYM ZNAJOMYM

OBOWIĄZUJĄCA DZIŚ TEORIA ewolucji dopuszcza pomoc nawet osobnikom z innego gatunku! Jest to jedna z form tak zwanego altruizmu odwzajemnionego, który polega na tym, że isto-

ty żywe pomagają sobie na zasadzie wzajemnych przysług. Warunkiem sprzyjającym powstaniu takiej zależności jest umiejętność rozpoznawania się. Na przykład wówczas, gdy obie

strony są ze sobą nierozdzielnie związane. Tak dzieje się w przypadku glonów i grzybów, które razem tworzą porost. Obie strony mogą też rozpoznawać miejsce, w którym stale się spotykają. To jest przypadek rybek czyszcicieli, które wyjadają pasożyty dużym rybkom, nie uszkadzając ich i nie będąc zjadanymi nawet przez groźne drapieżniki. A wreszcie poszczególne osobniki mogą się po prostu rozpoznawać osobliście. Wiedzą wówczas, komu pomogły i kto ma wobec nich dług. □



Glupio zjeść swojego dentystę. Dlatego rybki czyszciciele uchodzą z życiem

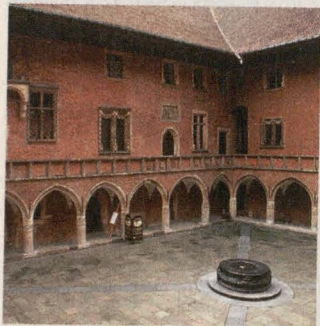
?

?

TEŻ
PYTANIE!

Zaskakujących pytań
ciąg dalszy!
Czekamy na więcej!
Jeśli coś ciągle cię
nurtuje, pisz na adres
nauka@przekroj.pl.
Co tydzień przyznajemy
jedną nagrodę

URSZULA DĄBROWSKA



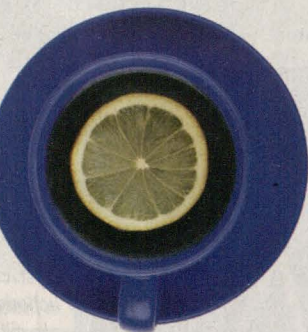
1. SKĄD WZIĄŁ SIĘ KWADRANS AKADEMICKI?

Przynajmniej przez kilkaset lat pobłażliwość dla spóźnialskich zaków była po prostu konieczna. Pierwsze uniwersytety zakładano już w XI wieku. Gdy żyje się bez zegarka – dopiero w XVI wieku, wykorzystując mechanizm koła zębatego, niemiecki ślusarz Peter Henlein zbudował zegarek kieszonkowy – a o upływie czasu informują kościelne dzwony, nawet najbardziej pilni studenci nie mają szans, by przyjść na zajęcia punktualnie. Na szczęście miasta uniwersyteckie bardzo długo były dość małe (jak Kraków mieszczący się w obrębie Plant). Dlatego słysząc, że wybija godzina wykładu, studenci dobiegali nań z niewielkim spóźnieniem. Tak zrodziła się idea kwadransu akademickiego. Dziś to już tylko maniera. Bo skoro licealista jest w stanie być w szkole na czas, to czemu student nie?



3. CZY TO PRAWDA, ŻE HERBATA Z CYTRYNĄ SZKODZI?

Cytrynę spokojnie możemy dodawać do herbaty, ale dopiero po wyrzuceniu fusów. Herbata jest bardzo bogata w glin. Prawdopodobnie pierwiastek ten przyczynia się do rozwoju choroby Alzheimera. W liściach herbaty występuje on w formie nieprzyswajalnej przez organizm, w dodatku trudno rozpuszcza się w wodzie. Działanie soku z cytryny na fusy powoduje jednak powstanie cytrynianu glinu, czyli dobrze rozpuszczalnej i niebezpiecznej dla ludzi formy tego pierwiastka. Natomiast cytryna w samym naparze (po wyrzuceniu fusów) jest wręcz bardzo zdrowa. Zakwaszenie napoju sprawia, że zawarte w nim antyoksydanty, a dokładnie katechiny, są lepiej przyswajane przez organizm. Dzięki nim proces starzenia zachodzi wolniej, a serce jest bardziej odporne.

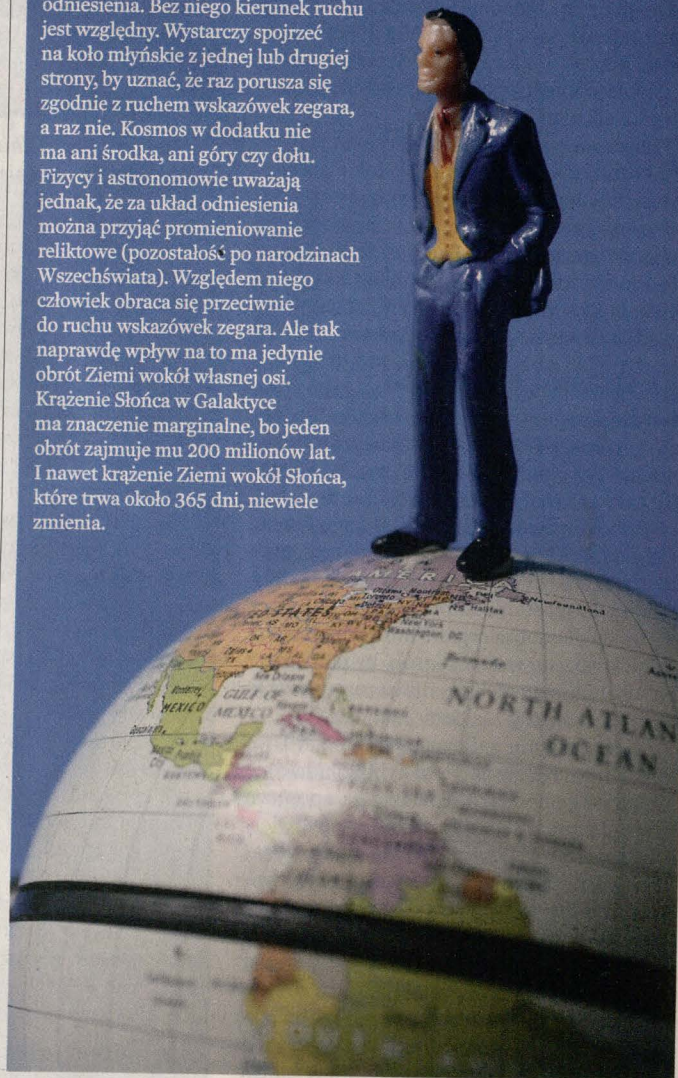


2. SKĄD PTAKI WIEDZĄ, DOKĄD LECIEĆ, GDY PO ZIMIE WRACAJĄ DO DOMU?

By pokonać określoną trasę i utrzymać kurs, w nocy wykorzystują gwiazdy, a w dzień Słońce. Biorą przy tym poprawkę na to, że Ziemia kręci się wokół własnej osi, więc obraz na niebie się zmienia. Słońce „wędruje” ze wschodu na zachód, a rozgwieżdżony nieboskłon „kręci się” wokół Gwiazdy Polarnej. Dodatkowo niektóre gatunki wyczuwają pole magnetyczne, które wyznacza kierunek północ-południe. Samą potrzebę wędrówki warunkuje u ptaków instynkt wspomagany przez fizjologię. Zmiany długości dnia powodują wydzielanie hormonów przez przysadkę mózgową. Stymulują one zwierzęta, by szykowały się do drogi. Ptaki uczą się, jak i dokąd migrować, także od starszych osobników. Przykładem są choćby młode bociany poznające w ten sposób drogę z Polski do Afryki i z powrotem. Potem wybierają sobie gniazdo w promieniu 50 kilometrów od miejsca wyklucia, czyli w okolicy, którą po prostu dobrze znają. Tak jak my, którzy pamiętamy swój adres i jakoś trafiamy do domu nawet po najdłuższej imprezie.

4. W KTÓRĄ STRONĘ CZŁOWIEK STOJĄCY NA ZIEMI OBRACA SIĘ WZGLĘDEM ŚRODKA WSZECHŚWIATA?

Aby ocenić, jak kręci się dany przedmiot, musimy przyjąć stały punkt odniesienia. Bez niego kierunek ruchu jest względny. Wystarczy spojrzeć na koło młyńskie z jednej lub drugiej strony, by uznać, że raz porusza się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a raz nie. Kosmos w dodatku nie ma ani środka, ani góry czy dołu. Fizycy i astronomowie uważają jednak, że za układ odniesienia można przyjąć promieniowanie reliktowe (pozostałość po narodzinach Wszechświata). Względem niego człowiek obraca się przeciwnie do ruchu wskazówek zegara. Ale tak naprawdę wpływ na to ma jedynie obrót Ziemi wokół własnej osi. Krążenie Słońca w Galaktyce ma znaczenie marginalne, bo jeden obrót zajmuje mu 200 milionów lat. I nawet krążenie Ziemi wokół Słońca, które trwa około 365 dni, niewiele zmienia.



5. DLACZEGO PLAMY Z KRWI SCHODZĄ ŁATWIEJ POD ZIMNĄ WODĄ?

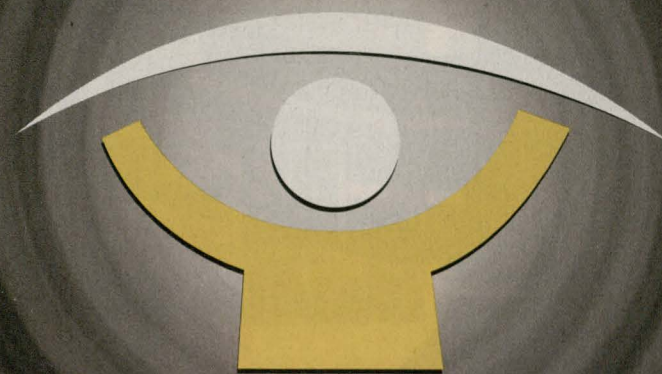
To, co we krwi brudzi najbardziej, to hemoglobina. Jest to cząsteczka złożona z czterech białek, z których każde zawiera po jednym atomie żelaza nadającego całości czerwony kolor. Pod wpływem wysokiej temperatury, czyli powyżej 40 stopni Celsjusza, hemoglobina rozpada się na pojedyncze białka. Są one bardzo lepkie, co sprawia, że świetnie wiążą się z włóknami tkaniny. Wtedy plamę usunąć może już tylko środek, który całkowicie niszczy białka (na przykład proszek enzymatyczny lub woda utleniona). Pranie w chłodnej wodzie pozwala wypłukać krew z materiału, bo nie zrywa wiązań między białkami tworzącymi hemoglobinę.



Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowieść”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądzą wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak

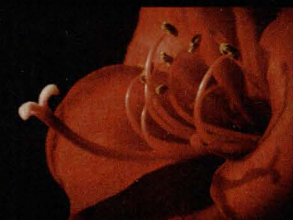
FOT. ISTOCK (2), MAREK SKORUPSKI/FORUM

AKADEMIA
NIKONA

ZAPRASZA NA

WARSZTATY TEMATYCZNE
FOTOEKSPEDYCJEFOTO ENO
KULINARIA
UMBRIA

PERU

REPORTAŻ
PIENINYMAKRO
POWSIN

BHUTAN

PEJZAŻ
WIGRY

WIĘCEJ NA:

WWW.AKADEMIANIKONA.PL



PSTRYK PIOTR STANISŁAWSKI

Cyfrowe przekleństwo

Myślisz, że zdjęcia, które dziś robisz, będziesz mógł oglądać za 20 czy 30 lat? Nic z tego – zginą gdzieś w otchłani twardych dysków, pomieszą się i znikną. Chyba że skorzystasz z naszego poradnika

Pamiętasz te czasy, gdy po powrocie z wakacji oddawałeś do laboratorium trzy rolki filmu, potem starannie wybierałeś ze styków 20 czy 30 klatek (to w wersji profesjonalnej) i robiłeś z nich odbitki? Ostatecznie jeszcze część z nich zostawała w kopercie, a te wybrane, najlepsze trafiały do albumu. Dzięki temu wystarczy sięg-

nąć na półkę, by obejrzeć wakacje w Egipcie z 1999 roku czy wypad do Augustowa AD 2002. A potem nadszedł kataklizm. Aparat cyfrowy sprawił, że z weekendowego wyjazdu wracasz z pół tysiącem zdjęć zapisanych na karcie. Nie masz czasu nawet zgrać ich na dysk – zrzucisz wszystkie dopiero, gdy zapcha się karta pamięci w aparacie. Oczywiście

ście nigdy już ich nie przejrzyś, no może w najlepszym razie wyślesz dwa najgłupsze znajomym. Po roku wszystko to staje się absurdalne – dysk komputera wypełniają megabajty beznadziejnych fotek, których właściwie nie widziałeś. Zniknęła przyjemność wybierania i oglądania zdjęć, zastąpiło ją cyfrowe przekleństwo. Oto sposoby, jak się od niego uwolnić.

MYŚL

Na początek najtrudniejsze zadanie. Rób zdjęcia tak, żebyś miał ochotę je później oglądać. Nie musisz, choć warto, zagłębiać się w tajniki kompozycji kadru i doboru oświetlenia. Na szczęście nowoczesne aparaty, zwłaszcza kompakt, wyposażone są w dziesiątki funkcji, które ułatwiają od troski o wiele detali.

Choćby zdjęcia na śniegu. Jeśli zrobisz je w trybie w pełni automatycznym, będą brzydkie – jasny śnieg sprawia, że aparat samoczynnie przyciemnia zdjęcie, wszystko staje się szare i smutne.

Dlatego warto skorzystać z ustawień tematycznych – wiele aparatów ma tryb fotografii śnieżnych, który rozjaśnia zdjęcia. Z kolei tryb dzieci sprawia, że aparat skraca nie tylko czas upływający między wciśnięciem spustu a zrobieniem zdjęcia, ale także czas ekspozycji, zamrażając ustawiony kadrami.

Można też wykorzystać stylizację – spróbuj celowo nie doświetlić zdjęcia (-1/3 EV), jednocześnie w ustawieniach obrazu wymuszając najwyższy kontrast i ostrość oraz niskie nasycenie. Efekt – fotografie w mrocznym, metalicznym stylu.

⬅ Dzieci, plaża, śnieg – programy tematyczne, choć gardzą nimi profesjonaliści, są najlepszym sposobem na proste robienie dobrych zdjęć. Warunek – trzeba ich używać

ZGRYWAJ

Karty pamięci tanieją w zawrotnym tempie, ale nie daj się uwieść ich ogromnym pojemnościom. Mając osiem gigabajtów miejsca, zdjęcia zgrasz do komputera dopiero po kilku miesiącach i nie będziesz miał już ochoty ich oglądać.

Dlatego zamiast inwestować w imponującą pojemność, lepiej dopłacić za szybkość. Karty pamięci znacząco różnią się bowiem prędkością, z jaką przesyłają dane. Typowa, najtańsza karta pamięci (4 GB, SDHC) osiąga prędkość transferu 2–4 MB/s, a zapłacisz za nią około 40 złotych. Szybsza, choć o tej samej pojemności, to 10 MB/s i cena rzędu 50 złotych. Dobra, idealna do nowoczesnych aparatów wyciąga 20 MB/s i kosztuje około 70 złotych. Dane o szybkości transferu znajdziesz na karcie lub opakowaniu. Jeśli ich nie ma, to znaczy, że karta należy do najwolniejszej grupy.

Jeśli robisz zdjęcia w domu, możesz pomyśleć o ciekawym wynalazku – karcie z wbudowanym łączem wi-fi. Wygląda i zapisuje zdjęcia jak normalna karta, ale każde z nich przesyła równocześnie na komputer. Znajdziesz ją (i inne ciekawostki) na stronie Eye.fi.



⬆ Taka mała, a już ma wi-fi. Karta eye-fi może bezprzewodowo przesyłać zdjęcia do komputera

✓ Napis 20 MB/s to kluczowa informacja. Oznacza – tę kartę warto kupić



ZARZĄDZAJ

Jedną z najważniejszych rzeczy – nie zgrywaj zdjęć, korzystając z wbudowanego w system operacyjny prymitywnego mechanizmu. Zamiast tego wybierz program, który posłuży ci jednocześnie do ściągania z karty fotografii, ich katalogowania, opisywania, edycji, wyszukiwania i dzielenia z innymi użytkownikami.

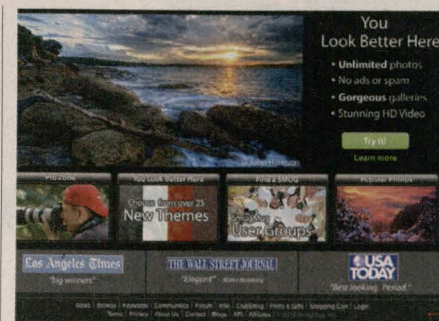
Wybór jest spory, ale często wystarczy rozwiązanie darmowe.

Dwa programy, które stają się stopniowo coraz bardziej do siebie podobne to Google Picasa (Windows i Mac OS X) oraz iPhoto (Mac OS X). Ich największa zaleta to automatyczne dzielenie zdjęć na katalogi według czasu wykonania. Do ciebie należy tylko nadanie tym wydarzeniom nazw. Warto też zwrócić uwagę na stosunkowo nową funkcję wyszukiwania twarzy – program przegląda całą kolekcję i wyławia fotografie, na których widać ludzi, i proponuje nadanie im imion. Jednocześnie uczy się, jak wygląda Tomek, Kasia czy Ola, i stara się sam dopasować kolejne twarze do znanych osób.

Picasa i iPhoto potrafią też porządkować zdjęcia według miejsca wykonania. Pojawia się coraz więcej aparatów z GPS-em, które dołączają do fotografii dane geolokacyjne, więc w ciągu kilkunastu miesięcy rozwiązanie to będzie już standardem. Na razie możemy jednak ręcznie oznaczać miejsca, po prostu wskazując je na mapie.

Połączenie tych wszystkich funkcji z możliwością przeszukiwania biblioteki według czasu wykonania zdjęcia pozwala poradzić sobie z tysiącami fotografii. Można wybrać te zdjęcia, które były zrobione przed 2009 rokiem w promieniu 50 kilometrów od Mielca i na których występuje zarówno Tomek, jak i Ola. Szybko możemy więc znaleźć tę imprezę, z której tak niewiele pamiętamy.

Bardzo ciekawym, choć już płatnym programem jest Adobe Photoshop Elements w wersji 8 (Windows/Mac OS X). Za 80 dolarów dostajemy funkcje znane z klasycznego Photoshopa przystosowane do potrzeb domowego użytkownika oraz rozbudowany system katalogowania zdjęć. W najnowszej wersji pojawiło się na przykład doskonałe narzędzie do zmieniania kompozycji zdjęcia bez ingerencji w jego układ. Można na przykład zwinąć całą fotografię tak, by nienaruszone pozostały najważniejsze jej elementy – ludzkie postacie czy domy, a skurczyły się tylko nieważne fragmenty tła. Inna zaawansowana funkcja to połączenie w różny sposób naświetlonych zdjęć tego samego obiektu tak, by powstało jedno o idealnym świetle. Sporo jest też narzędzi do retuszu, poprawiania portretów czy automatycznego ulepszania fotografii.



PREZENTUJ

Nie kiś swoich zdjęć – podziel się nimi ze światem. Zaletą cyfrowych fotografii jest możliwość pokazania ich cici z Kanady już w kilka minut po wykonaniu.

Podobnie jak w przypadku programu do zarządzania zdjęciami wybór sieciowego albumu to sprawa poważna – jeśli już gdzieś osiadziesz, nie będzie ci się chciało stamtąd ruszać. Dlatego wybieraj z namysłem. Dwa najbardziej oczywiste typy to Flickr i Picasa Web Albums. Pierwszy to klasyka i prawdziwy gigant z ogromnymi możliwościami porządkowania zdjęć i udostępniania ich bliznim. Wada – to spore ograniczenia wersji darmowej (m.in. 100 MB transferu miesięcznie, mniejsze zdjęcia). By mieć dostęp do nieograniczonej (!) pojemności, trzeba rocznie wypłać 25 dolarów. To zresztą doskonały sposób na tworzenie kopii zapasowej – wrzucamy tam po prostu wszystkie nasze fotografie i nie martwimy się ewentualną awarią domowego dysku.

Z kolei Picasa Web Albums daje za darmo 1 GB pojemności i dodatkowe atrakcje w rodzaju rozpoznawania twarzy. Do tego pełna integracja z programem Picasa i polski interfejs. Nowością są tu wspólne katalogi – po imprezie można poprosić wszystkich, by wrzucili w jedno miejsce zdjęcia ze swoich aparatów.

Jeśli komuś nie odpowiada ani jedno, ani drugie, ma jeszcze mnóstwo innych propozycji – choćby Shutterfly, Photobucket, Pikeo, Webshots czy SmugMug. Zazwyczaj za darmo dostaniemy podstawowy zestaw funkcji, ale dopiero po zapłaceniu serwis pokazuje pełnię swoich, często niezwykłych, możliwości. Warto zainwestować.

DRUKUJ

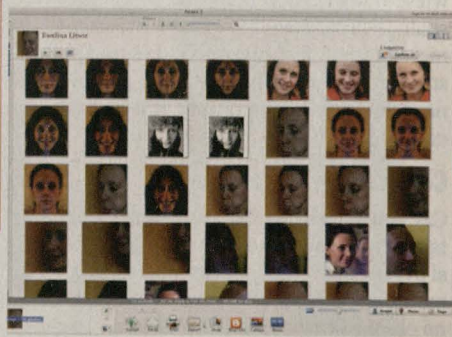
Papier to papier – nie rezygnuj z niego. Dziś odbitki robi się łatwiej niż kiedykolwiek wcześniej. Pierwszy sposób – domowa drukarka. Tańsze może być jedno z licznych sieciowych laboratoriów. Wystarczy wybrane (starannie!) zdjęcia przesłać przez Internet, a potem odebrać fotografie osobiście lub po-



Bądź jednak ostrożny, bo różne serwisy potrafią szykować niespodzianki. Na przykład regulamin, na jaki się zgadzasz, uruchamiając albumy sieciowe Picasa, mówi, że Google ma prawo wykorzystać w dowolny sposób każde ze zdjęć, które wrzucisz do ich serwisu.

Z kolei korzystając z Flickr, dobrze jest świadomie decydować o tym, które zdjęcia mają być publicznie widoczne, a które wolimy pozostawić dla rodziny i znajomych. Dodatkowo dla każdej fotografii można określić rodzaj praw autorskich, jakimi będzie chroniona. Domyślnie wszelkie prawa pozostają zastrzeżone, można jednak wybrać którąś z odmian licencji Creative Commons i zobaczyć kiedyś swoje zdjęcie w czasopiśmie czy na stronie internetowej.

Ostrożności wymaga też użycie aparatów z wbudowanym odbiornikiem GPS – na przykład iPhone. W końcu zdjęcia twojego domu mogą trafić do sieci wraz z jego dokładnym adresem.

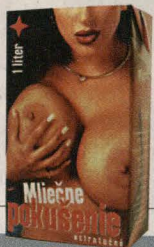


czekać na przesyłkę. Najbardziej oczywisty wybór to Empik Foto lub Profilab, które mają ogólnopolską sieć punktów, gdzie można odebrać zamówione zdjęcia.

Jednak dziś klasyczne papierowe fotki to tylko jeden z pomysłów na fizyczną obecność wirtualnych obrazków. Wiele cyfrowych drukarni za kilkadziesiąt złotych przygotowuje książki-albumy, kalendarze, wizytówki czy naklejki z naszymi zdjęciami. Sprawdzone i godne polecenia jest polskie Studiouh czy brytyjskie Moo.co.uk.

W tym tygodniu:

SCORSESE ZAGŁĄDA NA WYSPĘ TAJEMNIC,
ŻULAWSKI ZERKA W GŁĄB NOCNIKA,
MUNIEK PATRZY W PRZESZŁOŚĆ,
KOPROWICZ W NICOŚĆ, A MACIEJOWSKI
PRZYGLĄDA SIĘ NAM WSZYSTKIM



Eva Filova,
„Bez
różnicy”
(2001)

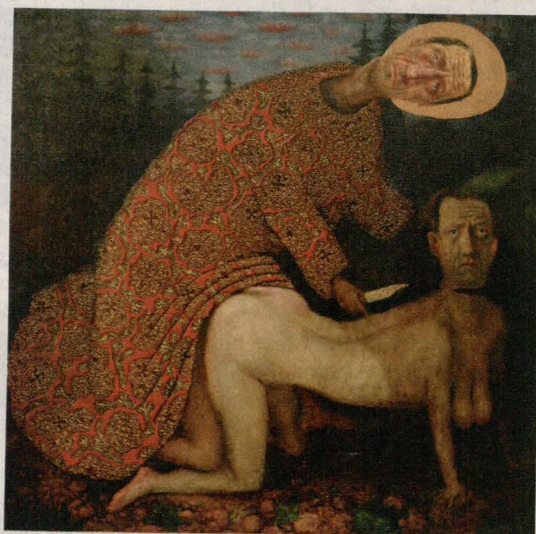
SZTUKA STACH SZABŁOWSKI

SPRAWDZAMY PŁEĆ SZTUKI

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, KTO pierze wam skarpetki? – pyta Bojana Pejić, kuratorka świeżo otwartej w warszawskiej Zachęcie wystawy „Płeć? Sprawdzam!”. Na tej potężnej ekspozycji można zagrać w handel żywym towarem, zajrzeć w „oko tajemnicy” lypiącej z waginy artystki Żebrowskiej, poznać podziemny kobiecy performance z byłej NRD, pokibicować Julicie Wójcik jeszcze raz obierającej ziemniaki w Galerii Narodowej oraz skonfrontować się z obrazami kobiecości i męskości stworzonymi przez dwie setki artystów z 24 krajów, które przeszły przez komunizm. „Płeć? Sprawdzam!” to opowieść o doświadczeniu cielesności, seksualności i płciowości w Europie Wschodniej od czasów komunizmu do dziś. Ta wystawa dowodzi, że wbrew utartym przekonaniom świata nie wprowadzają w ruch pieniądze. Światem kręci gender.

Cézanne była kobietą

Czy sztuka ma płeć? Czy sztuka jest kobietą? „Sztuka musi być piękna, sztuka musi być piękna” – powtarza w prezentowanym na „Płeć? Sprawdzam!” filmie słynna eksjugosłowiańska performerka, charmatyczna Marina Abramović, czesząc sobie włosy. Jest to czesanie na siłę, ewidentnie bolesne, a w recytowanej przez Abramović mantrze słychać obsesyjną nutę, tak jakby artystka usiłowała przyswoić zadaną lekcję, która jakoś nie chce wejść do odpornej feministycznej głowy. Kto zadał tę lekcję? Oczywiście patriarchy. Artystki powinny być piękne, jak zresztą wszystkie kobiety, a malarzy – jak chce pokutujące do dziś na polskich akademiach sztuki dowcipne powiedzonko – to przecież „żony dla malarzy”. Mężczyzna piękny być nie musi. Sztuka mężczyzny również



Socrealistyczna femme fatale na słynnym obrazie Wojciecha Fangora „Postaci” (1950). Poniżej: Saula Šarūnas „Šarūnas pokonuje siebie” (1998)

nie musi być piękna, bo może być przecież ważna, podniosła, mądra.

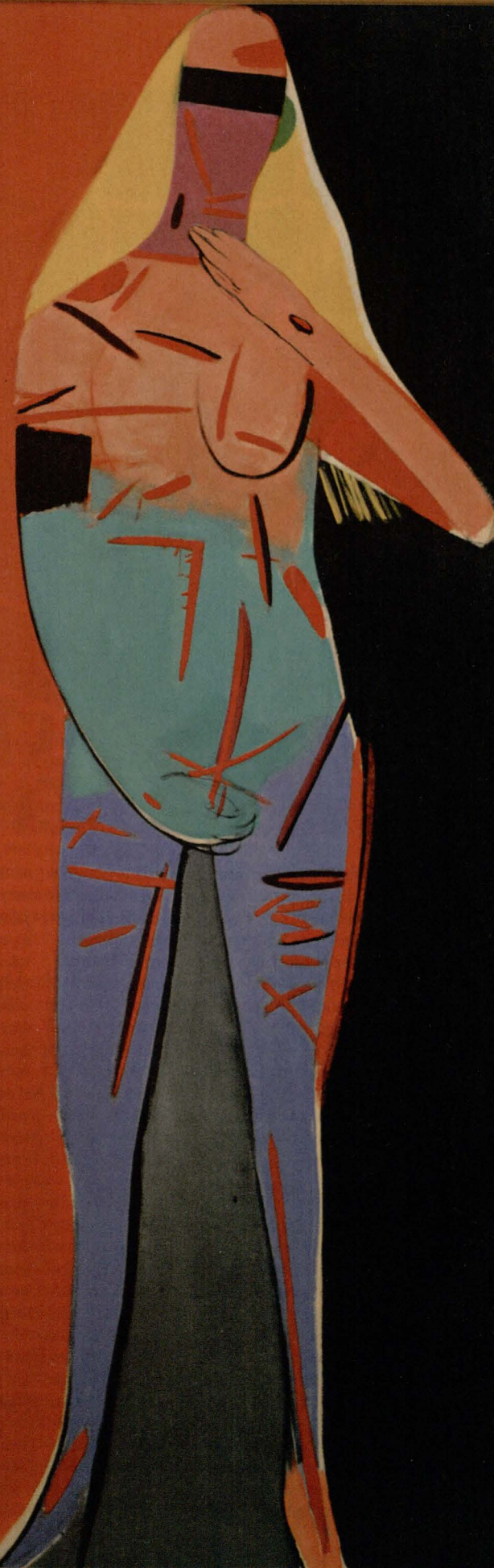
Miedzy wierszami głównych dyskursów wystawy „Płeć? Sprawdzam!” opowiedziana jest historia artystycznej emancypacji kobiet. Na pytanie, czy sztuka ma płeć, jeszcze 40 lat temu można było odpowiedzieć z całą pewnością: tak! Ma płeć – i jest to płeć męska. W pracowni oranej przez polityczną poprawność współczesności łatwo zapomnieć, że w nieodległej przeszłości sztuka była ekskluzywnie męską zabawą. Ikoniczne artystki XX wieku Georgia O’Keeffe, Frida Kahlo czy Katarzyna Kobro były wyjątkami potwierdzającymi regułę. Ich nazwiska pamięta się tak dobrze między innymi dlatego, że wyliczanka kobiet, którym udało się przebić do pierwszej ligi sztuki, jest bardzo krótka. Punkt zwrotny stanowi magiczny rok 1968, kulminacja pokoleniowej, seksualnej i obyczajowej rewolucji kulturalnej, która odmieniła Zachód.

Częścią rewolucji była feministyczna ofensywa; odcinek artystyczny stanowił ważny front tego natarcia. Za symbol tej kampanii niech posłuży artystyczna klasyczka drugiej fali feminizmu z lat 70. Carolee Schneemann czytająca nago swoją książkę „Cézanne była wielką malarzką” ze zwoju, który wyciągała powoli z własnej waginy. Sztuka feministyczna wkraczała do akcji zbrojna w strategię szokowe, nagość i odważnie manifestowaną seksualność, gotowa łamać obyczajowe tabu i rozbijać kulturowe klisze. Do zrobienia było dużo. Kiedy w 1989 roku radykalna feministyczna grupa Guerrilla Girls (której członkinie ukrywają

Proletariuszy wszystkich krajów łączyło naprawdę tylko jedno – skarpetki prały im proletariuszki

PIĘKNE KOBIETY
NA OBRAZACH,
ZDOLNI MALARZE
PRZY SZTALUGACH

– JEŚLI TAK
WYOBRAŻACIE
SOBIE ŚWIAT
SZTUKI, IDŹCIE
KONIECZNIE
DO ZACHĘTY.
WYSTAWA „PŁEĆ?
SPRAWDZAM!”
PRZEKONA WAS,
ŻE KOBIETY
I MĘŻCZYŹNI MIELI
DO ODEGRANIA
DUŻO BARDZIEJ
FASCYNUJĄCE
ROLE. NAWET
ZA ŻELAZNĄ
KURTYNĄ



Helena Heinrichsone,
„Kobieta jako
Chrystus” (1989)



→ twarze pod maskami małp) zrobiła genderową kontrolę w nowojorskiej MoMA, wyniki były druzgocące – kobiety stanowiły zaledwie 5 procent artystów w kolekcji, ale były za to bohaterkami aż 85 procent zgromadzonych w muzeum aktów.

W Nowym Jorku Guerilla Girls szalały na ulicach, żądając skończenia z zasadą, że kobieta może znaleźć się w muzeum, pod warunkiem że jest naga. Tymczasem w Europie Wschodniej dyskurs genderowy słyhać było zaledwie na marginesach głównego nurtu sztuki, w półprywatnych obiegach i zamkniętych kręgach awangardy. W ten sposób problem gender stał się bombą z opóźnionym zapłonem; wystawa „Płeć? Sprawdzam!” świetnie pokazuje moment jej eksplozji – 1989 rok. Problematyka gender stała się wtedy wielkim tematem w sztuce krajów postkomunistycznych, również w Polsce. Podobnie jak kiedyś na Zachodzie to właśnie artystki i artyści znaleźli się w pierwszym szeregu walki o emancypację wszystkich ról płciowych dyskryminowanych przez tradycyjne normy społeczne – począwszy od kobiet, przez gejów, lesbijki, a skończywszy na osobach, które chcą traktować swoją seksualną i płciową tożsamość jako sprawę płynną, zmienną, zależną tylko od indywidualnego wyboru, nie zaś od tego, „co powiedzą ludzie”.

Była to zupełnie inna sztuka niż w czasach komunizmu, kiedy o problemach genderowych artyści mówili nieświadomie, intuicyjnie, między wierszami lub na marginesach sceny sztuki. Teraz twórcy i twórczynie wkroczyli do akcji zbrojni w świeżo przetłumaczoną na języki wschodnioeuropejskie literaturę fachową i krytyczną teorię. Obyczajowo kontrowersyjna sztuka genderowa wywoływała skandale i napotykała opór konserwatywnych odbiorców, ale otrzymała za to wsparcie publicznych instytucji jako część wielkiego projektu edukowania i modernizowania zacofanych postkomunistycznych ludów.

Bohaterowie są zmęczeni

Na „Pleć? Sprawdzam!” dominują kobiety – zarówno jako autorki, jak i obiekty rozważań. A mężczyźni? Gmachy oficjalnych mitologii krajów komunistycznych wzniesione zostały na wojennych legendach. Centralną rolę odgrywał w nich heros: partyzant, powstaniec, żołnierz, zwycięzca, ewentualnie najlepszy syn narodu, który złożył swoje życie w ofierze za socjalizm i ojczyznę. Bohater wojenny wyznaczał w Europie Środkowej kanon męskości od Grecji po Słowenię – wzorzec ten zresztą doskonale harmonizował z mentalnością zachowawczych i patriarchalnych społeczeństw naszej części kontynentu.

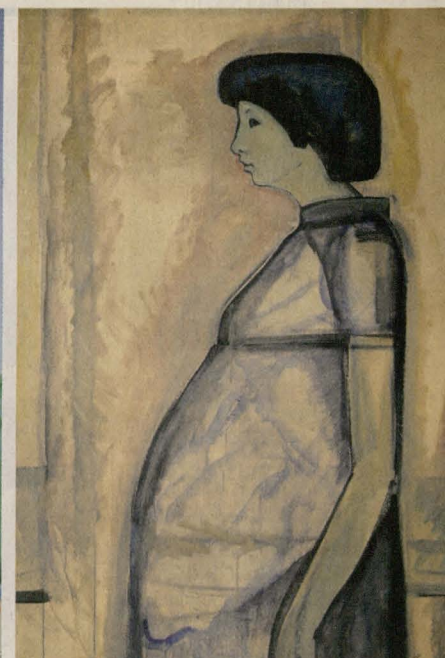
Problem z bohaterami polega na tym, że świetnie sprawdzają się jako pomniki, ale we własnej osobie są niepotrzebni, a nawet kłopotliwi, zwłaszcza w państwach autorytarnych. Na „Pleć? Sprawdzam?” uosobieniem takiego politycznie i społecznie zbędnego herosa jest Ismet Mujezinović, bośniacki malarz i autentyczny, wyróżniony orderami bohater wojenny z czasów walki z faszyzmem. Na „Autoportrecie z medalem upamiętniającym” Mujezinović przedstawia się przy pracy, z paletą w rękę i z orderem przypiętym do nagiej, krwawiącej piersi. Bojana Pejić, Serbka mieszkająca od początku lat 90. w Niemczech, opowiada, że obraz powstał w proteście przeciw polityce kulturalnej jugosłowiańskich władz. W odróżnieniu od innych reżimów wschodnioeuropejskich socjalistycznych Jugosławia śmiało popierała sztukę nowoczesną. Mujezinović zauważył, że na zagraniczne wystawy wysyłani są niemal wyłącznie artyści uprawiający abstrakcję. Zasłużony twórca upomniał się wówczas u władz o sztukę fi-



*Alla Georgijewa, „Alla's
Secret. Collection 2000”
(2000)*

*Obok: Tadej Pogačar,
„Monopoly. Gra
w handel ludźmi”
(2004)*

Poniżej: Alina Szapocznikow, „Trudny wiek” (1956)



guratywną, zaangażowaną. W odpowiedzi usłyszał, że według obecnych wytycznych na Zachód idzie sztuka nowoczesna; figuratywne malarstwo nadaje się tylko do krajów Trzeciego Świata, w których ludzie nie rozumieją abstrakcji. Czas bohaterów minął, a mężczyźni musieli szukać dla siebie nowych, mniej oczywistych ról.

Na obrazie Łukasza Korolkiewicza „Miłość” z 1977 roku jest maj, kwitną kwiaty, za suto zastawionym stołem siedzą dwie postaci. Brodaty mężczyzna w garniturze i z fajką w ręce czule obejmuje... no właśnie, kogo? Dziewczynę z domalowanymi perwersyjnym wąsikiem? Pięknego jak dziewczyna chłopca spowitego w narzucone na gołe ciało damskie futro? I co to za „Miłość”? Tajemnicza, androginiczna, męsko-damska postać z obrazu Korolkiewicza jest zwiastunem kruszenia się krzepkiego monolitu męskości w Europie Środkowowschodniej. Na wystawie „Płeć? Sprawdzam!” dominuje właśnie taka męskość – nie heroiczna, patriarchalna i dominująca, lecz niepokorna, dwuznaczna, postawiona pod przegięciem krytyki, szukająca dla siebie nowego wizerunku.

Lekcja gender

„Pleć? Sprawdzam!” to kolos. Dwie setki artystów, prac kilka razy więcej, ekspozycja gęsto nadziewana filmami wideo. Potrzeba skromnie dwóch dni, aby rzetelnie to obejrzeć. Genderowe ostrze Bojny Pejić przecina w poprzek porządku artystycznych nurtów i kierunków, więc na tej wystawie jest dosłownie wszystko: abstrakcje i socrealistyczna propaganda, akademicki realizm i awangardowy eksperyment, konceptualizm i pop, publicystyka ubrana w artystyczną formę i wyrafinowane dzieła sztuki. Jest polityka, seks, krytyka i estetyka. Gigantyczna wystawa zaledwie dotyka tematu, którego nie wyczerpałoby i 10 takich wystaw. Już sama geografia projektu jest karkołomna, bo trzeba wykonać niezły intelektualny szpagat, żeby stanąć jedną nogą w kaukaskiej, postsowieckiej Gruzji, drugą w adriatyckiej, posttitowskiej, naznaczonej traumą wojen z lat 90. Chorwacji. Trzeba przyznać, że Bojana Pejić wykonuje go zrećźnie i nie traci równowagi. Nie traci także edukacyjnego zapachu, który należy do typowych rysów sztuki w krajach postkomunistycznych po upadku muru. Na „Pleć? Sprawdzam!” jest wszystko, więc obok dobrej nie brakuje też ewidentnie złej sztuki. Dotyczy to zwłaszcza wielu zaangażowanych projektów powstających w Europie Wschodniej po 1989 roku – politycznie słusznych, ale w sensie artystycznym słabych, zmierzających do publicystycznego celu najkrótszą drogą. „Pleć? Sprawdzam!” wpisuje się bowiem w myślenie, w którym sztuka jest przede wszystkim „polityką prowadzoną innymi metodami”, ilustracją procesów społecznych i narzędziem edukacji, a dopiero w dalszej kolejności sztuką.

Łukasz Korolkiewicz,
„Miłość” (1977)

Obok:
Moysey Vainstein,
„Ciężarna kobieta”
(lata 60.)

Ta wystawa ułożona zgodnie z porządkiem politycznej poprawności i podmurowana najbardziej aktualnymi krytycznymi teoriami symbolicznie odnosi się do 20-lecia upadku komunizmu. W jakimś sensie podsumowuje także pierwszy etap wszczepiania genderowej świadomości w ciało sztuki postkomunistycznej Europy. Był to przeszczep udany: sztuka feministyczna, krytyczna i emancypacyjna oraz problematyka gender skończyły okres heroicznej walki o miejsce na scenie, są teraz artystycznym mainstreamem. Ta wystawa to interesująca i ważna, ale jednak lekcja. Właśnie ją odrobiliśmy, a po zbiorowych zajęciach obowiązkowych przyszedł czas na indywidualne poszukiwania i przygodę.

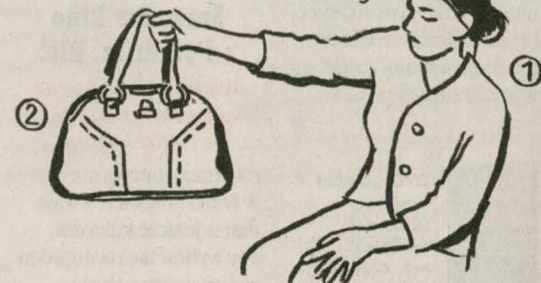
„Płeć? Sprawdzam! Kobiecość i męskość w sztuce Europy Wschodniej”, kuratorka Bojana Pejić, Zachęta, Warszawa, do 13 czerwca, www.zacheta.art.pl

Wystawa powstała z inicjatywy fundacji Erste w Muzeum Sztuki Nowoczesnej MUMOK w Wiedniu jako wydarzenie towarzyszące obchodom 20. rocznicy upadku muru berlińskiego i końca komunizmu w Europie.

RYS, MARCIN MACIEJOWSKI

POTOK

① Muza - córka Zeusa i Mnemosyne,
opiekunka sztuk pięknych,
natchnienie, olśnienie poety.



② Muse - model torebki YSL, obiekt pożądania kobiet

Siedź i patrz

NA DIABŁA

++++

Syrena ze złamanym sercem

Radziecki superbohater ma superprzechlapane

ŁUDZIOM RADZIECKIM IMPORTOWAĆ amerykańskich herosów nie wypadało, więc wymyślili swojego, zamiast umiejętności latania czy nadludzkiej siły dając mu skrzela. Ichtyander urodził się z nieuleczalną chorobą płuc, więc ojciec, znakomity lekarz, przeszczepił mu układ oddechowy rekina. I taplał się ów młodzieniec w oceanie odziany w kombinezon z rybiej łuski, do czasu gdy źle ulokowane uczucie oraz typowa dla superbohaterów ogólna życiowa dupowatość ściągnęły na jego mokrą głowę serię nieszczęść. Nie dziwcie się tylko, że czarny charakter nazywa się tu Don Pedro, a wysługujący się mu policjanci noszą sombrera – gdzie jest superbohater, musi być przecież niesprawiedliwość, której się przeciwstawia, a tego w Kraju Rad nie mieli. Za to nieszczęśliwa miłość i mało budujące przesłanie, że odmienność skazana jest na samotność, są aktualne niezależnie od czasu, ustroju i szerokości geograficznej, więc ten naiwny melodramat nawet dziś się broni. Również dzięki temu, że przebrany został w komiksowe fatalaszki.

–js



DVD „Diabeł morski (Człowiek amfibia)”, reż. Giennadij Kazanskij, ZSRR 1962, Sputnik



Waris (Soraya Omar-Scego). Z pastwiska na wybieg wiedzie długa droga

++ IGOR KOŚCIELNIAK

Długonogi Kopciuszek „Kwiat pustyni” wędnie w filmie

Modelka Waris Dirie jako pierwsza powiedziała głośno o tym, co dzieje się w jej rodzinnej Somalii (i nie tylko), gdzie małe dziewczynki poddaje się rytuałom obrzezania, zadając im niewyobrażalny ból i krzywdząc je na całe życie. W filmie Sherry Hormann znalazła się nawet brutalna scena z zarzdzewiałą żyłką w roli głównej (doprawdy żal mi było przerażonego, szlochającego dziecka, które zmuszono do udziału w tym przedsięwzięciu), ale to nie waży społeczny dramat, który ma nami potrzęsnać.

„Kwiat pustyni” jest kolejnym wariantem bajki o Kopciuszku – biedna somalijska dziewczynka samotnie przemierza pustynię, uciekając przed wizją małżeństwa z odrażającym starcem. U rodziny w Londynie jest służącą i popychadłem, potem biedactwo trafia na ulicę. Zabiera ją stąd dobra wróżka (w kontraście do naszego brzydkiego kaczka wyjątkowo paskudna i niezgrabna), ale dopiero czarodziej spotkany w fast foodzie, który okazuje się znanym fotografem mody, sprawi, że los Waris (zagrana przez modelkę Liyę Kebede) cudownie się odmieni.

„Kwiat pustyni” dostarczać ma wzruszeń i nieść pocieszenie, więc nikt nie przejmując się tu brakiem konsekwencji, drącymi się jak rajstopy wątkami, schematycznymi rozwiązaniami i aktorstwem ocierającym się o kabaret. W całej tej historii wątki społeczne wydają się doszyte na siłę, jak w scenie, w której Waris przemawia na forum ONZ. Nie możemy się doczekać, kiedy skończy gadać – przecież na korytarzu czeka na nią królewicz!

„Kwiat pustyni”, reż. Sherry Hormann, Austria/Niemcy/Wielka Brytania 2009, Kino Świat, 120', premiera 26 marca

Smaczne kino z Południa. Ole!

Właśnie trwa doroczna fiesta kina hiszpańskiego w Polsce. Idziemy!

IMPREZA ODBYWA SIĘ w wielu miastach*, więc macie jeszcze kilka dni, aby wybrać się na niejedną ciekawą seans. Szczególnie polecamy ciepły,

szalenie zabawny komediodramat „Ja, też!”, którego bohater ma zespół Downa. Jego niepełnosprawność jest tu sprawą zupełnie marginalną, ważniejsze jest uczucie do koleżanki z pracy i zdobywanie samodzielności w dorosłym życiu. Zwróćcie też uwagę na dramat „Powrót do Hansali” opo-

wiadający o nielegalnych imigrantach z Afryki oraz dokumentalne wspomnienie o Luisie Buñuelu „Ostatni scenariusz. Pamięci Buñuela”, w którym razem z synem oraz przyjacielem i współpracownikiem reżysera zwiedzamy ważne dla niego miejsca. Wielbiciele Penélope Cruz i Javiera

Bardema powinni zatopić filmowe kły we wdzięcznej komedii Bigasa Lunny „Szynka, szynka!”, na planie której para aktorów się poznała. Smacznego! – ik

* Szczegółowe daty i miejsca projekcji znajdziesz na www.manana.pl. 10. tydzień kina hiszpańskiego, 18.03–31.03

FOT. KINO ŚWIAT, EVERETT/EAST NEWS

+++ OLA SALWA

Chłopcy z wariatkowa

Ameryka jest tu „Wyspą tajemnic” zbyt łatwo odkrywanych, mimo to Martin Scorsese wciągająco o nich opowiada

Martin Scorsese znów krytycznym okiem przygląda się Stanom Zjednoczonym, ich mitom i traumom. Niestety, z każdym filmem robi to coraz mniej przenikliwe. „Wyspę tajemnic” dzieli lata świetlne od takiego choćby „Taksówkarza” czy „Chłopców z ferajny”. Zdecydowanie bliżej jej do zrealizowanych z rozmachem „Gangów Nowego Jorku”, gdzie reżyser sportretował Amerykę jako kraj wyrosły na błocie i przemocy. Ta ostatnia jest głównym tematem najnowszego filmu Scorsese.

Na tytułowej wyspie reżyser umieścił szpital dla psychicznie chorych przestępców. W labiryncie lochów zbudowanego jeszcze w czasach wojny secesyjnej fortu przetrzymywani są najgroźniejsi pacjenci. Mniej niebezpieczni mieszkają w zwykłych budynkach, a wszystkich od świata oddzielają wysoki mur i kolczasty drut pod napięciem. Jest rok 1954. Do ośrodka przyjeżdża szeryf Teddy Daniels (Le-

onardo DiCaprio), były żołnierz, który brał udział w wyzwalaniu obozu koncentracyjnego w Dachau. Daniels ma odnaleźć pacjentkę, obłąkaną dzieciobójczynię, która w zagadkowy sposób zniknęła z celi. Szef ośrodka, doktor Cawley (Ben Kingsley), wydaje się wyjątkowo troskliwym lekarzem jak na czasy, gdy elektrowstrząsy, lobotomia i faszeringowanie lekami były powszechnie uznanymi metodami terapii. Szeryf jednak nie ufa Cawleyowi i jest przekonany, że szpital to okrutne więzienie, gdzie skrycie eksperymentuje się na ludziach. Współczesne Dachau, którego zbrodniom tym razem można zapobiec.

Teddy Daniels, który widział zło w najczystszej postaci, nie może pozbyć się wspomnień i poczucia winy. Kto wie, czy to nie one kazały mu zostać stróżem sprawiedliwości i obrońcą pokrzywdzonych? W pogoni za kolejnymi złoczyncami, zalewając alkoholem koszmary sennie, szeryf traci jednak z oczu zło, które dzieje się tuż obok niego. Halucyna-

cje nasilają się podczas pobytu na wyspie. Ktoś podaje Danielowi narkotyki czy to specyfika miejsca wywołuje duchy przeszłości? Scorsese sprawnie prowadzi intrygę, zręcznie buduje napięcie, a opowieść w jego rękach z łatwością zamienia się w rasowy thriller.

Światło czy sposób kadrowania bohaterów odsyła do klasyków gatunku, choćby Hitchcocka. Atmosferę niepokoju i osaczenia doskonale podbija – też odsyłająca do starego kina – muzyka. Padający wciąż deszcz, silny wiatr i rozbijające się o skały fale przypominają, że Teddy i jego partner Chuck (Mark Ruffalo) walczą z agresywnym, silnym żywiołem. Tyle tylko, że cały ten potężny arsenał filmowych środków służy Scorsese do opowiedzenia prawd w gruncie rzeczy oczywistych – dopóki nie skonfrontujemy się (i ludzie, i państwa) z własnymi traumami, nie będziemy w stanie budować przyszłości. Demonów nie można uśpić, nie da się ich zamknąć za murami. Powrócą do nas z każdej wyspy.

To wypieranie złych wspomnień i negowanie skłonności do przemocy rodzi zło. Jego symbolem jest u Scorsese właśnie Dachau – Ameryka, biernie przyglądając się agresji Hitlera, pozwoliła na powstanie obozu, po latach mogła tylko go zlikwidować i pomścić ofiary, czyli dopuścić się kolejnej zbrodni. Pesymistyczna (podobnie jak w „Gangach Nowego Jorku” czy „Infiltracji”) wymowa filmu prowadzi do wniosku, że mechanizmy obronne są wciąż silniejsze niż gotowość do konfrontacji ze złem i przemocą.

Ciekawe, co takiego Ameryka zrobiła Martinowi Scorsese, że ma z nią taki problem? □

„Wyspa tajemnic”, reż. Martin Scorsese, USA 2010, UIP, 138', premiera 26 marca



Panom w prochowcach (Leonardo DiCaprio i Mark Ruffalo) niestraszni ani wariaci, ani zła pogoda

Film z cyklu

Wiesz co dobre



DROGA SŁAWY

wtorek 30 marca 20:25 TVP1

„Nie myślałem o tym, że na boisko wystawiam pięciu czarnych. Wystawiłem pięciu najlepszych zawodników, jakich miałem. Po prostu chciałem wygrać” – wyznał Don Haskins, trener drużyny koszykarskiej Texas Western, po tym jak jego zespół zdobył mistrzostwo w akademickiej lidze (prezident NBA) w 1966 r. Niezwykła historia Haskinsa zainspirowała twórców filmu „Droga sławy”, którzy na jej kanwie stworzyli opowieść o przekraczaniu rasowych uprzedzeń i o ciężkiej pracy, za sprawą której podrzędny zespół osiąga ogromny sukces. W roli charyzmatycznego trenera, który nie tylko otworzył czarnoskórym zawodnikom drogę do wielkich karier, ale także zrewolucjonizował taktykę gry, został obsadzony Josh Lucas („Dziewczyna z Alabamy”). W obsadzie znaleźli się także Jon Voight („Wróg publiczny”) i Emily Deschanel (doktor z popularnego serialu „Kości”). Film natychmiast stał się jednym z sukcesów kasowych 2006 roku w USA. Jeśli chcecie poczuć prawdziwego ducha walki, nie możecie go przegapić!

Wiesz co dobre

Program Wiesz co dobre to system rekomendacji Skody.

W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...

REKLAMA

Z krainy snów Mówi szeptem, śpiewa pełną piersią. Zjawiskowa Rokia Traoré będzie jedną z gwiazd czwartej edycji Francophonie Festival

M yli się każdy, kto widzi w Rokii Traoré jedną z zastępu malijskich wokalistek, które kontynuują prastarą tradycję griotów* ku ucieście lubującej się w zamorskich ciekawostkach publiczności z Paryża, Londynu i Warszawy. Dumna i piękna Rokia dla nas jest stamtąd, dla Malijszyków stąd. W naszych uszach brzmi egzotycznie, w Mali uchodzi za artystkę bardzo europejską i niemal rockową. Jej rodacy marzą o karierze na bogatej Północy, o wyrwaniu się z Afryki, ona przeszła drogę w odwrotnym kierunku. – Wyjeżdżałam z Mali od czwartego roku życia, więc Europa nie robiła już na mnie wrażenia. Wiedziałam, że jeśli mam do czegoś dojść, mogę mieszkać, gdziekolwiek chcę – mówi „Przekroju” wokalistka. Szeptem, jakby głos oszczędzała wyłącznie na scenę. – Większość młodych Afrykańczyków idealizuje Europę, bo zna ją tylko z ekranu telewizora. Jasne, życie u was jest pod wieloma względami łatwiejsze, ale tych ludzi wcale nie czeka raj. Mają problem z dostosowaniem się do społecznego i kulturowego rytmu kraju, do którego przyjechali. W Afryce nie ma jednak dla nich przyszłości. Dlatego uciekają.

Jeśli Rokia kiedykolwiek uciekała, to tylko konkurencji. Miała dużo szczęścia, bo u progu kariery spotkała mistrza, który pomógł

Francophonie Festival

OPRÓCZ KONCERTU ROKII WARTO OBEJRZEĆ WYSTĘP BABYLON CIRCUS łączących reggae i ska z jazzem (25.03, Stodoła) i koniecznie koncert „Chopin inspire Gainsbourg” (29.03, Teatr Wielki). Jane Birkin, Gaba Kulka, Smolik, Nosfell, Andrzej Jagodziński Trio zagrają utwory Chopina oraz Serge’a Gainsbourga inspirowane jego muzyką: www.fpf.com.pl

Potomkini szlacheckiego rodu, córka dyplomaty, na ostatnim roku rzuciła studia w Brukseli. Zawodowo zajęła się muzyką i wróciła do ojczyzny

jej pójść w odpowiednim kierunku. Zresztą Ali Farka Touré, legenda malijskiej sceny, nie tylko służył jej radą, ale także zwrócił na nią uwagę całego świata. Bo jeśli wielki Touré zainteresował się tą dziewczyną, to musiało być coś na rzeczy...

Mozart z Afryki

Wydany w 1998 roku międzynarodowy debiut artystki, album „Mouneissa”, mógł się podobać, ale skrzydła Traoré rozwinęła dwa lata później na „Wanita”, płycie, którą sama sobie skomponowała i zaaranżowała. Znalazła własny styl w pół drogi między Afryką a Europą, malijskie rytmy i instrumentarium łącząc z obcymi tam-

tej tradycji technikami wokalnymi i charakterystycznym brzmieniem gitary Gretsch. – Te dźwięki kojarzą mi się z najlepszymi chwilami dzieciństwa, gdy słuchałam starych przebojów w towarzystwie taty lub starszego brata – tłumaczy. Jej poszukiwania bynajmniej nie ograniczają się do afrykańskiego folkloru i rocka. Współpracowała między innymi z Kronos Quartet („Słuchanie, jak wykonują utwór przeze mnie napisany, było cudownym uczuciem”) i Klangforum Wien, z którymi opracowała alternatywny życiorys Wolfganga Amadeusza Mozarta (a gdyby tak pochodził z Mali, z klanu griotów...). Wciąż szuka nowych wyzwań, bo uważa, że dla artysty ryzykiem jest nie ryzykować. Znajduje też czas na działalność pozasceniczną. Powołała do życia fundację Passarelle, która pomaga młodym malijskim muzykom w rozpoczęciu profesjonalnej kariery. – Stosujemy taktykę małych kroków,

bo nie wszystko da się zmienić od razu, ale każda zmiana na lepsze jest ważna.

Muzyka płynie

26 marca Rokia zaśpiewa w stołecznym klubie Palladium w ramach czwartej edycji Francophonie Festival. Obiecuje, że da z siebie wszystko. – Naprawdę! Zawsze gdy wchodzę na scenę, spełnia się moje największe marzenie. Marzyłam o życiu muzyką i to naprawdę się dzieje, a ja wciąż nie mogę uwierzyć – śmieje się Traoré. – Jestem bardzo szczęśliwa, kiedy widzę przed sobą publiczność, bo wiem, że wszystko jej zawdzięczam. Dzięki wam mogę co wieczór odwiedzać swoją krainę snów.

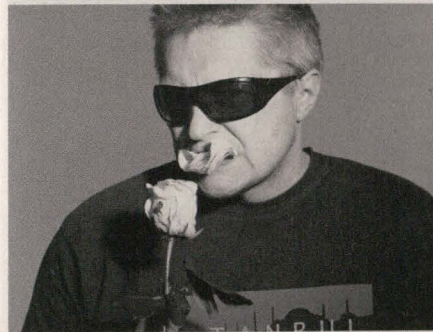
Jarek Szubrycht

* Griot – pieśniarz i poeta, a także nośnik pamięci swojego ludu. Odpowiednik nie tylko trubadura, ale i... biblioteki

+++ LUKASZ DUNAJ

Bez ciśnienia Muniek Staszczuk nagrał solową płytę – niewymuszoną i bardzo muńkową

Z ygmuntowi Staszczukowi zdarzały się już skoki w bok, choćby ze Szwagierkolaską czy muzykami Habakuka w projekcie Rege Inna Polish Style. Tym razem postanowił nagrać bezpretensjonalną rockandrollową płytę bez obciążeń wynikających z prowadzenia macierzystej formacji, choćby takich jak presja wytwórni i oczekiwania fanów. Od T.Love się jednak nie uwolnił, ponieważ materiał został napisa-



Posiadacz największej kolekcji okularów przeciwsłonecznych na polskiej scenie rockowej

ny z Janem Benedekiem, byłym gitarzystą zespołu, z którym Staszczuk napisał takie standardy wczesnych lat 90. jak „Warszawa” czy „King”. Solowa płyta Munika to w pewnym stopniu nawiązanie do tamtych dni. Posiadacz największej kolekcji okularów przeciwsłonecznych na polskiej scenie rockowej pokonał się tu również swoim odwiecznym fascynacjom. Słysząc The Clash (przywołanych literalnie w tekście „Hot Hot Hot”), Lou Reeda, Toma Waitsa czy nawet dalekie echa glam rocka, ale jednocześnie to bardzo muńkowa, niewymuszona płyta. W dodatku znalazło się na niej kilka potencjalnych przebojów – oprócz singlowego „Świętego” choćby „Tina” czy country’owy „Gan” – a wisienką na torcie są dwa duety: z Korą i Anną Marią Jopek. Raza jednak wyraźnie odpuszczone teksty. Rozumiem, że miało być na luzie i bez ciśnienia, ale obserwacje w stylu „Nostradamus mówi, że kredyt nie opyla się/Grubas w banku szczerzy kły – ta oferta jest OK”, trochę nie przystają facetowi, który napisał kiedyś „Wychowanie”. □



Muniek „Muniek”, Sony Music

Do usłyszenia

WYBRAŁ MARCIN FLINT

Dla duszy i dla ciała

JAK PRZEKONUJĄ PUBLICZKI, folklor pozwala się „cieszyć, płakać i tańczyć”. Dobrze o tym pamiętać. Ale zaczynamy od grupy Cukunft. Samo słowo odsyła nas do kultury żydowskiej, ale o powtarzaniu zgranych patentów nie ma mowy. Raphael Rogiński do muzyki podchodzi naukowo i jej nagrywanie poprzedza badaniami, ale dba, by nie było tego słychać. Duszą nowoczesnego jazzmana obdarzony już z kanonicznego Bacha wycisnął multum emocji, więc stylowe przedwojenne kompozycje to dla niego olbrzymie pole do popisu.



Sąsiadują na „Itstikeyt/Fargangenheit” [1] z autorskimi kompozycjami, a jedno i drugie obficie przyprawiono improwizacjami. Dwupłytowe wydawnictwo Cukunft (pierwsza część to koncertowy żywioł, druga ucieka w melancholię) pozbawione jest tytułów – pewnie dlatego, że z tego albumu nie wykroimy ani kawałka singlowego tortu, spożywać należy go w całości. Klezmerka pomorskich Publiczek to oferta może mniej elektryzująca, acz bardziej zabawowa. Na „Opaa!” [2] sześciu facetów bez ceregieli sięga po to, co bałkańsko-cy-

gańskie, dorzuca przasne, przeważnie tradycyjne teksty i nigdy nie traci rezonu. Między to, co wyrafinowane i uduchowione, a to, co ludyczne, klinem wchodzi Daga Dana. Poznanianka Daga Gregorowicz i Lwówianka Dana Vynnytska mają urokliwe głosy. Mogłyby pretendować do miana królowych delikatności, harmonizując w jazzowych kołysankach i podpierając się urokiem etnicznych melodii. Czasem tak zresztą robią, ale ponosi je przekora. „Świniorz” elektronicznymi meandrami muzyki new weird kieruje się ku weselsku à la Kusturica. Dla odmiany „Szumila liszczyzna” od fortepianowych pasażów pcha nas ku muzyce house. Album „Maleńka” [3] kryje tango, dworskie klimaty, jak również funk czy rap. Wszystko to pozostaje jednak świetnie brzmiącą muzyką, a nie kolejnym niestrawnym artystycznym manifestem. □

Kayah z supermenki zmieniła się w elegantkę. Szkoda, że to zmiana tylko powierzchowna



+++ MARIUSZ HERMA

Mezalians

Szlagiery i mniej znane utwory Kayah w smyczkowym entourage’u zyskują na szlachetności i tracą na wszystkim innym

JEŚLI MEZALIANS KAYAH Z ROYAL QUARTET MA SIĘ skończyć na przeglądzie przebojów, to ode mnie rozgrzeszenia nie dostaną. Jakże to? Utalentowana popowa wokalistka spotyka się z błyskotliwym kwartetem smyczkowym i tę rzadką okoliczność marnują na odświeżanie starych hitów? O niewykorzystanym potencjale najlepiej świadczy „Bursztynowa wieża” z ostatniego albumu Kayah, jedyny utwór, który zaaranżowali sami muzycy Royal Quartet (czyżbyś słyszał tu cytaty ze ścieżki dźwiękowej Howarda Shore’a do „Władcy pierścieni”?). Podobnie jak teatralne „Za blisko”, w którym dyskretnie puszczają oko do Kapeli ze Wsi Warszawa. O dziwo, do najlepszych fragmentów albumu należą dwa utwory z płyty nagranej z Goranem Bregoviciem, o której Kayah z reguły wołała nie pamiętać (a my przypominamy o niej na stronie 73 pamiętną „weselną” fotografią muzycznego duetu), i utrzymane w klezmerskim duchu „100 lat młodej parze”. Reszta to przewidywalne przeróbki hitów w rodzaju „Testosteronu” i niepotrzebny cover „I’ve Seen That Face Before (Libertango)” Grace Jones. Ta płyta miała pogodzić amatorów muzyki kameralnej z publiką popową, ale okazała się kompromisem pewnie nieznośnym dla obu grup. □



Kayah & Royal Quartet „Kayah & Royal Quartet”, Kayax

Misia specjalna

O tym, jak trudno zaśpiewać po polsku „Mgła mi do oczu zawiewa z łona”, Adzie Ginal opowiada ikona portugalskiego fado, która wystąpi w Warszawie

„The New York Times” napisał o pani: „Obojętnie, w jakim języku śpiewa, zawsze wyciska łzy”. Na Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena przygotowała pani projekt „Our Chopin Affair”. Chce nas pani wzruszyć Chopinem śpiewanym po polsku?

– Tą muzyką chyba nie można się nie wzruszyć! Ale oczywiście robiłam, co mogłam, by jak najlepiej nauczyć się pieśni Chopina po polsku. Nie było to łatwe, choć mam już za sobą wykonania w języku tureckim czy japońskim. Na szczęście uczyłam się tylko wymowy, a nie waszej gramatyki. Język polski uważam za najtrudniejszy na świecie, ale on tak pięknie brzmi. Zresztą niezależnie od tego, w jakim języku się śpiewa, najważniejsze są szczerze emocje. Gdy artysta jest prawdziwy w tym, co robi, zawsze nawiąże głęboką relację z publicznością.

Jakie utwory Chopina pani wybrała?

– Te, które mówią o uczuciach: smutku, melancholii, tęsknocie za ojczyzną. Chciałam, by powstał taki „Chopin uniwersalny”.

Uniwersalny? Nie w stylu fado?

– Ależ nie! Oczywiście jestem pieśniarką fado, ale nie narzucam tego stylu. Tak było w przypadku innych moich międzynarodowych projektów: „Siedmiu grzechów głównych” Bertolta Brechta, „Historii żołnierza” Igora Strawińskiego czy spektaklu „María de Buenos Aires” Astora Piazzolli. Podobnie stało się z Chopinem. Postanowiliśmy połączyć jego nastrojową muzykę z tym, co na jej kanwie skomponował mój argentyński pianista Daniel Shvetz. Do projektu dołączyli też Claudio Romano grający na gitarze elektrycznej i gongach, wirtuoz gitary basowej i portugalskiej Múcio Sá, skrzypiek Luís Cunha i mistrz audio artu Nives Widauer. Razem prowadzimy wielokulturowy dialog z tym, co odnaleźliśmy w muzyce Chopina. Potraktowaliśmy go, jakby był po prostu naszym kompozytorem. Bo przecież tak jak Piazzolla należy nie tylko do Portugalczyków, ale i do całego świata, tak w każdym z nas jest kawałek Chopina.

A jednak fado i muzyka Chopina mają ze sobą coś wspólnego, na przykład emocje.



Misia „Our Chopin Affair” – 28.03, Warszawa, Sala Kongresowa

– To prawda. Wyczuwam w jego muzyce ten sam *feeling* co w fado. Moja ulubiona Chopinowska kompozycja „Dumka”, z szaleńczo trudnym do wymówienia tekstem „Mgła mi do oczu zawiewa z łona”, z powodzeniem mogłaby być kompozycją w portugalskim klimacie. Do tego stopnia zauroczyła mnie ta pieśń, że poprosiłam słynnego portugalskiego pisarza, poetę i tłumacza Vasco da Gracę Mourę, by napisał do niej tekst w stylu fado. Niewiele kompozycji można tak przetransponować, bo mogłaby wyjść z tego karykatura. Jednak Chopin – jak fado – każdym dźwię-

kiem dotyka najczulszych uczuć. I nie da się przejść obok nich obojętnie, one potrzebują skupienia i refleksji. Zagonieni ludzie potrzebują takiego wytchnienia.

Włączy pani chopinowski repertuar do swoich koncertów?

– Planujemy parę koncertów z tą muzyką, niekoniecznie na festiwalach klasyki. Zagramy ją na Majorce, szukam też miejsc w Paryżu, w którym mieszkam, gdzie moglibyśmy powtórzyć projekt. Ale jedno wiem na pewno – tak pokochałam Chopinowską „Dumkę”, że pozostanie ze mną na zawsze. □

Misia – portugalsko-katalońska pieśniarka fado. Oryginalne imię wzięła od Misi Godebskiej, polsko-francuskiej protektorki artystów. Susana María Alfonso de Aguiar dojrzała jako artystka z dala od kręgów ortodoksyjnie traktujących fado. Chętnie sięga po pop, jazz, a teraz również po pieśni Chopina.

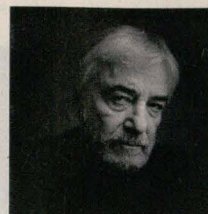
Beethoven & Co. W tym roku Beethoven występuje w towarzystwie wielkich jubilatów-rówieśników – Chopina i Schumanna. Wydarzeniami festiwalu będą: wszystkie dziewięć symfonii Beethovena wykonane przez Kammerphilharmonie Bremen z Paavo Järvin, koncertowa

wersja opery „Euryanthe” Webera oraz Chopin w nowych aranżacjach. Na jazzowo przedstawi go Trio Andrzeja Jagodzińskiego, w stylu fusion – portugalska diwa fado Misia.

XIV Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena, 21.03–3.04, Warszawa www.beethoven.org.pl

Cierpienia pana Andrzeja

Żuławski i morze zdań, które udają literaturę, ale nią nie są



TOŻSAMY Z AUTOREM NARRATOR „PANA ŚMIERTELNEGO”, najlepszej chyba książki Żuławskiego, przybity rozstaniem z ukochaną (znieawidzoną) żoną pije na umór i snuje się po pustym mieszkaniu, usiłując okiełznać bezkształt egzystencji za pomocą codziennych rytuałów, karmienia wiewiórek i spacerów z psem, tak iż przygotowanie jagnięcego udźca (ściśle według przepisu) nabiera tu wymiarów heroicznych. Podobnie jak ponawiane ustawicznie groteskowe próby napisania powieści, w której los Piłsudskiego zestawiony byłby z losem Hemingwaya. Lektura dokumentu ciężkiej depresji w obliczu artystycznej i życiowej porażki nie należy do najprzyjemniejszych doświadczeń, nie jest jednak zajęciem tak jałowym jak zapoznawanie się ze świeżo wydanym „Nocnikiem”. Zamiar ambitny: napisać antydziennek, posilając się diariuszami innych pisarzy, traktując je jako punkt odbicia, kontekst dla czegoś świeżego i własnego. Niestety, to się nie udaje, polykanie kolejnych tomów owocuje natrętą cytatomanią, której nie są w stanie zrównoważyć uwagi niekiedy beztrosko celne (jak w przypadku przecenianego Máraiego czy „Roku myśliwego” Miłosza), kiedy indziej wszak małostkowe i trafiające kulą w płot (szczególnie eksponowana jest niechęć do Iwaszkiewicza skażonego „grzechem pederastii”).

Kolejny defekt „Nocnika” to mialkość życiowej materii, jaka się doń przedostaje. W miejsce dramatycznego rozpadu wieloletniego związku dwojga wybitnych artystów mamy tu nieudany romans z początkującą aktoreczką – tej fabuły nie starcza na opasły tom, mimo rozpaczliwych posunięć w rodzaju cytowania listów dziewczyny. Dochodzi zatem do sztuczkowania tekstu filozofowaniem, publicystyką, wreszcie też fragmentami „prozy artystycznej” – i tu już czytelnik czuje się zaatakowany, podobnie jak czuł się sam Żuławski, kiedy jakiś człowiek zarzucił go „sraczką słowną”. Ta scena wydaje się kluczowa dla całości dzieła i szkoda, że nie zauważa tego autor, świadomy skądinąd (pisze o tym), że jego powołaniem najwyższym jest sztuka filmowa. Łatwość wydobywania z siebie zdań, które udają literaturę, ale nią nie są, jemu samemu winna wydać się podejrzana. Gdyby mógł wciąż robić swoje filmy, a nawet gdyby już nic nie robił, byłby postacią pomnikową, tymczasem widzimy go nad „Nocnikiem”, który pełny po brzegi rozpada mu się w rękach. Okropna wizja.



Andrzej Żuławski „Nocnik (27 XI 2007 – 27 XI 2008)”, Krytyka Polityczna, Warszawa 2010, s. 644, 49,90 zł

WARTO WIECIEJ RECYZJI NA KALASZKI, PRZEKRÓJ PL

+++ TADEUSZ NYCZEK

Cichy Hitchcock W opowiadaniach Amosa Oza nic się nie dzieje, ale za to jak!

Amos Oz, wieczny kandydat do Nobla (trochę mi go żal, bo już się chyba nie doczeka, Komitet Noblowski jak zwykle znajdzie kogoś mniej oczywistego), wydał teraz zbiór opowiadań, rzecz stosunkowo rzadką w jego pi-sarskiej robocie. Ale jeśli kto zechce je czytać jak powieść w luźnych odcinkach, nie ma przeszkód. Wszystkie dzieją się w jednym miejscu, izraelskiej miejscowości o dźwięcznej nazwie Tel Ilan, o której jeden z bohaterów powiada w zachwyceniu (raczej przesadnym), że „jest po prostu najcudowniejszą wsią w całym tym lewantyńskim kraju”. Rzekomych cudów raczej nie będzie nam dane poznać, bo nie uroki natury zajmują wyobraźnię Oza, lecz mieszkańcy miłego odludzia. Odludzia, ale zażywającego dobrodziejstw prostej cywilizacji, bo to przecież nie wioska w Angoli czy na północnych rubieżach byłego ZSRR.

Mieszkańcy skądinąd najzwyczajniejsi. Bo i emeryt gospodarz, i lekarka stara panna, i upierdliwy ekspozel do Knesetu mieszkający z córką nauczycielką, i urzędniczka pocztowa, apetyczna rozwódka. Nawet naczelnik gminy jest całkiem zwyczajny, choć pracuś i emocjonalny oszust. Ich historie nie wiążą się ze sobą i cały zbiór opowiadań przypomina nie tyle sznur koralu, ile rozsypane

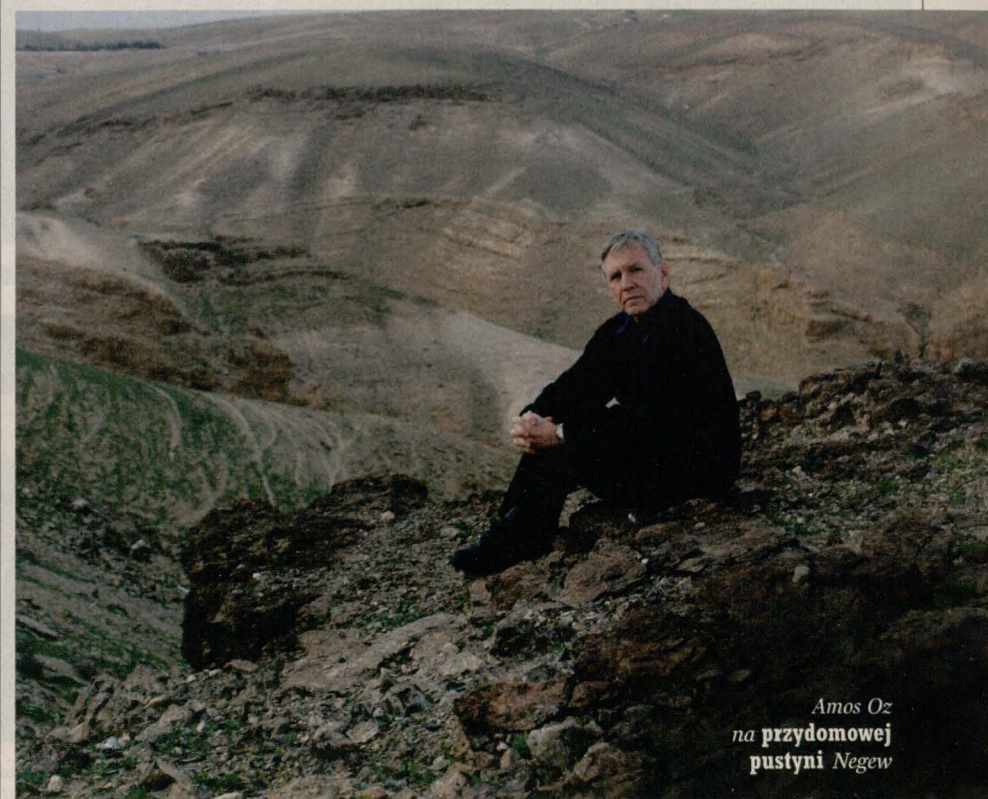
bezlądnie koralu bez sznura. Czasem koral B spotyka koralu M bądź D, ale to przypadek, nie reguła.

Korale żyją obok siebie bez większych konfliktów; wręcz rzec by można, że w Tel Ilan nie się specjalnie nie dzieje. Ale im mniej się dzieje, tym bardziej cokolwiek, co się dzieje, nabiera znamion kataklizmu. Bardzo dziwnego – nikt postronny praktycznie go nie zauważa. Są to bowiem kataklizmy cichutkie, właściwie niewidzialne. Posuńmy się dalej jeszcze: to w ogóle nie są żadne kataklizmy. Ot, w ogródku niejakiego Eri Celnika mieszkającego ze starszą matką pojawia się ktoś, kto jest rzekomo ich dalekim krewnym i zgłasza się na wypadek przyszłego spadku. Do samotnej lekarki ma przyjechać na kilka dni siostrzeniec żołnierz, ale nie przyjeżdża. Byłemu posłowi do Knesetu wciąż się zdaje, że nocami ktoś kopie w piwnicy. Żona naczelnika wyszła któregoś dnia z domu i nie wróciła. Kilkunastoletni chłopiec zakochany w urzędniczce pocztowej nie odważył się dotknąć jej piersi i uciekł.

Wyobraźcie sobie film Alfreda Hitchcocka, w którym nikt nikogo nie zabił, nie ma żadnych detektywów ani zbrodni i wszystko jest jak zwykle. Ale ten film nakręcił właśnie Hitchcock, a nie Spielberg czy inny Tarantino. □



Amos Oz „Sceny z życia wiejskiego”, przeł. Leszek Kwiatkowski, Rebis, Poznań 2010, s. 200, 33,90 zł



Amos Oz na przydomowej pustyni Negew

DROGA NA 6. PIĘTRO

MICHAŁ ŻEBROWSKI OTWORZYŁ WŁAŚNIE PRYWATNĄ SCENĘ TEATR 6. PIĘTRO. AKTOR, W KTÓRYM WIDZIANO NASTĘPCĘ ZBIGNIEWA ZAPASIEWICZA I GUSTAWA HOLOUBKA, **DZIŚ W SWOIM TEATRZE ZATRUDNIA CELEBRYTÓW**. ZASZEDŁ AŻ TAK WYSOKO CZY SPADŁ Z WYSOKIEGO KONIA?

HEROS SPRYWATYZOWANY KAROLINA PASTERNAK

Tuż po szóstej po południu na salę teatralną na szóstym piętrze Pałacu Kultury i Nauki wpadają Małgorzata Socha i Kuba Wojewódzki. Za chwilę zacznie się próba do „Zagraj to jeszcze raz, Sam” na podstawie tekstu Woody’ego Allena w reżyserii Eugeniusza Korina, niegdyś dyrektora Teatru Nowego w Poznaniu. To debiutancki spektakl Teatru 6. Piętro, którego współzałożycielem (obok Korina) i dyrektorem artystycznym jest Michał Żebrowski. Popularna obsada (oprócz Wojewódzkiego i Sochy grają Daniel Olbrychski i Anna Cieślak) i nazwisko dyrektora przyniosły efekt – biletów na premierę (odbyła się 6 marca) nie można było dostać już na miesiąc przed spektaklem.

Pełna widownia – stwierdził dyrektor w rozmowie z „Przekrojem” – jest ważna, ale jego przedsięwzięciu przyświecają też dużo wyższe niż frekwencja cele.

Żebrowski mówi, że robi teatr środka, nikogo niewykluczający. Teatr, który bawi, nie błaznując, wzrusza, nie popadając w cukiernicę, i prowokuje do myślenia, nie

nudzając. Skończył niedawno podyplomowe studia z zarządzania w warszawskiej Akademii Leona Koźmińskiego, potrafi więc dobrze zareklamować swoje przedsięwzięcie.

Jego zdaniem dziś w teatrze bardzo często brak umiejętności warsztatowych reżysera tłumaczy się głębią jego sztuki, a to, że ludzie ziewają na spektaklu – płytkością widowni. Uważa, że w Pół-



„Zagraj to jeszcze raz, Sam”, od lewej: Michał Żebrowski, Daniel Olbrychski i Anna Cieślak. Po prawej: Kuba Wojewódzki jako neurotyczny Allan Felix. Tę właśnie rolę grał sam Woody Allen



Aktor chce robić teatr środka. Uważa, że w Polsce pokutuje mylne przekonanie, że sztuką jest to, co nudne i ciężkie

sce panuje mylne przekonanie, iż granie tego, co śmiertelnie nudne, ciężkie, niezrozumiałe i przygnębiające, to właśnie jest sztuka. A gdy spektakl jest lekki, błyskotliwy i dający wytchnienie, nazywa się go komercyjnym w pejoratywnym tego słowa znaczeniu.

W opiniach na temat „Zagraj to jeszcze raz, Sam” pojawiają się jednak zupełnie inne określenia niż „lekki” czy „błyskotliwy”. Tekst Woody’ego Allena utrzymany w klimacie jego wczesnych filmów – „Manhattanu” czy „Annie Hall” – to czysty samograj. I na szóstym piętrze tekst zagrał. Tyle że na fałszywych tonach: połączenia sitcomu z emfaticzną ekspresją sprzed dziesięcioleci. Najmocniejszym elementem przedstawienia jest paradoksalnie gra Kuby Wojewódzkiego, amatora, który robi na scenie dokładnie to,

co w swoim programie – bawi pogaduszkami o kobietach i seksie. Żarty w jego wydaniu nie są wymuszone, padają jakby mimochodem.

Skazany na superprodukcję

Skąd u Żebrowskiego, który przed laty wyświęcony został na następcę Zbigniewa Zapasiewicza i Gustawa Holoubka, nieoczekiwany zwrot ku sztuce lekkiej i przyjemnej? Aktor tłumaczy, że ideę teatru dla ludzi wymyślili już Grecy, a ich drogą szli później Molier i Szekspir. Zaznacza przy tym, że jemu do nich jest bardzo daleko, ale stara się odwoływać do najlepszych.

– To nie jest żadna wolta, lecz stuprocentowa konsekwencja w realizacji celów, które postawił sobie dawno temu – mówi Karolina Korwin-Piotrowska z TVN Style, znajoma

Żebrowskiego. – Wiedział, że polski teatr nie jest gotowy na jego pomysły, więc musi stworzyć własną scenę.

Żebrowski rzeczywiście przewinił się przez większość warszawskich teatrów, ale wyłączając znakomity debiut w Powszechnym – rolę Jimmy’ego Portera w „Miłości i gniewie” Johna Osborne’a w reżyserii Mariusza Benoit (1994, spektakl przeniesiony także do Teatru Telewizji) – w żadnym z nich nie stworzył wielkiej kreacji. O ile w latach 90. grywał jeszcze w cieszących się dobrą opinią teatrach Powszechnym i Narodowym, o tyle w dwutysięcznych coraz częściej zaczął pojawiać się w słynących ze znacznie blaszego repertuaru teatrach Komedii („Fredro dla dorosłych mężów i żon”) czy Bajce („Ucho van Gogha”). W tym →

W najbliższym czasie takich pustek w Teatrze 6. Piętro nie zobaczycie. Bilety są wykupione niemal do lata



Rok 1999, „Ogniem i mieczem” Jerzego Hoffmana.
Żebrowski jako Jan Skrzetuski – najdzielniejszy z dzielnych



„Stara baśń”: Żebrowski jako Ziemowit, a u jego boku
uprowadzona przezeń hoża Dziwa (Marina Aleksandrowa)

→ czasie jego rówieśnicy Rafał Maćkowiak czy Cezary Kosiński zdążyli już zagrzać miejsce w teatrach Grzegorza Jarzyny i Krzysztofa Warlikowskiego, które dla większości aktorów średniego i młodszego pokolenia są mekka, bo to nieliczne dziś miejsca artystycznego fermentu. Do stajni Warlikowskiego udało się wejść nawet Maciejowi Stuhrowi, który całe lata przesiedział w szufladzie z etykietą komediowego gwiazdora („Chłopaki nie płaczą”, „Poranek kjojota”). A Żebrowskiemu nie udało się uwolnić od łutki aktora z superprodukcji.

Porywy gorącego serca

– Na próbach i podczas rozmów Michał często cytuję Gustawa Holoubka, Janusza Gajosa, Zbigniewa Zapasiewicza. Mam wrażenie, że on wciąż jest uwikłany w taki rodzaj aktorstwa, którego uczył się na studiach, a którego już nie ma – mówi Kuba Wojewódzki.

W warszawskiej Akademii Teatralnej Żebrowski był wzorowym studentem. – Wręcz namolnym w wyciąganiu od nas, profesorów, wszelkiego rodzaju informacji. W pierwszym okresie notował nasze wypowiedzi, co było dość zabawne – opowiadał kiedyś niezjący już nauczyciel aktora Zbigniew Zapasiewicz. Zarówno Zapasiewicz, jak i Jan Englert, ówczesny dziekan Akademii, widzieli w Żebrowskim kontynuatora tradycji wielkiego aktorstwa, takiego, jakie uprawiał Tadeusz Łomnicki. Zaczęli więc obsadzać go w spektaklach realizowanych dla Teatru Telewi-

zji. U Englerta zagrał w „Kordianie” i „Dziadach” (oczywiście Gustawa-Konrada), u Zapasiewicza – Szczęsnego w „Horsztyńskim”. Tamte spektakle świetnie pamięta Daniel Olbrychski. W rozmowie z „Przekrojem” opisuje grę Żebrowskiego jako brawurową, co było tym trudniejsze, że aktor zaczynał przecież od tego, co w polskiej klasyce najpiękniejsze, ale zarazem najtrudniejsze. To właśnie dzięki Teatrowi Telewizji Żebrowski zaistniał jako idealny odtwórca ról narodowych bohaterów. Nic więc dziwnego, że gdy w 1998 roku Jerzy Hoffman zaczął pracę nad „Ogniem i mieczem”, do roli Jana Skrzetuskiego wybrał właśnie jego.

Ogromny komercyjny sukces filmu uczynił Żebrowskiego idolem. Jego nazwisko stało

Gdy moda na ekranizację lektur szkolnych przeminęła, wraz z nią odeszły złote czasy Michała Żebrowskiego

się znane w każdym polskim domu, plakaty, na których pojawił się w towarzystwie dziewczyny Bonda Izabelli Scorupco, pokryły ściany pokoiów nastolatków, a kolejne kolorowe magazyny przyznawały mu tytuły najprzystojniejszego mężczyzny roku.

Szybko przyszedł angaż do kolejnych superprodukcji – „Pana Tadeusza”, „Starej baśni” i „Wiedźmina”. Wysoki, przystojny ak-

tor o głębokim, mocnym głosie w kostiumach prezentował się doskonale. Idealnie też pasował do wyobrażeń o mężczyznach równie romantycznych jak śmiałych, idących za głosem obowiązku, skłonnych do poświęceń, skorych do walki. Porywczych, lecz mowa przecież o porywach gorącego serca. Był w tych filmach lepszą wersją nas samych i nawet bliższą na policzku, którą miał jako Wiedźmin, miast szpeci, tylko przydawała mu męskości i uwiarygodniała niezwykle czyny. Reżyserzy umiejętnie wykorzystywali urodę aktora – połączenie chłopiwości z męskością, które, jak dowodzą niezliczone przypadki, na ekranie sprawdzało się zawsze. Urodę, ale czy cały aktorski potencjał?

– Z całym szacunkiem dla jego warsztatu, ale z „Pana Tadeusza” czy „Ogniem i mieczem” to nie role Michała Żebrowskiego pamięta się najlepiej – tłumaczy profesor Tadeusz Lubelski, ceniony filmoznawca, autor między innymi „Encyklopedii kina” i „Historii kina polskiego”. – Zdecydowanie nie czuło się podczas oglądania tych filmów, żeby to był nowy Zapasiewicz, nie mówiąc o Łomnickim.

W rzeczy samej. Gdy moda na ekranizację lektur szkolnych minęła, wraz z nią minęły złote czasy Żebrowskiego. Jedyńm filmem z udziałem aktora nakręconym po erze wielkich superprodukcji, który cieszył się względnie uznaniem krytyki, były „Pręgi” Magdaleny Piekorz. Jednak nawet w nich akurat jego występ oceniany był jako przerysowany i pompacyjny. Żebrowski nie potrafił wyjść

z teatralnej maniery, zamiast po prostu mówić – deklamował. Kolejne produkcje: historyczne widowisko „1612” o Rosji z czasów Wielkiej Smuty i „Kochankowie roku tygrysa”, gdzie Żebrowski wciela się w bohatera, który przez Sybir trafia do Chin, uznano powszechnie za kinowe kurioza dekady. Jednak Żebrowski problem widzi nie we własnej grze czy w jakości tych produkcji (była jeszcze pretensjonalna „Senność” Magdaleny Piekorz i nieudany debiut reżyserski Andrzeja Seweryna „Kto nigdy nie żył”), lecz w braku dobrych scenariuszy.

Towar z najwyższej półki

W rozmowie z „Przekrojem” tłumaczy, że myślenie, iż aktorzy w Polsce są zasypywani ciekawymi tekstami, to naiwność. Jego zdaniem polski aktor jest w naprawdę wyjątkowej sytuacji, jeżeli leży przed nim scenariusz filmowy, który ma jakikolwiek sens.

A jednak od kilku sezonów tych sensownych tekstów trafia w ręce aktorów coraz więcej. Chociażby poprzedni festiwal w Gdyni przyniósł co najmniej kilka filmowych zaskoczeń i jeszcze więcej fantastycznych kreacji: Macieja Stuhra w „33 scenach z życia”, Borysa Szyca w „Wojnie polsko-ruskiej”, Bartka Topy w „Domu złym”, Marcina Dorocińskiego w „Rewersie”. Ich sukcesy, jak twierdzi Żebrowski, budzą w nim jedynie radość, że komuś udaje się to, o czym wszyscy w tym zawodzie marzą.

Zresztą od kiedy zaangażował się w tworzenie Teatru 6. Piętro, jest tak zajęty, że nie ma czasu chodzić na castingi. By promować teatralne przedsięwzięcie, coraz częściej chadza za to do telewizyjnych programów i na wywiady, do których czuł dawniej legendarną już niechęć. Ostatnio nieoczekiwanie pojawił się na przykład w jednym z programów publicystycznych w TVP2, by rozmawiać o problemach kobiet.

– Zdziwił mnie już sam jego udział w programie na taki temat, ale zszokowały dopiero poglądy i styl rozmowy. Z reguły aktorzy są po stronie postępu, a nie zaścianka. Był

arogancki, sarkastyczny i zupełnie zamknięty na wszelkie argumenty. Połączenie Tomasza Terlikowskiego i Bronisława Wildsteina – mówi uczestnicząca w tej dyskusji filozofka, profesor Uniwersytetu Warszawskiego Magdalena Środa: – Po programie znajomi zasypali mnie SMS-ami, byli zbulwersowani jego wypowiedziami – dodaje.

Kontrowersyjne zachowanie Żebrowskiego to jednak żadna nowość. W środowisku krążą legendy o jego nieskrywanej niechęci do dziennikarzy, oschłości w kontaktach z kolegami z planu. Jedna z dziennikarek swój wywiad z aktorem podpisała w następujący sposób: „Z Michałem Żebrowskim rozmawiał Michał Żebrowski” – tak duże naniósł w czasie autoryzacji zmiany. – Michał jest trudny do odczytania i brak mu spontanicznej emocjonalności. To przeszkadza mu w grze i jak sądzę w życiu – tłumaczy Agnieszka Holland, u której aktor wystąpił ostatnio w „Janosiku. Prawdziwej historii”.

– On nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że jest towarem, ale wie, że są towary z wysokiej i niskiej półki – tłumaczy Korwin-Piotrowska. Jej zdaniem Żebrowski od początku instynktownie czuł, że ma wszelkie predyspozycje, by być towarem z najwyższej półki.

Inaczej osiągnięcia dawnego ucznia oceniał tuż przed śmiercią w jednym z tygodników Zbigniew Zapasiewicz: „W momencie kiedy skończył szkołę, pojawiły się wszystkie te zajęcia, które przynoszą aktorowi większe korzyści finansowe, medialne, popularność. Michał temu uległ. Nie mam o to do niego pretensji, choć miałem nadzieję, że wiedza, którą mu przekazaliśmy, jest rodzajem inwestycji w człowieka”.

Teraz w młodych ludzi inwestuje sam Żebrowski. Studenci szkół artystycznych do Teatru 6. Piętro mają wstęp zupełnie darmowy. Szkoda tylko, że na razie nie czeka tam na nich towar z najwyższej półki, lecz jedynie z wysokiego piętra.

Współpraca

Anna Jastrzębska, Izabela Szymańska



W telewizyjnym „Kordianie”...



...i „Dziadach” w reżyserii Jana Englerta



„Dr Faust” – Żebrowski w depresji...



...i w zalotach: „Fredro dla dorosłych mężów i żon”

REKLAMA

KAYAH AGORA PREZENTUJĄ NOWY ALBUM Kayah & Royal Quartet TRASA KONCERTOWA

04.03	WARSZAWA	11.04	KRAKÓW	16.04	RZESZÓW
27.03	KIELCE	13.04	KONIN	21.04	WROCŁAW
28.03	LUBLIN	14.04	POZNAŃ	22.04	KATOWICE
08.04	ŁÓDŹ	15.04	ZIELONA GÓRA	06.05	CZĘSTOCHOWA
				07.05	GDAŃSK

BILETY: na WWW.TICKETONLINE.PL, w salonach Empik oraz w kasach sal koncertowych, SZCZEGÓŁY: WWW.KAYAH.PL

cojesterane

empik.com

CINEMA CITY

cfili

Radio 2ET



SCENY PRYWATNE IZABELA SZYMAŃSKA

Teatr biz czy art?

Co piąty teatr w Warszawie to teatr prywatny. O wyjątkowej formule nieznanej poza stolicą. Nowe sceny oprócz spektakli oferują na przykład zniżki w hotelu Marriott. Bilety rozchodzą się na pniu. Jak długo potrwa to zainteresowanie?



Z pomysłem otwarcia prywatnego teatru Krystyna Janda wychyliła się jako pierwsza

Tomasz Karolak otwiera właśnie (26 marca) Teatr IMKA – to szósta prywatna aktorska scena w stolicy. W budynku dawnej YMCA, w którym mieściła się pływalia, a obecnie znajduje się Centralny Basen Artystyczny, rozpocznie działalność premierą spektaklu „O północy przybyłem do Widawy... czyli Opis obyczajów III” w reżyserii Mikołaja Grabowskiego. Karolak jest jednym z producentów spektaklu i jednym z aktorów w nim grających. Otwarcie następuje w momencie, kiedy jeszcze nie uichły dyskusje wokół najbardziej spektakularnej inauguracji prywatnej sceny, czyli Teatru 6. Piętro Michała Żebrowskiego i Eugeniusza Korina na szóstym piętrze Pałacu Kultury i Nauki. Na swój debiut wybrał „Zagraj to jeszcze raz, Sam” Woody’ego Allena z Kubą Wojewódzkim w roli głównej.

Sceny prowadzone przez aktorów to nowe zjawisko nie tylko na tle teatrów instytucjonalnych, ale także w porównaniu z istniejącymi już od lat scenami prywatnymi. Mamy przecież Teatr Studio Buffo założony przez Janusza Józefowicza i Janusza Stokłosę (w 1992 roku) czy rewiowy Teatr Sabat Mał-

gorzaty Potockiej (istniejący od 2001 roku). Jednak w ich repertuarze znajdują się głównie spektakle muzyczne i od początku działalności miejsca te są traktowane jako bardziej rozrywkowe niż stricte artystyczne. Założyciele tych teatrów nie próbują walczyć z tym wizerunkiem. Z kolei właściciele aktorskich teatrów prywatnych zapewniają, że im właśnie zależy na sztuce. I chcą być konkurencją dla scen państwowych.

Dokąd iść?

Spektakle tam prezentowane pokazują jednak, że tylko teatry Polonia i Och-Teatr, czyli sceny Krystyny Jandy i Marii Seweryn, mają w swoim programie zapisane ryzyko artystyczne. Stworzyły bardzo szeroką propozycję. Polonia (działająca od 2005 roku) daje spektakle na podstawie nowych tekstów (pierwsza premiera – „Stefcia Ćwiek w szponach życia” Dubravki Ugresić), monodramy na poważne współczesne tematy („Ucho, gardło, nóż” Vedrana Rudan – o kobiecie dręczonej wspomnieniami wojny bałkańskiej), rzadko wystawiane sztuki klasyczne („Grube ryby” Michała Bałuckiego), hity z Krystyną Jandą (le-

gendarna już „Shirley Valentine” czy „Boska!”), a także przedstawienia na podstawie specjalnie napisanych dla nich sztuk („Miłość ci wszystko wybaczy” Przemysława Wojcieszka). Wypączkowany niedawno z Polonii Och-Teatr (czynny od stycznia 2010 roku) gra spektakle dla dzieci („Zielone zoo”) bądź organizuje koncerty, na przykład Marii Peszek. Nie wszystkie ich produkcje są udane, jednak trzeba przyznać, że na obie sceny aktorki mają bardzo wyraziste pomysły i konsekwentnie je realizują.

Bardziej blade wypadają przy nich Teatr Kamienica Emiliana Kamińskiego (otwarty w 2009 roku) i Capitol Anny Gornostaj (działa od 2008 roku). Kamienica to teatr, który prezentuje repertuar głównie „warszawski”: przedstawienie o Ordonce, o powstaniu warszawskim oraz farsy z Emilianem Kamińskim. Z kolei Capitol zaczął ambitnie „Bajkami robotów” na podstawie książki Stanisława Lema, ale zaraz pojawiły się spektakle z gwiazdami tanecznych programów z TVN czy próba przeniesienia serialu na scenę – „Smak Mamrota” jako teatralna wersja „Rancza”.

Wyraźnie, i chyba najbardziej komercyjnie, wygląda program sceny Michała Żebrowskiego. Jego pomysły to wystawianie sprawdzonych sztuk przez popularnych wykonawców. W inaugurującym działalność teatru spektaklu „Zagraj to jeszcze raz, Sam” oprócz Wojewódzkiego wystąpili Anna Cieślak (znana z komedii romantycznych), Małgorzata Socha (seriale), Michał Żebrowski (narodowe superprodukcje) i nestor Daniel Olbrychski (wiadomo).

Kawałek luksusu

Mimo że premiera u Żebrowskiego nie jest artystycznie udana, zainteresowanie publiczności jest ogromne – wszystkie bilety wyprzedane do maja. Co przyciąga widzów? Wydaje się, że na razie prawo nowości i powiew luksusu. Wizyta w prywatnym teatrze jest trochę jak gadżet: mam mieszkanie na osiedlu strzeżonym, samochód za roczną pensję, więc i rozrywkę też chcę mieć luksusową. Budynki teatrów są odnowione, zadbane, dla widzów przygotowane są eleganckie fotele, strefy VIP. Nawet za wejściówkę można mieć kawałek przyjemności – poduchę z wyhaftowanym logo teatru. Stylem nie odbiegają od miejsc, w których widz pracuje czy jada. Bilety bywają drogie (szczególnie w Teatrze 6. Piętro – od 80 do 150 złotych), ale za luksus trzeba płacić.

Właściciele prywatnych scen pokazują, że do prowadzenia teatrów można spokojnie stosować zasady marketingowe. Michał Żebrowski, zanim założył Teatr 6. Piętro, skończył studia w tym kierunku. Krystyna Janda zatrudniła doskonałego dyrektora Romana Osadnika, który prowadzi biznesową część teatru. Aby się utrzymać, muszą wykorzystywać chwytły, do których teatry państwowe w większości nie przywiązują aż tak dużej wagi. My-

Śluchaj też „Wiadomości” w Radio 24

FOT. DONAT BRYKZYŃSKI/REPORTER, BARTOSZ BOBKOWSKI/AG



Znany z serialu „39 i pół” Tomasz Karolak wypływa na szersze wody. W budynku Centralnego Basenu Artystycznego otwiera Teatr IMKA

śleć o spójności wizerunku, wykorzystywać nowe nośniki reklamy: filmiki w serwisie YouTube, profile w portalach społecznościowych, plachty reklamowe na budynkach, hasła reklamowe wyrażające ich misję, na przykład „Teatr 6. Piętro – wyższy poziom teatru”. Muszą też szukać metod, które będą kojarzyły się tylko z nimi. Polonia wymyśliła sposób na przywiązanie widza do siebie poprzez siedzenie. Przed otwarciem teatru można było kupić u nich fotel – do jego oparcia przymocowana jest tabliczka z nazwiskiem darczyńcy, który kupując bilety na kolejne spektakle, zawsze może usiąść na swoim miejscu. Teatr 6. Piętro oferuje swoim widzom zniżkę na nocleg w pobliskim hotelu Marriott. Obowiązuje ona w weekendy, w które są grane spektakle; cena za pokój – 250 złotych. Przy zakupie biletu dostaniemy także 20 procent zniżki na gastronomię w tymże hotelu.

Mimo to nie ludźmy się – polskie teatry prywatne nie są spełnieniem snów o samofinansującej się kulturze. Po prostu nie są wolne od pieniędzy państwowych czy miejskich ani na poziomie budynków, ani produkcji. Krystyna Janda sprzedała własny dom i za półtora miliona kupiła nieczynne kino Polonia, jednak większość prowadzących teatry wynajmuje sale bądź je dzierżawi. Przy scenach działają fundacje starające się o granty dofinansowujące kolejne premiery. Wprawdzie Teatr 6. Piętro deklaruje, że chce utrzymywać się wyłącznie z pieniędzy prywat-

nych, ale zanim rozpoczął działalność, salę teatralną w Pałacu Kultury i Nauki wyremontowało mu miasto Warszawa za blisko 700 tysięcy złotych.

Biznes czy sztuka?

Jeśli trwający od pięciu lat wysyp aktorskich teatrów się utrzyma, scenom tym będzie coraz trudniej, bo z powstaniem każdej kolejnej wymagania widzów też będą rosły. Wydaje się, że drogi rozwoju są dwie. Pierwsza to pójście w stronę coraz bardziej wysublimowanych działań komercyjnych – wymyślanie kolejnych dodatków do teatru, które zwabią widza, zapraszanie gwiazd wiodących prym w rankingach popularności, a jednocześnie trzymanie krytyki z dala od siebie; Michał Żebrowski zaprosił dziennikarzy, żeby pokazać im swój teatr, ale już nie recenzentów, aby ocenili spektakl. Ten gest zdaje się mówić, że takie produkcje nie chcą analiz ani komentarzy, bo mimo hasła reklamowego nie zależy im na budowaniu wyższego poziomu czy wpisywaniu się w nurt tego, co obecnie dzieje się w polskim teatrze. Taka strategia prowadzi jednak prostą drogą do uprawiania teatru wyłącznie rozrywkowego jako alternatywy dla telewizyjnego sitcomu. Powstaje scena, z którą nikt się nie liczy i która szybko zamienia się w biznes.

Druga droga to ryzyko artystyczne. Jednak obawiam się, że tak jak w polskim biznesie, tak w polskim teatrze niewiele będzie stać na odważniejsze posunięcia.

ESEJ

Pamflecik na pamflecistę

Mam wrażenie, że Jacek Sieradzki* dawno rozwiązał zagadkę, czym jest teatr: I tego mu nie zazdroszczę

POLEMICZNIE MACIEJ NOWAK



ZPAMFLETEM JACKA SIERADZKIEGO MOŻNA rozprawić się łatwo. Wystarczy wyłuskać nonszalanckie uwagi typu: „miła panienka od biletów”, „hałaśliwy rock” czy „holdowanie poprawności politycznej”, a ustawi to autora w samym centrum ciepłutkiego bajorka reakcji. I właściwie zwolni od formułowania argumentów polemicznych. Ten styl sam się kompromituje. Ale przecież nie o to chodzi. Z Jackiem Sieradzkim podszczypujemy się nieustannie już prawie 30 lat i nieustająco wiemy też, że gdy przyjdzie poważnie porozmawiać, poglądy nasze stają się zadziwiająco zbliżone. Tak jest również i tym razem, albowiem Sieradzki to obserwator precyzyjny i większość jego spostrzeżeń godna jest uwagi.

Fundamentalne znaczenie ma konstatacja, że polski teatr rozpadł się na przynajmniej dwa obiegi. Mamy oto teatr artystyczny (zwany również festiwalowym, bo na festiwalach w dużym stopniu weryfikuje swoją wartość) oraz teatr komercyjny (gdzieniegdzie obrazowo zwany bulwarowym). Pamflecistę niepokoi, że ten ostatni pozostaje nieopisany, że hity typu „Klimakterium” czy „Cholonek” nie zyskały większego odzewu w znanych mu mediach specjalistycznych.

Po pierwsze, nie stoi na przeszkodzie, by Jacek Sieradzki zabrał się do ich uwieczniania. Zastanawiam się tylko, czy redakcja „Przekroju” zdecyduje się na stały felieton poświęcony tego typu repertuariowi. Opis dokonań aktorskich Kuby Wojewódzkiego* z radością przyjmie „Życie na gorąco”, ale czy z kolei redaktor naczelny miesięcznika „Dialog” zdecyduje się tam publikować? I czy na pewno pasjonują go sceniczne ekscesy naszych celebrytów? Bo nie ma co zakazywać ludziom tego typu wrażeń, ale powiedzmy sobie szczerze, że 6. Piętro czy Capitol teatrami artystycznymi nie są. Są tylko do teatru ludzako podobne, że sparafrazuję Andrzeja Chłopeckiego opisującego kompozycję Zbigniewa Preisnera. Tak samo sitcom nie jest dziełem filmowym, a czytała Katarzyna Grocholi – wielką prozą.

• Między nami dobrze jest?

W POPRZEDNIM NUMERZE „PRZEKROJU” opublikowaliśmy tekst Jacka Sieradzkiego pod tytułem „Pamflecik na zadowolonych, czyli między nami świetnie jest”. Autor podważa dominujące w środowisku teatralnym przekonanie – podtrzymywane przez część mediów – że od niepamiętnych czasów nie było tak dobrze w polskim teatrze, że przeżywa on jakoby złoty okres dzięki nie tylko wybitnym realizacjom i sukcesom zagranicznym, ale także frekwencji widzów. Zdaniem Sieradzkiego z tym „pięknym mirażem gwałtownie rozjeżdża się rzeczywisty obraz życia sceny”, na któ-

ry składają się między innymi „chaos hierarchii wartości”, „absolutyzowanie wąsko adresowanych eksperymentów”, „wrzucanie rzycałtem do śmieci” całej scenicznej produkcji popularnej, zbyt duża zależność teatrów od dotacji, a zbyt mała od widzów.

Dziś z tezami Sieradzkiego polemizuje Maciej Nowak, krytyk, wydawca, działacz teatralny, ongiś głośny dyrektor Teatru Wybrzeże, obecnie dyrektor Instytutu Teatralnego w Warszawie. W następnym numerze głos Jacka Kopcińskiego, redaktora naczelnego miesięcznika „Teatr”.

→ Zróznicowanie obiegu kultury jest faktem, z którym nie wypada dyskutować. To elementarz współczesnego intelektualisty i westchnienia typu: „Chciałbym znów nabrać przeświadczenia, że spotykamy się wszyscy wieczorem w teatrze...”, niczego nie zmienia. Nie spotykamy się już w s z y s c y wieczorem w t y m s a m y m teatrze. Takiego teatru już nie ma. Kiedyś, owszem, był. Na jego scenie oglądaliśmy prapremiery „Wesela” Wyspiańskiego, „Dziadów” Swinarskiego czy „Kartoteki” Różewicza. Na przestrzeni ostatnich dwóch dekad wszystko się jednak rozsypało. Teatrów, podobnie jak literatur, muzyk, kanałów telewizyjnych i kinematografii, istnieją dziesiątki, setki, tysiące. I każdy odbiorca kultury w tym gąszczu musi znaleźć swoje ścieżki. Czy w przeszłości zamienia się one znowu w autostrady wiodące do wielkich wspólnotowych wzruszeń? – trudno orzec; dzisiaj na pewno Generalna Dyrekcja Dróg Kultury nie jest nawet planowana.



Małgorzata
Hajewska-
Krzysztofik
w „(A)pollonii”

PODZIELAM WĄTPLIWOŚCI ODNOŚNIE DO MIĘDZYNARODOWEJ wymiany teatralnej. Też nie lubię wielkich festiwali dla burżuazyjnej publiczności, które z wydarzenia artystycznego przemieniają się w rytuał utwierdzenia pozycji finansowej i społecznej elit, a często wręcz stają się formą luksusowej turystyki kulturalnej. Ale jednocześnie trzeba mieć świadomość, że tylko w takich warunkach możliwe jest dzisiaj przygotowanie megaprodukcji typu „(A)pollonia” Krzysztofa Warlikowskiego. Poza wielkimi festiwalami nikt nie dysponuje podobnie astronomicznymi budżetami. Ponieważ przedsięwzięcia tego rodzaju powstają jako wynik współpracy wielu podmiotów z wielu krajów, nasze media nie mają żadnego wpływu na ich recepcję. Możemy być tylko zachwyconymi konsumentami sukcesów zadekretowanych przez międzynarodową opinię publiczną. Czy jednak w imię małosłownej potrzeby wyrażenia votum separatum przez lokalne autorytety mamy zrezygnować z niewyobrażalnych możliwości, jakie otwierają przed polskimi artystami kuratorkami wielkich festiwali? Tym bardziej że tylko w ten sposób mają szansę powstać dzieła niepoddane presjom politycznym i koniunkturalnym?

Dobrze, że dotknęliśmy tematu małej aktywności teatrów artystycznych. Ale to nie artystom poprzewracało się w głowach, jak sugeruje pamfletista. Po pierwsze, są teatry artystyczne, gdzie praca aż furczy. By się o tym przekonać, zajrzyjcie do Starego w Krakowie, Polskiego we Wrocławiu, Polskiego w Bydgoszczy, Jaracza w Łodzi, Słowaka w Krakowie, Współczesnych we Wrocławiu czy w Szczecinie bądź Szaniawskiego w Wałbrzychu. Oczywiście zdarzają się sytuacje skrajne, na które zwróciła ostatnio uwagę Joanna Szczepkowska.

Co dzieje się jednak z innymi scenami? Zamiast z punktu obrażać wszystkich, może jednak uwierzyć, że rzeczywiście brakuje pieniędzy na eksploatację, a o popłataniu świadczą raczej zachęty wielu samorządowców, by teatr utrzymywał się sam i pozyskiwał

sponsorów? Pokrycie kosztów spektaklu z wpływów z kasy zdarza się wyłącznie w teatrach bulwarowych, gdzie niskoobsadowe tytuły grane w konwencjonalnych dekoracjach potrafią się zbilansować. Spróbujcie jednak w tych warunkach realizować wielki repertuar dramatyczny. Każdy wieczór z Shakespeare’em, Czechowem czy Słowackim generuje stratę, której sfinansowania nie przewiduje się w dotacjach.

A JEŻELI NAWET ZNAJDZIE SIĘ I NA TO SPOŚÓB, PAMIĘTAJMY, że żywot tytułu artystycznego to średnio 50 powtórzeń (na tyle planowane są premiery National Theatre w Londynie). W przypadku wielkiego sukcesu ta liczba dochodzi do setki na przestrzeni dwóch-trzech sezonów, co jest statystyką niższą średnio o połowę w stosunku do przebojów okresu PRL-u („Dziady” Konrada Swinarskiego zagrano 319 razy, „Bieś” Andrzeja Wajdy – 173, a „Ślub” Jerzego Jarockiego – 94 razy). Czy to jest dziwne? Identyczna tendencja nastąpiła na rynku książki. Niedysyjesze wielkie nakłady radykalnie spadły, jednak skompensowane to zostało nieporównanie większą liczbą wydawanych pozycji.

I tutaj ujawnia się istota problemu: teatry dysponujące środkami na trzy-cztery produkcje w sezonie nie są w stanie zapełnić afisza codziennymi spektaklami. Powinny przygotowywać przynajmniej dwa razy więcej premier, co zapewniłoby zarówno systematyczność grania, jak i miałyby zbawienny wpływ na temperaturę procesu twórczego. Ale na to pieniędzy brakuje, więc wiele teatrów zamienia się w artystyczne zamrażarki. I nie jest to specyfika wyłącznie tak zwanego nowego teatru obecnej dekady. Zaobserwowaliśmy je po raz pierwszy na początku lat 90. w repertuarach publikowanych na łamach tygodnika „Goniec Teatralny”. Nie było wtedy końca żartom, że głównym tytułem grywanym na polskich scenach była pozycja „Nieczynne”.

Z argumentami Jacka Sieradzkiego można by dyskutować jeszcze długo. Dlaczego artyści uciekają od tradycyjnego układu sceny włoskiej na rzecz sztucznie spiętrzonych widowni i małych sal typu studio? Bo w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat nie zbudowano w Polsce ani jednej dużej sali typu studio, a tylko w niewielu teatrach udało się uzyskać trwałą architektonicznie widownię amfiteatralną. Po co to robić? Bo taka jest estetyka współczesnego teatru, takie jego środki wyrazu. Formułowanie z tego zarzutu jest przekroczeniem kompetencji krytyka. Nawet jeśli swój autorytet buduje przypomnieniem, że jest już w wieku „postudenckim” i nie chce mu się ganiać po strychach.

Teatry mają środki na trzy produkcje rocznie, więc nie potrafią zapełnić afisza codziennymi spektaklami i zamieniają się w artystyczne zamrażarki

Czy rzeczywiście sens teatru artystycznego sprowadza się do zaspokajania wygody i potrzeb publiczności? Relacje między artystą a widzem bywały na przestrzeni stuleci zmienne, nikt nie jest tu bezapelacyjnym suwerenem. Fascynująca za to zawsze była dynamiczna relacja między tymi dwiema stronami zdarzenia artystycznego. Nie narzucajmy sztuce teatru swoich wyobrażeń, obserwujmy raczej jej rozwój, niż rozliczajmy ze wspomnień z młodości.

Dopiero w tym momencie dotykamy czegoś, z czym w wydaniu Jacka Sieradzkiego pogodzić się nie umiem. Nigdy nie umiałem i nigdy nie będę umiał. Nie jestem bowiem w stanie zaakceptować jego protekcyjnego tonu, pouczeń, trosk i pedagogicznych uśmiechów. Ja naprawdę nie wiem, czym teatr jest, a czym nie jest. Każde wyjście do teatru to nadzieja na zaskoczenie i kolejne przybliżenie do odpowiedzi na to pytanie. Jacek Sieradzki robi wrażenie, jakby tę zagadkę rozwiązał już dawno. I tego mu wcale nie zazdroszczę.

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Złotouści i kapuściane głowy „Super Pan Owoc” i „Martha Washington” pokazują, że amerykańscy prezydenci sprawdzają się w roli bohaterów komiksu

Pracuje w „Daily Planet”, jest znanym reporterem i mieszka w zatłoczonej metropolii. Nie, to nie Superman, tylko Klark Kęć. Nie cieszy się powodzeniem u kobiet, walczy z zadyśką i ekstremalną nadwagą. Aż pewnego dnia ktoś daje mu czerwoną pelerynę i magiczną pomarańczę, która zmienia go w Super Pana Owoca walczącego ze złem. Tak rozpoczyna się surrealistyczna, uszczypliwa, inteligentnie napisana wizja Ameryki autorstwa Nicolasa de Crécy’ego znanego u nas głównie z „Dziadka Leona”, a także z filmu animowanego „Trio z Belleville”, którego był dyrektorem artystycznym.



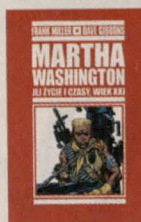
WSPÓLNOTA MIĘDZYNARODOWA ZOBOWIĄZUJE SIĘ DO FAWORYZOWANIA ROLNICTWA EKOLOGICZNEGO ORAZ PRZYJAZNE WAM PRAWA WYBORCZE.



Nicolas de Crécy „Super Pan Owoc”, Timof Comics, Warszawa 2010, s. 320, 75 zł

De Crécy umiejętnie łączy francuskie poczucie kulturalnej wyższości z poczuciem humoru wolnym od moralizatorstwa i nadejścia. Kpi z jankeskiego obżarstwa, zamilowania do sensacji, ulegania modom i podatności na marketingowe manipulacje. Dworuje też z amerykańskich świętości – postaci superbohatera oraz urzędu prezydenta USA. W drugiej części komiksu „Super Pan Owoc” pojawia się Bill Clinton. Tanimi aktorskimi zagrywkami nakładania do powrotu na Ziemię zbuntowane dwa i warzywa, które postanowiły uciec na rodzimą planetę Owocus. Clinton jest tu antypatycznym cwaniakiem. Doskonale wie, jak posługiwać się demagogiczną nowomową, by uzyskać cel. „Owoce i warzywa podobne są do pańskich wyborców, panie prezydencie” – mówi książę owoców do amerykańskiego przywódcy. Czyżby wyborcy mieli kapuściane głowy? Choć na okładce komiksu Nicolasa de Crécy’ego krągi prezentuje otyły heros, to jednak Clinton jest najbarwniejszą postacią tej historii.

Podobnie dzieje się w serii „Martha Washington” wydanej właśnie w postaci zbiorczego albumu. O ile de Crécy jest świetnym karykaturzystą, o tyle scenarzystę „Marthy...” Franka Millera możemy nazwać wręcz wizjonerem albo co najmniej utalentowaną wróżką. W komiksie stworzo-



Frank Miller (scenariusz), Dave Gibbons (rysunki) „Martha Washington: jej życie i czasy, wiek XXI”, Egmont, Warszawa 2010, tom 1, s. 248, tom 2, s. 352, 220 zł (za komplet)



nym na początku lat 90. opowiada historię z gatunku political fiction, w której Ameryka staje w obliczu wojny domowej. Miejsce konserwatywnego prezydenta ucisza- jącego z pomocą wojska wszystkich wrogów USA zajmuje nowy przywódca o lewicowych poglądach. Zapewnia wszystkich, że dąży do polubownych rozwiązań, a w 2010 roku (!) otrzymuje... Pokojową Nagrodę Nobla! Cóż, Miller pomylił się tylko o rok, no i nie zgadza się kolor skóry prezydenta. Za to tytułowa bohaterka jest czarna. „Martha Washington” nie stanie się chyba ulubionym komik-

sem Obamy, gdyż u Millera lewicowy prezydent nie radzi sobie z władzą, a USA pogrążają się w chaosie. Jednocześnie scenarzysta wyciąga na wierzch wiele autostereotypów i jest do bólu niepoprawny politycznie, pokazując dość kuriozalny konflikt między frakcją gejowskich rasistów a kowbojami nacjonalistami z Teksasu. Obydwa komiksy można śmiało polecić jako lekturę przed polską kampanią prezydencką. Kupić, przeczytać, postawić na półce, a potem przeżyć raz jeszcze, zanim odbędziemy wycieczkę do urn.

REKLAMA



OFF PLUS CAMERA
przedstawia

Bierzcie i Kręćcie!

Zbierz ekipę i nakręć fabułę

Sfilmuj wyznanie miłosne za pomocą komórki

Zrób krótki film lub relację z wydarzenia

Do wygrania 3 000 \$ w każdym z konkursów, nowe komórki oraz zaproszenie na Festiwal OFF PLUS CAMERA oraz Warsztaty Filmowe CINEMAX do Krakowa.

Więcej na www.offpluscamera.com/konkursy

RMF

cinemax

PRZE KROCI

gazeta

onet.pl

tvn





ŻYWCEM ODGRZEBANY

Jak myślisz, ilu naprawdę Polaków
cokolwiek wie o Witkacym?

– Chyba niewielu... Miał skomplikowany życiorys, twórczość trudną, wieloznaczną... Na przykład kto poza specjalistami wie cokolwiek o Witkacym w Rosji czy w Australii? Więc pomyśl, żeby wyobrazić sobie jakiś dalszy ciąg Witkacego, że niby przeżył II wojnę...

Do filmu o tym dalszym ciągu zaraz wrócimy. Na razie pytam, zresztą i samego siebie, czy dziś istnieje jakiś problem Witkacego. W latach 60., 70., kiedy naprawdę się go odkrywało, miał swoje pięć minut, grało się go w teatrach, wychodziły jego książki, pisano o nim, wystawiano rysunki i obrazy. A teraz? W teatrach prawie zanikł, z książek do wydania są już tylko dalsze tomy listów do żony.

– Ja mam o tyle problem, że obracam się w środowisku uniwersyteckim, gdzie Witkacy to już klasyk i właściwie coraz mniej da się o nim powiedzieć, bo wiele powiedziano. Na przykład wyszła teraz fundamentalna księga Janusza Deglera „Witkacego portret wielokrotny”. Tyle że interpretacji czy nowych odczytań tam prawie nie ma, sama dokumentalistyka. Z Witkacym jest ten kłopot, że jego głównie fascynowała „czysta forma”, więc interpretować w tradycyjnym sensie słowa właściwie go nie należy, tylko odkrywać jakieś „napięcia kierunkowe”, gry z tradycją literacką, ze schematycznymi emocjami, które budzą w nas poszczególne sytuacje międzyludzkie. Spróbujmy współczuć tytułowej Matce ze sztuki Witkacego, że ma podłego syna, a wyjdzie z tego „Ballada o Januszkę”! Trudno znaleźć coś z tak zwanego życia. Może najbliższe są „Szewcy”, dlatego najczęściej grywani. Reszta to same zawile sprawy. Te przeżycia

TO JEST ZWYKŁY
WKONIAZROBIZM
– MÓWI **JERZY JARZĘBSKI**
O FILMIE „MISTYFIKACJA”
JACKA KOPROWICZA,
KTÓRY WŁAŚNIE WCHODZI
DO KIN,
A KTÓREGO BOHATEREM
JEST WITKACY

metafizyczne, bardzo dla niego ważne, to nadal intelektualna abrakadabra. A jak mało się rozumie z jego twórczości, to i mało z postaci, choć jego biografia to chyba ostatnia sfera budząca emocje.

Był z natury wielkim prowokatorem, wciąż coś podważał, ośmieszał, proponował nowe reguły. Obchodzi to kogoś jeszcze?

– Obawiam się, że prowokacje artystyczne już nie, obyczajowe tym bardziej...

Przeżuliśmy go już całkiem i wypuliliśmy?

– Powiedziałbym ostrożniej: to nasze pokolenie i to trochę wcześniejsze przeżyło i przeżyło Witkacego. Co będzie dalej, nie wiem. Ale prace nad rozpoznaniem Witkacego powoli jednak się kończą i takich entuzjasmów może nie być.

Co w takim razie znaczy pojawienie się filmu, gdzie dopisuje się Witkacemu domniemany ciąg dalszy życiorysu? Wiadomo – i jest na to wystarczająco dużo mocnych dowodów – że Witkacy popełnił samobójstwo 18 września 1939 roku i że miało to psychiczny związek z wkroczeniem dzień wcześniej Armii

Czerwonej do Polski. Tymczasem opowiada nam się bajkę o osiemdziesięcioparoletnim pisarzu i malarzu, który jakoby przeżył i przez dwadzieścia kilka powojennych lat ukrywa się w mieszkaniu swojej ostatniej kochanki. Na dowód pokazuje się jakieś pocztówki pisane przez niego po wojnie, sztuczną szczękę... Że to niby-sensacja na światową skalę.

– Prawdopodobieństwo tej historii jest żadne, ale mnie dosyć ubawiła inna rzecz, skądinąd mało ten film nobilitująca. Otóż jest to Witkacy poniekąd z punktu widzenia IPN. Pokazany przez ubeckie papiery i ubecki sposób potraktowania życiorysu; w końcu ubek jest jakby narratorem filmu. Interesuje go głównie życie erotyczne Witkacego, popijanie alkoholu, fałszerstwa...

...Witkacy rysuje pastelowe portrety swojej gospodyni-kochanki, antydatując je na lata 30., ona je później zanosí do Desy...

– ...efekt taki, że Witkacy robi się kompletnie nieistotny od strony, powiedzmy, intelektualnej. Tam nie ma ani jednego ciekawego konkretnego dotyczącego jego życia duchowego, żadnego ważnego zdania. Przecież trudno za nadzwyczajne osiągnięcie umysłowe uważać słowotwórczą wyliczankę określającą systemowe łgarstwo: kłamizm, oszukizm, wkoniazrobizm czy co tam jeszcze. To bardzo zabawne i faktycznie witkacowskie, ale jako działalność intelektualna na miarę całego filmu dosyć wątle... A przecież sam temat fascynujący. Wielki wizjoner, katastrofista przeżywa katastrofę, która go miała unicestwić, przed którą chciał uciec w samobójczą śmierć, przewidując zagładę swojego świata wartości. A tu psikus losu i przeżywa. I teraz pojawia się wielkie pytanie: co taki człowiek miałby →





Stanisław Ignacy Witkiewicz z jedną ze swych przyjaciółek, wielokrotnie przezeń portretowaną Nena Stachurską, podczas wycieczki do Czorsztyna w 1931 roku. Na pierwszym planie „pyffko”

→ do powiedzenia, znalazłszy się w piekle, przed którym chciał uciec? A on nie ma nic do powiedzenia, tylko goni za panienkami. No, ale takie refleksje musiałby mu ktoś napisać. Łatwo wymyślić kłamizm, głębszą myśl niekoniecznie.

– Tyle że Witkacy erotoman niespecjalnie mnie interesuje.

Za to pewnie interesuje potencjalnych widzów i tu można zrozumieć autorów filmu. Więc, drogi Jerzy, chyba się nie nadajemy. Co zrobić z tą wiedzą o Witkacym, którą raczej niesłusznie mamy, bo znacznie przeszkadza w bezkrytycznym chłonięciu dzieła Koprowicza? Z tym na przykład, że ów starzec erotoman w rzeczywistości już w latach 30. był schorowanym impotentem? W filmie rażno biega po górach, a naprawdę już przed wojną miał kłopoty z nogami i podpierał się laską. W 1969 roku, kiedy dzieje się akcja filmu, raczej leżałby w jakimś domu starców karmiony tyżką i sikający do kaczki.

– Rażno biega, bo gra go nasz rówieśnik i kolega z roku polonistyki. A ile lat mamy i na co nas jeszcze stać, to my najlepiej wiemy. Pani Jadwiga Witkiewiczowa, żona, w ostatnich latach życia niemal w ogóle już nie wstawała z łóżka, a tu lata po domu i ulicy jak młoda kózka. Pomijam już techniczny drobiazg, że Czesława Oknińska, ta kochanka, która Witkacego jakoby ukrywała, mieszkala wtedy w ciasnej warszawskiej kawalerce, a nie w paropokojowym mieszkaniu, gdzie Witkacy mógł się swobodnie chować przed kimś niepowołanym. Jako osoba samotna w ówczesnym PRL w życiu by takiego nie dostała.

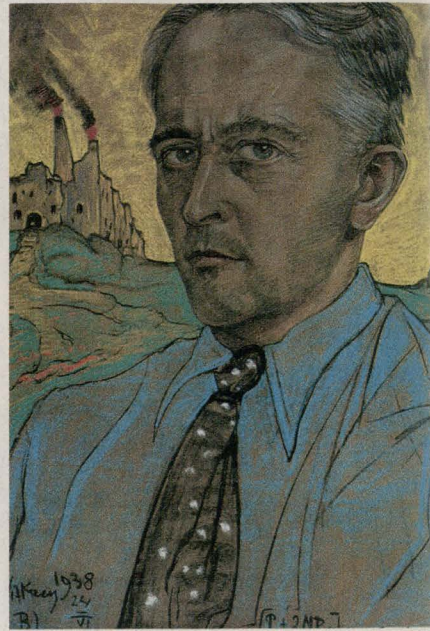
– Pomijając inny drobiazg: w tamtych czasach ubek podejrzewający, że w mieszkaniu ktoś nielegalnie się ukrywa, nie miałby najmniej trudności z tak zwanym przeszukaniem lokalu. Nie musiałby jak jakiś złodziej wspinać się pokątnie po balkonach.

A pamiętasz, co tam było na tym balkonie Oknińskiej? – Mnóstwo pustych butelek po piwie. Które jakoby Oknińska przynosiła z knajpy, gdzie odbywał się stały rytuał – zamawiała nieotwieraną pełną flaszkę i zamiast

Jerzy Jarzębski, 63 lata, historyk literatury, krytyk, profesor Wydziału Polonistyki UJ (a także wykładowca w Instytucie Polonistyki Państwowej Wyższej Szkoły Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu). Ulubiony przedmiot twórczości krytycznej – współczesna proza polska, międzywojenna i powojenna. Ulubieni pisarze – Witold Gombrowicz, Bruno Schulz, Stanisław Lem. Od 2008 roku członek jury Nagrody Mediów Publicznych „Cogito” w dziedzinie literatury pięknej. Laureat między innymi Nagrody Fundacji im. Kościelskich (1985) i Nagrody im. Kazimierza Wyki (1991). Opublikował kilkanaście książek krytycznoliterackich, w tym „Grę w Gombrowicza” (1982), „Powieść jako autokreacja” (1984), „W Polsce, czyli wszędzie. Studia o polskiej prozie współczesnej” (1992), „Pożegnanie z emigracją. O powojennej prozie polskiej” (1998), „Podglądanie Gombrowicza” (2000), „Wszczęświat Lema” (2002), „Gombrowicz” (2004), „Prowincja centrum. Przypisy do Schulza” (2005), „Natura i teatr. 16 tekstów o Gombrowiczu” (2007).



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl



Autoportret z roku 1938. Pastel na papierze, 70,3 x 50,4 cm. Muzeum Górnośląskie, Bytom

niej zostawiała pustą, tamtą wynosząc w torebce dla Witkacego. Zagadka: ile pustych butelek powinno być w domu? – Hm... Jedna?

No właśnie. Ale nawet nie w tym rzecz. Przecież taki alternatywny życiorys naprawdę mógłby być ciekawy. Tyle że byłby o wiele ciekawszy, gdyby opleść go wokół rzeczywistych faktów, a nie tak okropnie sfałszowanych. Tajemnicze prawdopodobieństwo tego życia po życiu zwiększyłoby się znacznie i nawet tacy jak my, którzy coś wiemy o Witkacym, daliby trochę się nabrać i uciechy byłoby więcej.

– Tych absurdów jest tyle, że włosy dęba stają. Bo niby jak on się całą wojnę ukrywał u Oknińskiej jak jakiś Żyd w szafie? A niby dlaczego później miałby też siedzieć u niej potajemnie, jakby go mafia szukała? On z tym swoim szalonym temperamentem i ciągłym gonieniem z miejsca na miejsce? Do tego w latach, kiedy był jako twórca u szczytu popularności! Ja bym naprawdę chętnie wybaczył te bzdury faktograficzne, przecież świadomie użyte, bo nie posądzam twórców o zwykłą niefrasobliwość, gdyby przynajmniej ten Witkacy cokolwiek ciekawego miał do powiedzenia. Ale nie ma. Składa się z paru wygłupów skopiowanych z przedwojennej biografii i niczego więcej.

Więc może ten film nie jest wcale dla nas, ale właśnie dla tych, co o niczym nie mają pojęcia? Im przecież i tak będzie wszystko jedno, byle się akcja żwawo toczyła.

– No tak, ale co oni z tego wszystkiego rozumieją? Jakiego Witkacego zobaczą? Jest tam w filmie taki choćby wątek – zagadkowy i otwierający jakąś inną perspektywę. Myślę o Jerzym Zawieyskim. Zawieyski, znany pisarz, wtedy poseł na Sejm, wygłasza w mar-

cu 1968 roku odważne przemówienie w obronie bitych studentów. Zostaje strasznie zrugany politycznie, SB „demaskuje” go jako homoseksualistę. Zawieyski dostaje zawału, na wpół sparaliżowany leży w szpitalu i w tajemniczych okolicznościach wypada przez okno. Co miał ten wątek w filmie znaczyć? Że w tamtych czasach pisarz powinien był przyjąć na siebie rolę ludowego trybuna i zginąć na umownej barikadzie, a miejsce takich niepasujących do rzeczywistości artystowskich dziwaków i obsesjonistów jak Witkacy było u baby w szafie?

To mogło też być wyprowadzone z prawdziwej międzywojennej historii Witkacego. Wtedy do „społeczeństwa” nie pasował i potem też nie. Pomijając, że polityką generalnie się nie interesował. Jako oryginał, skrajny indywidualista stanowił świat sam dla siebie, osobny i niepodległy. Z jedną różnicą – wtedy mógł swobodnie tę swoją niezależność manifestować – choć mało kto go rozumiał – a w komunizmie musiałby siedzieć cicho za szafą. Ale chyba coś tu przekombinowaliśmy. Nie sądzę, żeby Koprowicz jako scenarzysta i reżyser aż tak to widział.

– Najgorsze jest to, o czym już parokrotnie mówiliśmy. Ten Witkacy jako taki w ogóle niepotrzebnie żyje. Bo co to za życie – być najwyżej żetoniem w rozgrywce między dwoma kobietami, żoną i kochanką? Na jego miejscu chyba spróbowałbym drugi raz popełnić samobójstwo...

Narzekamy jak dwa dziady starsze od Witkacego. Ale czy coś dałoby się powiedzieć na obronę tego dziwnego filmu, co to jest ni pies, ni wydra?



Witkacy w filmie Koprowicza nie ma nic do powiedzenia. Składa się z paru wygłupów skopiowanych z przedwojennej biografii

JERZY JARZĘBSKI

Jedynym powodem jego powstania wydaje mi się sensacja. Oto jeden z bohaterów naszej zbiorowej historycznej wyobraźni pojawia się w sytuacji, w jakiej na pewno ani on, ani my byśmy się nie spodziewali. Nie zajmuje nas ani to, co ma do powiedzenia, ani czy w ogóle coś ma do powiedzenia. A nawet to, jak było naprawdę, tylko sama hipotetyczna fabułka – co by było gdyby. Udowodnić się niczego nie da, ale zabawnie pomyśleć. Pamiętasz ten wiersz Symborskiej o Baczyńskim?

Tym, co to lata po wojnie siedział sobie w stołówce pensjonatu dla literatów gdzieś w górach i czekał na zupe, a tu go wołają do telefonu? I nikt nie zwraca na niego uwagi?

Bo w końcu o co chodzi, jeden z wielu poetów, którzy tu od lat przyjeżdżają.

– No właśnie. Też taki alternatywny życiorys. Co by było, gdyby nie zginął w powstaniu warszawskim? Kogo obchodziłby gruby, stary Baczyński jedzący rosół z makaronem?

Chyba że pisałby nadal te swoje niezwykle wiersze... Ale Baczyński kompletny improduktyw?

– To, że Witkacy Koprowicza nie ma nam nic do powiedzenia, to jedno. Ale może jest i tak, że my też nie mamy dla niego żadnej roli do odegrania? □

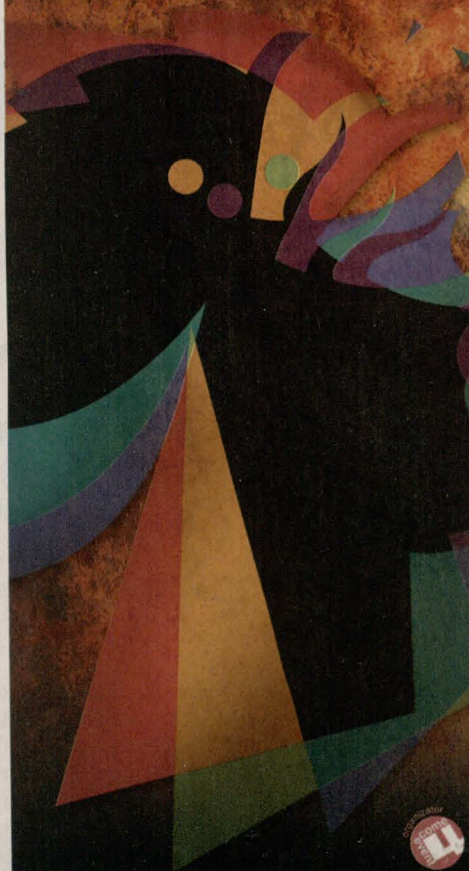
Esbek na tropach Stasia

Jerzy Stuhr kontra Maciej Stuhr

„MISTYFIKACJA” W REŻYSERII Jacka Koprowicza (twórcy pamiętnego „Medium”) opowiada o funkcjonariuszu SB, który szukając haków na opozycyjnego pisarza, trafia na trop dużo bardziej fascynującej historii. Pewna kobieta w Zakopanem przekonuje go, że Witkacy przeżył wojnę. Esbek rozpoczyna poszukiwania kryjówki malarza, a ślady prowadzą do dawnej kochanki Witkacego Czesławy Oknińskiej. Gra ją Ewa Błaszczyk, Witkacego – Jerzy Stuhr, a tropiącego go agenta Maciej Stuhr. Wynik aktorskiej rywalizacji ojca i syna to 0:1. Film ma premierę 26 marca, dystrybuje go Syrena. □

TV5MONDE

FRANCO
PHONIC
FESTIVAL 4
WARSZAWA



19 - 29 MARCA 2010

ROKIA TRAORÉ 3A3YLOON CIRCUS
SLIMY / FIERRE CRÉCY SPEED CARAVAN
MAGIE MOBELLE KAREN / BERRY / GAZA KULKA
CHOPIN INSPIRE GAINSBOURG
JANE IRKIN, BERRY, CLAUDE DUNHAM, SHOLIK, JAGODZIŃSKI TRIO, GAZA KULKA

WWW.FRANCOPHONIC.PL



OTWÓRZ
oczy

SZTUKA PAWEŁ STREMSKI

A TO POLSKA WŁAŚNIE

– LUBIĘ SOBIE MALOWAĆ – MÓWI SKROMNIE MARCIN MACIEJOWSKI, KTÓREGO PIERWSZA TAK DUŻA WYSTAWA OTWIERA SIĘ WŁAŚNIE W KRAKOWSKIM MUZEUM NARODOWYM. A MY LUBIMY OGLĄDAĆ, BO NIE DOŚĆ, ŻE W JEGO OBRAZACH WIDZIMY SAMYCH SIEBIE, TO JESZCZE WSZYSTKO JEST TAKIE... ŁADNE

Na początek rada – już rezerwujcie wolne weekendy i kupujcie bilety do Krakowa, bo wystawa Maciejowskiego w tamtejszym muzeum narodowym to wydarzenie roku. Jego obrazy pokazuje się w Polsce skandalicznie rzadko (jedynym wyjątkiem jest „Przekrój” publikujący prace Marcina Maciejowskiego co tydzień, dowodu proszę szukać na stronie 45), dlatego wielka – ponad sto płócien – ekspozycja to prawdziwe święto. Nie pożałujecie. I nie będę was przekonywał banałami, że „Maciejowski to jeden z najważniejszych współczesnych polskich malarzy”, bo jego sztuka nie potrzebuje taniej reklamy. „Tak jest” – mówi do nas Maciejowski w tytule wystawy. – Popatrzcie, przejrzyjcie się – zdaje się dodawać. A my stajemy przed tymi obrazami i czujemy, że skądś to wszystko znamy. Bo są tam nasze fascynacje i lęki, nasze demony i nasi idole. Polskość w pigułce.

(Tu i teraz, tam i wtedy)

Maciejowski maluje tak, jak Masłowska pisze. Jest tak samo rozpoznawalny i niepodrabialny. Czerpie garściami ze wszystkiego,

co go otacza – kolorowych pism (przez lata korzystał z wycinków z „Super Expressu”), filmów, zdjęć i folderów reklamowych. Przetwarza to, co już przetworzone, cytuje cytaty i lepi z tego obraz nas samych przez pryzmat tego, co czytamy, czego słuchamy i co oglądamy. Maciejowski nie ocenia, a jedynie pokazuje sceny z życia – nie tylko tego prawdziwego, ale też tego, w którym bierzemy udział wyłącznie jako widzowie. – Maluję krótko i na temat. A przynajmniej tak chciałbym malować – mówi w rozmowie z „Przekrojem”.

Jako pierwszy, a tak naprawdę jako jedyny, Maciejowski przeniósł na płótno polską rzeczywistość lat 90. Uchwycił w kadrach to, czym żyliśmy, to, jacy byliśmy. To obraz kolorowy, lecz nie cukierkowy. Widać na nim wszystkie nadzieje, ale też frustracje, słabości i małości. Jednego jednak nikt nam nie odbierze – jest nasz. Po latach trudno powiedzieć, czy to Maciejowski patrzy na tamte czasy naszymi oczami, czy to już my patrzymy na nie „obrazami” Maciejowskiego.

Kilka prac z tamtego okresu zobaczycie na krakowskiej wystawie. Poznać je z daleka. Im starsze, tym bardziej kolorowe, krzykliwe, przerysowane. Tak jak krzykliwa i przerysowana była w latach 90. erupcja kolorów w sklepach, w reklamach →

„Chcę pogadać
(Scarface)”,
2004.
Nie dajcie się
zwieść, to nie
brazylijski
serial, tylko
„Człowiek
z blizną”





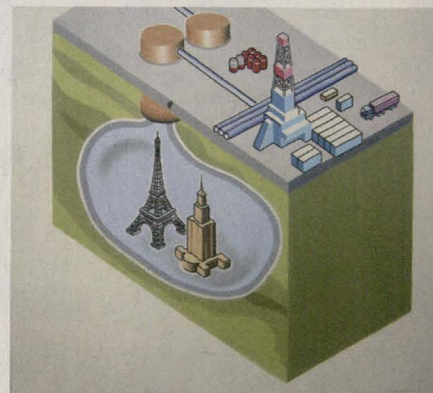
„ABC”, 2000.
Ale czego?
Propozycje
wpisujcie w profilu
„Przekroju”
na Facebooku

CHCĄC NIE CHCĄC, STAŁ SIĘ NAJLEPSZYM SOCJOLOGIEM WŚRÓD MALARZY I NAJLEPSZYM MALARZEM WŚRÓD SOCJOLOGÓW. DZIŚ ŚWIAT PATRZY NA POLSKĘ JEGO OCZAMI

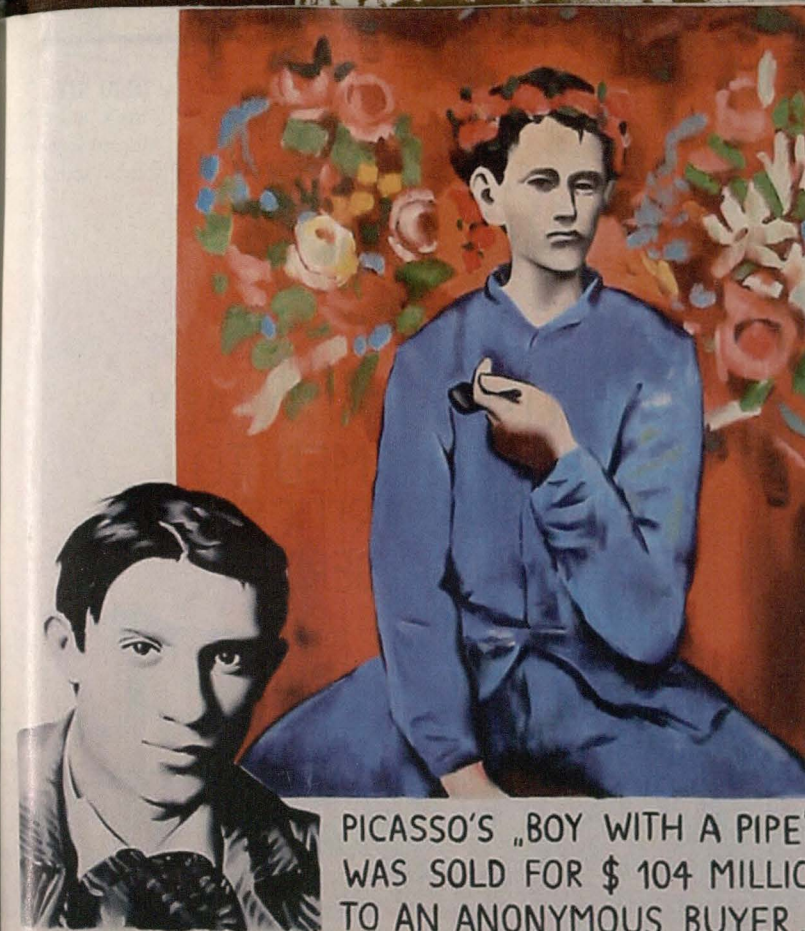
→ i w gazetach. Maciejowski, wtedy student architektury, a później Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, przyglądał się nacierającej popkulturze nie tylko z fascynacją, ale i z dystansem. Podobnie jak jego krakowscy koledzy Wilhelm Sasnał i Rafał Bujnowski. Opowiadać ich historię to opowiadać historię młodej polskiej sztuki w ogóle. Tworzą Grupę Ładnie opartą na zgrywie, koleżeńskich fascynacji i imprezowym szaleństwie. Ale łączy ich też wspólny antyakademizm, chęć wychodzenia ze sztuką do ludzi, potrzeba ciągłego reagowania na to, co dzieje się dookoła. Robią sztukę o sobie i dla siebie. Maciejowski zakłada „Słynne Pismo we Wtorek”, które kseruje i sprzedaje znajomym. Rysuje w nim komiksy oparte na zdjęciach z gazet. Później wiele z nich przenosi na płótno. Rodzi się unikalny, artystyczny język. Inny od bardziej symbolicznego i oszczędnego języka Sasnała i bardziej

konceptualnego języka Bujnowskiego. Obrazy Maciejowskiego nie mają w sobie nic z akademickiego wyrafinowania. Są do bólu prawdziwe, a jednocześnie umowne i fantastycznie plastyczne. Atakują kolorem, grubymi pociągnięciami pędzla. Na pierwszy rzut oka ocierają się o banal. Sztukę Maciejowskiego i Grupy Ładnie określa się jako pop-banalizm.

Między innymi dlatego, że większość jego prac przypomina komiksy. Dymki z tekstem, podpisy – to nie jest coś, czego spodziewalibyśmy się po „normalnych” obrazach. Maciejowski wymieszał gatunki – to, co popularne, z tym, co elitarnie. W niezwykle sposób połączył obraz i tekst, który jest dla tych płócien tym, czym grecki chór dla antycznej tragedii. – Piszę na obrazach, jeśli czuję, że trzeba – opowiada. – Nie wybieram tematów, po prostu jeśli coś zobaczę, wiem, że będzie z tego dobry obraz →



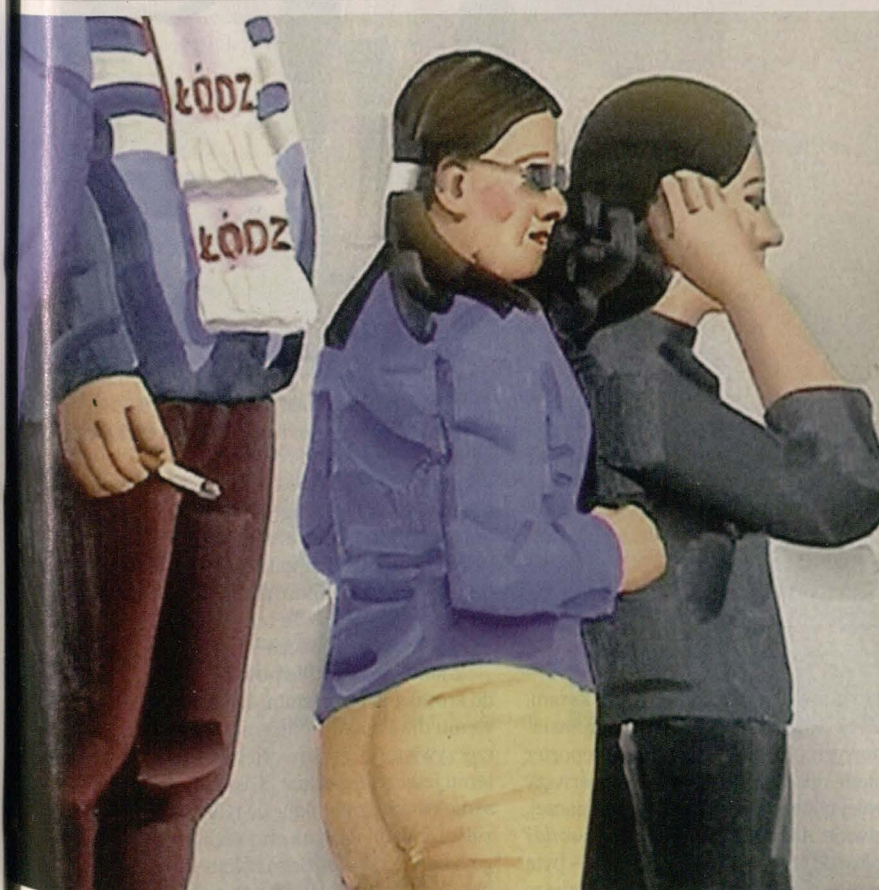
„Podziemny magazyn”, 2006.
Język mediów
w służbie sztuki



PICASSO'S „BOY WITH A PIPE” WAS SOLD FOR \$ 104 MILLION TO AN ANONYMOUS BUYER.

To jest, jak widać, „Chłopiec z fajką» Picassa” (2004) namalowany przez Maciejowskiego

„Kazanie V. Przeżyliśmy najazd szwedzki”, 2006.
Nasza rzeczywistość bywa banalna, ale i groźna zarazem



„Chuligani”, 2002. Kibole byli jednymi z ulubionych bohaterów artysty. Ci najwyraźniej nie słyszeli o zakazie palenia na stadionach



„Kostium (Tadeusz Kantor – Teatr Cricot 1974)’”, 2005.
Dziś to artyści są ulubionymi bohaterami Maciejowskiego



→ – mówi Maciejowski w nielicznych wywiadach. Intuicja go nie zawodzi. Dostaje łatką najbardziej „polskiego” ze wszystkich młodych artystów. I rzeczywiście, obrazy Maciejowskiego z przełomu wieków są bardzo „tu i teraz”, a w zasadzie „tam i wtedy”. Maluje idoli polskiej masowej wyobraźni – upokorzonego Gołotę („Gołota Polak ze złota”), Andrzeja Leppera, a później ojca Tadeusza Rydzika – ale też zwykłych ludzi – bohaterów głupawych artykułów z tabloidów, dresiarzy, kiboli. Ta „swojskość” staje się jego znakiem rozpoznawczym. Świadomie lub nie kreuje stereotypowy wizerunek Polaka, mieszkańca Polski B. Takie obrazy przyciągają uwagę Zachodu. Maciejowski staje się popularny w Niemczech i Austrii, gdzie do dziś wystawia się go częściej niż w Polsce. Czy Niemcy i Austriacy (a przynajmniej ci interesujący się sztuką) patrzą na nas oczami Maciejowskiego?

Jednak Maciejowski wymyka się z szuflady z napisem „Polska”. – Przestałem się intereso-

wać polityką – tłumaczy. Na wystawie zobaczycie to wyraźnie. W nowszych obrazach nie przygląda się już tak bardzo nam, jak przygląda się sobie. Te prace są dużo bardziej wyrafinowane, realistyczne i stonowane. Można odnieść wrażenie, że nie interesuje się już masowymi fascynacjami. Może nie ma już czym? Może wszystko zostało już powiedziane?

(Naiwny w świecie sztuki)

– O czym lubisz teraz malować? – pytam. – O kondycji współczesnej kobiety – odpowiada. Na nowych obrazach niechym fotoreporter łapie w kadr młode dziewczyny. Nie pierwszy raz w swojej twórczości, ale tym razem inaczej, mniej naiwnie. *Are you really from the art world?* (Czy naprawdę jesteś ze świata sztuki?) – pyta starszego mężczyznę jedna z bohaterek nowego obrazu. Czy to sam Maciejowski zastanawia się nad swoją pozycją? Czy wyraża zdumienie tym,

„Ten realizm jest trywialny”, 2009! Na wystawie Maciejowskiego jest dużo ciekawiej

jak szybko wszyscy się zmienili i jak zmienił się on sam? Jak długą drogę przeszedł od rozdawania artzimu na krakowskim Kazimierzu do wystaw w wiedeńskich galeriach i sprzedawania obrazów za tysiące euro? Sam ma do „art worldu” spory dystans. – To brzmi jak nazwa jakiejś krainy – mówi z uśmiechem.

Z kolei cykl „VIP” to powrót Maciejowskiego do kronikarskiej działalności. Przygląda się nowemu dla Polaków odcieniowi popkulturowej rzeczywistości, świata celebrytów, który 10 lat temu jeszcze nie istniał. Koktajle, bankiety – te same twarze, zmieniają się tylko sukienki i fryzury. Dokładnie jak na obrazach Maciejowskiego – bohaterki z każdego kolejnego płótna z cyklu „VIP” niewiele się od siebie różnią.

Wśród obrazów zebranych na wystawę przez kuratorkę Goschkę Gawlik wyróżniają się też te,

„VIP (A.H.)”, 2008. Kogo kryje inicjał? Co za różnica



na których artysta zajmuje się samą sztuką i jej postrzeganiem. Niedokładnie odmalowuje słynne obrazy i rzeźby, bo tak je widzimy „naprawdę”. Pokazuje, że jest jednym z nas – patrzy na sztukę z naiwnością, niektóre rzeczy wyolbrzymia, innych nie zauważa. Dlaczego miałby tego nie robić, skoro tak się właśnie dzieje, skoro „Tak jest”?

(Jak tu malować?)

Przy całym zachwycie nad sztuką Maciejowskiego nie mogę nie zadać sobie i jemu pytania: co dalej? – W Polsce znajdują więcej tematów. Tam jest raczej nudno – mówi Maciejowski w 2002 roku Marcie Karpińskiej z galerii Zderzak po powrocie ze stypendium w Leverkusen. Porównuje jego obrazy z ostatnich 10 lat i zastanawiam się, czy dzisiaj mógłby powiedzieć to samo? Czy dzisiejsza Polska, cokolwiek by mówić, dużo bardziej normalna, a przez to dużo nudniejsza, jest jeszcze dla Maciejowskiego jakąkolwiek inspiracją? Przypomnijcie sobie słynny czarnobiałą billboard Maciejowskiego „I jak tu teraz żyć?”, z którego patrzyła na nas siedząca przy herbacie „typowa polska rodzina”. Czy gdyby powstał teraz, nie patrzyłby z niego sam Maciejowski, a pytanie nie brzmiałoby „I jak tu teraz malować?” □

Autor prowadzi blog Art.blox.pl

„Resovia biegnie na żydów ze Stali Rzeszów”, 2002. Maciejowski zawsze uważniej niż mecze obserwował rozgrywki



Resovia biegnie na żydów ze Stali Rzeszów



„Byliśmy szczęśliwi”, 2002. To prawdziwa sztuka robić sztukę ze zdjęć z tabloidów

REKLAMA

mnk
MUZEUM
NARODOWE
W KRAKOWIE

PZU
MECENAS MUZEUM
NARODOWEGO W KRAKOWIE

patronat medialny

TVP KRAKÓW

RADIO KRAKÓW
Małopolska

PRZEKROJ

gazeta
WYDRZECIA.PL

art
& BUSINESS

Sztuka.pl

onet.pl

magazyn KRAKÓW

Cosmo-life

krakow POST

KUŹ NO KUŹ

artinfo.pl

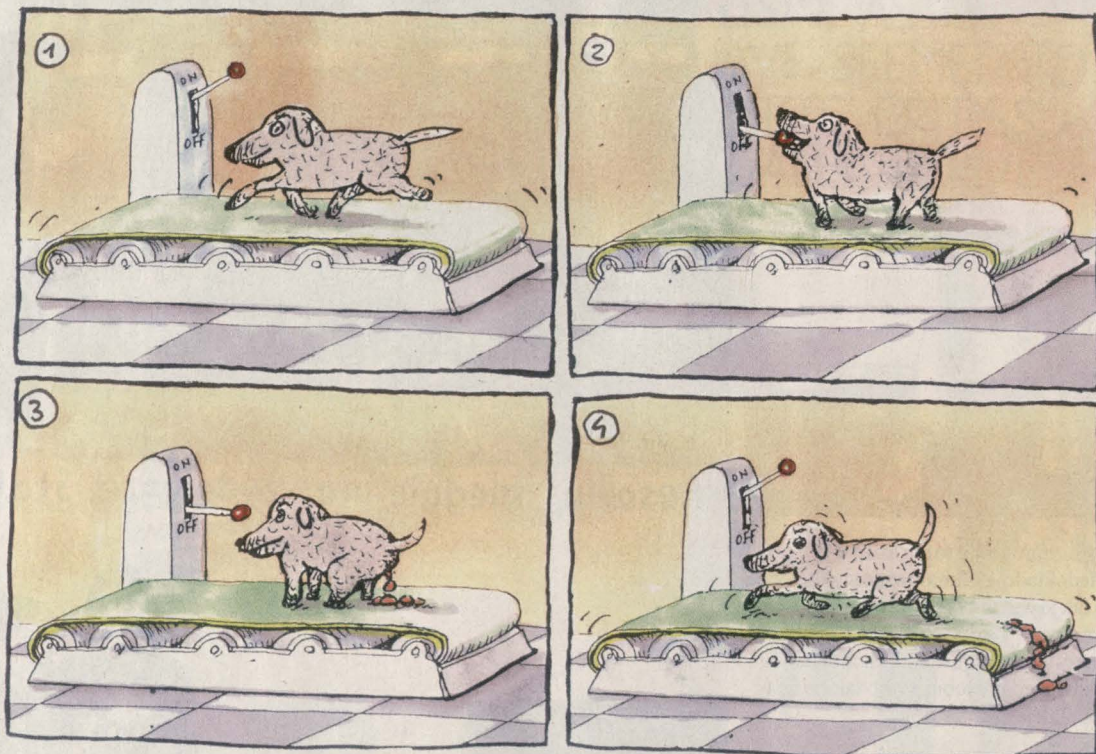
ams

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

PAN SZARY PRZYGLĄDA SIĘ DZISIEJSZEJ I WCZORAJSEJ MŁODZIEŻY, KURKIEWICZ ZNÓW PODSŁUCHUJE, A KRZYŻÓWKA TWIERDZI, ŻE NOGAMI DO PRZODU TO KANKAN

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Młodzieży chowanie, czyli czym skorupka nasiąknie, tym nie traci

„CZUJĘ, ŻE WIELE ZŁA, KTÓRE dzisiaj obserwujemy, to skutek zgnilizny, którą serwuje się współczesnemu pokoleniu w młodych latach” – Szara była pewna, że to znowu Marek Jurek dał o sobie znać, by w wyborach prezydenckich osiągnąć choć jeden procent głosów. Niestety, okazało się, że to cytaty z I.B. Singera, autora „Opowiadań dla dzieci”, który przecież i dzieci, i młodzież kochał. Czy żyło kiedyś pokolenie, które nie narzekałoby na zepsucie pokolenia niżej? Które by nie

mówiło, że „tak źle to jeszcze nigdy nie było”? Które by nie wróżyło końca świata, gdy to straszne młode pokolenie w końcu dorosnie? Które nie uważałoby, że nieustąpienie miejsca w autobusie spowoduje, że leniwy młodzian, którego bolą nóżki, w wieku męskim udusi swoją żonę, a dzieci pokroi na drobne plasterki? Czy przez całe lata 60. politycy (w tym jednym zachodni byli zgodni z komunistami) nie nakłaniali młodzieży do obciążenia włosów, by jak najmniej

przypominała Beatlesów? Czy rodzice nie zabraniali córkom wykonywania biodrami ruchów à la boski Elvis? Dekadę później wraz z poszerzeniem nogawek poszerzyło się też, rzecz jasna, zepsucie; włosy i spódnice były dłuższe i dłuższa była lista skarg. Lata 80. pokazały jednak, że nie ma prostej zbieżności między krojem odzieży a niemoralnością – nogawki znowu były wąskie (podobnie jak punkowe czuby na głowach), a degrengolada taka jak jeszcze nigdy dotąd. Matki odnotowywały w swoich pasmanteryjnych puzderkach nagłe zaginięcia agrafek, które znajdowały u latorośli całkiem nietypowe zastosowanie. Czarny lakier na paznokciach i czarny makijaż zdradzały niechybnie, że zamiast pić

tanie wino, ewentualnie wdychać jakieś niezdrowe substancje, młodzież odprawia czarne msze, obdzierając piwniczne koty ze skóry. Lecz wtedy przynajmniej wszystko było jasne. Dziś, gdy na niedzielny obiad do córki przychodzi luzak rasta i rodzice nieśmiało sugerują dziewczynce, by jej kolega może coś zrobił z włosami, ta w poniedziałek przyprowadza zupełnie łysogo kumpla, by we wtorek ostatecznie dobić ich fanem Charlesa Mansona. Wszystko stało się migotliwe, wymagające od rodziców śledzenia mody, Internetu czy muzyki w stopniu dużo głębszym niż prawyborów w PO. To, co jednego dnia jest na topie, następnego staje się obciachem. Jak to mówiła u Canettiiego właścicielka (jednej!) □

idealnie wyprasowanej spódnicy: „To nie do uwierzenia, jakie zuchwałe są teraz dzieci (...). Każda dziewczucha z fabryki musi mieć nową kieckę”. Dlatego śledzić trzeba także zmiany u swoich dzieci, bo gdy jednego dnia twoja córka jeszcze bawi się Barbie, następnego sama jest już dużą Barbie. Pozory często mylą, bo przecież to, że na Open’erze wszyscy wyglądają jak wyjęci z grzecznego folderu H&M, jeszcze nie oznacza, że nie dzieją się tam „gorsze rzeczy” niż w Jarocinie. – Socjologowie niepotrzebnie używają miliony słów, by młodzież usystematyzować – powiedziała Szara. – Śpiewając (i celnie) opisała ją Marysia Sadowska: „Chcemy tylko tańczyć i milczeć”. □

JOLKA NR 12

AUTOR: JERZY BUCZEK

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12
A						R						S
B		Ł									L	
C			R									
D					I		K					
E						R						
F	R							S		E		
G			K						I			
H		Y									A	
I					F							
J		I										
K									C			

WYRAZY 9-LITEROWE:

• BIELINKOWE
• DZIECIĘ NA KAPUŚCIANEJ
• WYJEŻDŻAJĄ
• W STYCZNIU

WYRAZY 8-LITEROWE:

• PROSIMY POWTARZAĆ
• PO PÓŁNOCY
• ZNÓW BĘDZIE
• SZCZUREM
• ODBIJA SIĘ
• W TYGRYSIE
• CZTERY KĄTY,

PIEC PIĄTY,

TELEFON SZÓSTY
• SZKLANE
• MAGAZYNEK
• CO TAM, PANIE,
• W EKLIPTYCE?

WYRAZY 7-LITEROWE:

• OD NADMIARU
• ŻABEK
• W BIAŁOWIESKIM RAJU
• ELEKTRYZUJE
• SYBERIĘ
• WIADOMA RZECZ
• NAD WISŁĄ

WYRAZY 6-LITEROWE:

• PRZEPEŁNIA SOSENI
• UGOTOWANY NIE DLA
• NAGRODY

WYRAZY 5-LITEROWE:

• PRZERABIANE NA
• POLAKU • W ANIELSKIEJ
• CZŁOŁWCE • PANNY
• NA BROSZACH • TŁUMY
• W CYLINDRACH

WYRAZY 4-LITEROWE:

• PROKURENCI Z ŁYSEJ
• GÓRY • SZKOTA PRATATA

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

D9 _J11 _F5 _A10 _I3 _G8 _B7 _C12 _C10 _H5 _I10 _K10 _I1 _E10 _A8 _/A4 _C4 _B9 _J4 _K5 _B5 _F12 _E4 _

LAUREACI Z NR. 8

KRZYŻÓWKA:

Ewa Nosowicz, Toruń; Romuald Pohl, Zduńska Wola; Ewa Ślósarczyk, Wrocław; Magda Wojaś, Niepołomice; Colette Zielińska, Bielsko-Biała

JOLKA:

Ewa Hiper, Częstochowa; Jerzy Kaptur, Tomaszów Lubelski; Anna Pojda, Rybnik; Wiesław Pyżewicz, Zielona Góra; Barbara Zych, Warszawa

THE BOX. PUŁAPKA, CZYLI NIEMORALNA PROPOZYCJA

Kino-teatrzyk PRZEMKA JURKA

WYSTĘPUJĄ:

TAJEMNICZY MĘŻCZYZNA

oraz ON & ONA

TAJEMNICZY MĘŻCZYZNA (prezentując nie mniej tajemnicze urządzenie):

– Jeśli naciśnięcie ten oto przycisk, dostaniecie milion dolarów, ale jednocześnie spowodujecie czyjąś śmierć. Co wy na to?

ON (hamletyzuje)

ONA (naciska przycisk)

TAJEMNICZY MĘŻCZYZNA (pada na zawal, wypuszcza z rąk otwartą walizkę i obsypuje ją oraz jego używanymi banknotami o niskich nominalach)

KURTYNA opada z satysfakcją

Skargi posłów polskich
Ten dialog nie miał miejsca. Nie mógłby mieć. W żadnym razie. A jednak pierwsze zdanie padło. A potem nic, tylko spadły kolejne

ROMAN KURKIEWICZ

Posel Mularczyk: Panie marszałku, a pan poseł Niesiołowski powiedział mi, że bym spadał!

Pan Marszałek: Ale dokąd ma pan spadać, panie posle?

Posel Mularczyk: Ależ to nie chodzi o to dokąd, tylko że w ogóle mam spadać!

Pan Marszałek: A jeśli pan nie wie, dokąd ma pan spadać, to skąd akurat pan wie, że w ogóle?

Posel Mularczyk: Nie chodzi o to, że w ogóle, tylko że mam spadać! Tak się do posła nie mówi, bo to osłabia autorytet parlamentu całego!

Pan Marszałek: To, że pan ma spadać, oczywiście zdaniem posła Niesiołowskiego, ma osłabiać autorytet całego parlamentu?

Posel Mularczyk: Tak.

Pan Marszałek: Jeśli całego, to posła Niesiołowskiego też?

Posel Mularczyk: No, ale to nie o to chodzi...

Pan Marszałek: Pan protestuje przeciwko osłabieniu autorytetu posła Niesiołowskiego? Czy dobrze rozumiem?

Posel Mularczyk: Niczego pan nie rozumie!

Pan Marszałek: Ja niczego nie rozumiem? Ja, marszałek? Czy pan nie osłabia autorytetu parlamentu? Ależ w ten sposób osłabia pan swój autorytet równocześnie!

Posel Mularczyk: Chodzi o chamstwo!

Pan Marszałek: Nie nazwałbym pańskiego zachowania chamstwem, choć osłabia pan autorytet parlamentaryzmu polskiego...

Posel Mularczyk: Nie ja!

Pan Marszałek: Jak to nie pan? Kiedy pan mówi, to nie mówi tego pan?

Posel Mularczyk: To Niesiołowski!

Pan Marszałek: Kiedy pan mówi, to mówi tak naprawdę Niesiołowski? Dziwne...

Posel Mularczyk: Nie! Kiedy ja mówię, to nie mówi Niesiołowski, tylko kiedy mówię Niesiołowski, to jest chamstwo!

Pan Marszałek: Jak to? Ależ to pan cały czas mówi, a nie Niesiołowski.

Posel Mularczyk: Ale już mówiłem, że to Niesiołowski powiedział mi, że bym spadał!

Pan Marszałek: Ale widzę, że pan się nie przejął tym wcale!

Posel Mularczyk: Właśnie się przejąłem!

Pan Marszałek: Gdyby się pan naprawdę przejął, toby pan spadł.

Posel Mularczyk: Panie marszałku, pan sugeruje, że bym spadał?

Pan Marszałek: No gdzie ja? Przecież od kilkunastu minut usiłuję mi pan wmówić, że to Niesiołowski, a teraz mnie pan w to miesza? Wiem co prawda, na co pana stać, ale to przesada!

Posel Mularczyk: Co to znaczy, że pan wie, na co mnie stać?

Pan Marszałek: Nic ponadto, co znaczy. Spada pan czy nie?

Posel Mularczyk: Ja, ja...

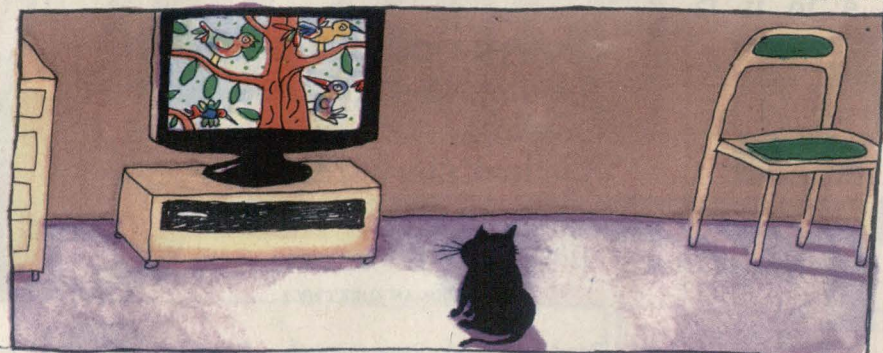
Pan Marszałek: No pan, pan... chyba mówię. Przecież nie Niesiołowski. Albo pan siadaj, albo pan spadaj.

Posel Mularczyk: To ja spadam i powiem, już ja wiem, komu powiem!

MYŚLNIK

Między pytaniem a odpowiedzią pojawia się czasem podpowiedź.

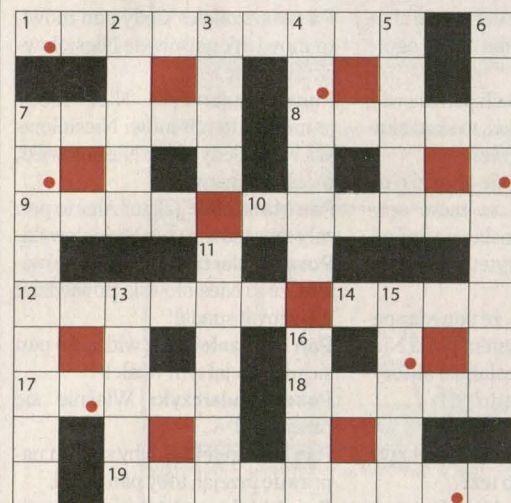
Krzysztof Bilica



Kto ogląda w nocy filmy o ptakach?

KRZYŻÓWKA NR 12

PRZYGOTOWUJE: ZESPÓŁ KALIBER 45



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl



stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. CHCE NIE
7. CZĘŚĆ ŚWIATA
8. DAWNO I NIEPRAWDA
9. PO KOSZTACH
10. NOGAMI DO PRZODU
12. GANI GARA
14. WZIĄĆ 30 ZA 50
17. RAKIETA
- POWIETRZE ZIEMIA
18. NA PŁYTCIE MIECZYSŁAWA FOGGA
19. DIABLI NADALI

PIONOWO:

2. POLSKA NA PLECACH
3. WALEŃ POLNY
4. ŻÓŁTY SER
5. W POSIADANIU BRATA OJCA
6. PYTA LUDZI, CZY SĄ RAZEM
7. NIE LADA SKLEPOWA
11. CZŁOWIEK Z PITBÓLEM
13. MASZ BABO
15. ARCH
16. BIEGNIJE W MARATONIE

ROZWIĄZANIA Z NR. 10

KRZYŻÓWKA: RENTIER

Poziomo: 1. NA OSTRZU NOŻA — PRZYPRAWA
7. NAPRZÓD, MARŚ! — WOJNA 8. KIELICH
JAGIELŁY — SETKA 9. NAD POD BARANAMI — DACH
10. CHARAKTERYZUJE GO PYCHA — FRYKAS 12. JAJA
Z WODY — KAWIOR 14. DUŻO PALI NAD MORZEM — MOŁO
17. CZĘSTO ZMIENIA ZDANIE — WYRAZ 18. REAKCJA
FIZYCZNA — ODWET 19. STRÓJ KAPIELOWY — SKAFANDER
Pionowo: 2. PAN SZARY — ZAJĄC 3. MA KLUCZOWY
WPŁYW NA NADEJŚCIE WIOSNY — PTAK 4. MORZE
W ANDORZE — ABSURD 5. STARA AMERYKANKA
— ANTYK 6. JADA WOZY KOLOROWE — TRANSPORT
7. LIST OTWARTY — WIDOKÓWKA 11. WYDAŁA LISTY
IWASZKIEWICZA — POCZTA 13. GWÓDZ PROGRAMU
— WIRUS 15. EL KONDORA PAS — OBWÓD 16. ROZUMIE
KOD MORSA — FOKA

JOLKA: JEŚLI CHCESZ, ŻEBYM SIĘ
RUSZYŁA, WRZUĆ MONETĘ (Penélope Cruz
w filmie „Otwórz oczy” Alejandra Amenábara)
Rzędami: WILCZEK, UFOLOG, TRUPA, ROZPIĘTOŚĆ,
DRĄŻ, CHMIEL, ANNA, MAŁOPOLSKA, PALEC, JACHTY,
SKRETKA

Kolumnami: WSTYD, REPASĄŻ, LAURA, POŃCZOCHY,
ZRZĄD, MAORYS, KUBIKI, SPÓR, PORTULAKA, NALOT,
MORŚWIN, AKCJA

Wygraj jedną z 10 płyt The Baseballs „Strike”.
Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas
hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO
JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI
na numer 7243. Rozwiązania możesz także
przysłać na kartce pocztowej (decyduje data
stempli) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka
47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem:
„jolka 12” lub „krzyżówka 12”. Na prawidłowe
rozwiązania czekamy do 29 marca 2010. Koszt
SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie:
imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu
stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane
przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo
Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy
ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy
przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego
przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów
bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy
prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich
poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich
przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane
osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom.
Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu
w siedzibie organizatora konkursu.

Stworzona partyzanckimi
metodami estetyka okazuje
się strzałem w dziesiątkę,
do niej odwołują się
teledyski i cała kampania
promocyjna płyty. — Dziś
trudno sobie wyobrazić,
że przedsięwzięcie tej wagi
realizuje się spontanicznie,
bez wcześniejszego planu
— mówi fotograf



KUBA DĄBROWSKI

Para jak z obrazka

Wszyscy znamy płytę Kayah i Bregovicia, wszyscy znamy również tę fotografię. Zrobił ją Jacek Poremba

WARSZAWA, LISTOPAD 1998 ROKU, JACEK POREMBA
ma zrobić zdjęcia do albumu, który Kayah
właśnie nagrała z Goranem Bregoviciem. Fo-
tograf i piosenkarka znają się od dobrych kil-
ku lat, lubią się i ufają sobie. Poremba odpo-
wiada za okładkę jej debiutanckiej płyty „Ka-
mien”, to przed jego obiektywem Kayah ro-
zebrała się dla „Playboya”. — Jacek jest bar-
dzo delikatny. Umie otwierać ludzi — mówi
wokalistka.

Tym razem zadanie wygląda na wyjątkowo
trudne. Rozchwytywany przez media Brego-
vić na sesję znajdzie jedynie godzinę, a na do-
datek Kayah jest w dziewiątym miesiącu ciąży.

— Wiedziałem, że w tym czasie zdążę stworzyć
jedynie półprodukt, punkt wyjścia do post-
produkcji w ciemni — wspomina Poremba.
Decyduje się na minimalne środki: dwa stare
krzesła i czarne aksamitne tło. — W negatywie
czarny jest przezroczysty, najłatwiej wtedy ro-
bić fotomontaże — tłumaczy. Sesja ma się od-
być w dawnej fabryce koronek przy ulicy Bu-
rakowskiej, w pracowni projektantki mody Jo-
anny Klimas. — Nie było wtedy w Warszawie
studiów fotograficznych do wynajęcia.

Zabiegany Bregović spóźnia się, planowa-
na godzina zmienia się w 15 minut. Za spon-
taniczną stylizację służą ubrania z niedawne-

go pokazu Klimas dla Absoluta. Kayah wybie-
ra za duży, ukrywający brzuch płaszcz i chwy-
ta leżący na stole bukiet suszonych kwia-
tów, Bregović dostaje prążkowaną marynar-
kę. Ktoś rzuca, że bohaterowie sesji wygląda-
ją jak młoda para z przedwojennego monidła,
ekipa ochoczo podchwytuje pomysł. Bregović
szytowo patrzy w obiektyw, Kayah robi miny.

Wieczorem Poremba wchodzi do ciem-
ni i ręcznie składając negatywy, domontowu-
je do kadru retro rekwizyty. — Kiedy zobaczy-
łam efekt, byłam zachwycona. Pamiętałam ta-
kie bajkowe scenerie z dzieciństwa — wspomi-
na Kayah.

„Aparat jest w głowie. Nieważne, jak dobry sprzęt masz w rękach, póki nie
zrozumiesz, czego chcesz i o co ci chodzi, nie zrobisz nim nic ciekawego”



JACEK POREMBA

ŁADNE
RZECZY!

Barwne
stuku-puku.
Zapewniamy,
że tymi młotkami
można wbijać
gwoździe także
w białe ściany



Przedmiot
w kwiatki **nie
musi wycinać
kwiatków.**

Na pewno sobie
da radę z taśmą
izolacyjną

Porządek musi być!

W domu, w ogrodzie,
w narzędziach

OLA SALWA

SPRZĄTANIE, WBIJANIE
gwoździ oraz czyszcze-
nie to podobno dobre dla
ducha (ukojenie!) i cia-
ła (ruch!) czynności. Nie
wiem, bo wolę bałaga-
nić. Ale z drugiej strony
jeśli starannie zaplano-
wać wiosenne porządki,
można się chwilowo
zwołać z fantazji o ku-
powaniu karnetu na si-
łownię i regularnym jej
odwiedzaniu. Plan mo-
że wyglądać tak: 10 skło-

nów do wiadra z wodą,
10 posuwistych ruchów
ścierką (powierzchnia
dowolna — okno, rama
drzwi, ściana). Następ-
nie tyle samo przysia-
dów i pompek, aby wy-
czyszczyć też podłogę. Przy
wbijaniu gwoździ wybie-
ramy niski zydelek za-
miast drabiny, ćwicząc
w ten sposób mięśnie ły-
dek. Czy ktoś podniesie
rękawicę? Oczywiście
z lateksu.



Kryształki nie
tylko zdobą, ale także
sprawiają, że dłoń
pewnie uchwyci ten
tasak

Niech was nie zwiedzie róż,
świecidełko i puch. **Te gumowe
rękawice** są przeznaczone nie
na wielkie wyjścia — na bal lub
do teatru, ale na bardzo małe
zwiedzanie kuchni i łazienki



Niektórzy mówią, że słynny smutny ludzik Marka Raczkowskiego oparty jest na profilu i nastroju Jacka Królaka – kto widział obie postaci choć przelotnie, wie, że nawet jak tak nie całkiem było, musiało tak być w sensie ścisłym

JERZY PILCH

12 MARCA

NIE ZAUWAŻYŁEM, KIEDY JACEK KRÓLAK ZNIKNAŁ ze stopki „Polityki”. Teraz z Jego nekrologów widać, że zniknął w ogóle. Trzeba zostawić krakowski Rynek. Jaki był jego ulubiony „rynek”, nie mam zielonego pojęcia; o krakowskim wspominam, bo w Krakowie go poznałem. Piotr Mucharski przyprowadził go na promocję „Spisu cudzołóżnic”.

Rok po Narodzeniu Chrystusa Tysiąc Dziewięćset Dziewięćdziesiąty i Drugi, fantastyczny majowy upał nie tyle na Rynku, ile na Kanoniczej; z Hanulą, Pawłem Huelle i Antkiem Liberą taszczyliśmy jakieś – z heroizmem, bo z pensji w „Tygodniku Powszechnym” kupione – opakowania pałuszków i butelek wina, życie było wieczne.

Z ważnych nieboszczyków na sali byli Broniek Mamoi, Staszek Czycz, Jerzy Turowicz i Jan Błoński, który trzymał centralną mowę. Proszę bardzo! Człowiek niby pielęgnuje własną pychę, nie odpuszcza, a niemal gotów nie docenić, co go za życia spotykało. Z do dziś świetnym zdrowiem cieszących się znakomitości wymienić należy Romana Kurkiewicza, Witka Beresia, Mariana Stałę, gwiazdę ówczesnej „tygodnikowej” korekty Marzankę, i Władę Szymborską.

Kto jest Królak, nie bardzo wiedziałem, ale od razu widać jakąś równie dziwną, co intensywną, no i od razu ten ryj nie do zapomnienia! Niektórzy mówią, że słynny smutny ludzik Marka Raczkowskiego oparty jest na profilu i nastroju Królaka – kto widział obie postaci choć przelotnie, wie, że nawet jak tak nie całkiem było, musiało tak być w sensie ścisłym.

Mówiąc, że „nie bardzo wiedziałem kto”, mam na myśli jego niezgłębienie duchowe; prostą wiedzę, że jest to nierozstający się z reklamówką leków, wielce interesujący grafik, miałem; czytywałem też jego frapujący „Dziennik oka” w „Respublice”. Wystarczy? Aż nadto. Pogłębienia niewskazane, a nawet z natury rzeczy wykluczone.

Tak jest, widywałem Jacka Królaka przelotnie, a i to za dużo powiedziane. Głównie rosła ta postać w opowieściach Mucharskiego.

13 MARCA

PO LATACH PRZENIOSŁEM SIĘ DO WARSZAWY, OBAJ wyładowali w „Polityce”, staliśmy się – jakkolwiek groźnie to brzmi – kolegami z pracy; sprawę trochę ratowało, że Jacek rządził grafiką

w „Polityce” z trzeciego piętra, a ja na swoim, drugim, bywałem rzadko, jednakowoż i to starczyło, byśmy się – głodni kontaktu – jak parze rasowych czubów przystało – omijali z instynktem niezawodnym. W tym samym mieszkaniu, na tej samej Słupeckiej, w tej samej redakcji, z tym samym graniczącym z pomieszaniem zmysłów instynktem samotników. Mogę chyba powiedzieć: zaciekawionych sobą? Nie mnie jednemu Królak zdawał się magnetycznym osobnikiem. Ja z kolei dość miałem sygnałów, że to, co robię, nie jest dla niego – ujmijmy rzecz ostrożnie – całkowicie nieważne.

Dziś osłupiał niedorzecznością jego nazwiska w tak kontrowersyjnym miejscu jak nekrolog próbuję pozorować zdrowie psychiczne i sam siebie pytam: Dlaczego ja z tym facetem nie spotykałem się choćby raz w miesiącu? Dlaczego nie dzwoniliśmy do siebie, nie umawiali na obiady, nie gadali, nie chlali choćby lemoniady? Przecież to byłoby naturalne, logiczne i celowe. Niestety – Jacku – naturalność, logika i celowość to nie są nasze najmocniejsze strony. Raz spędziliśmy parę godzin u Leszków Będzkowskich, zrobili mi okładkę do zbioru felietonów i sam już nie wiem, czy to jest jak w wierszu „bardzo mało”, czy to są Himalaje wspólnoty. Raczej to drugie. A nawet na pewno.

14 MARCA

NIEZŁE JAJA BYŁY Z TĄ OKŁADKĄ. JACEK PRZY CAŁEJ swej wrażliwości, inteligencji i defensywności – a może dlatego właśnie – wzbudzał popłoch. W dobrze skoordynowanej i mocno stojącej na ziemi „Polityce” mniej to było widoczne, a zwłaszcza mniej skuteczne, ale w firmie tak naznaczonej boską – na wszelki wypadek dodaje: uwielbianą przeze mnie – neurotycznością jak Wydawnictwo Literackie – dajcie spokój.

Z „Polityką” Królak miał większy kłopot niż ona z nim, w stabilnych instytucjach wymienialność nawet wybitnych person nie jest jakimś ekscusem, więc przesadne brykanie bywa stratą czasu, nadto radykalne stawianie na swoim naznaczone jest jałowością. Jacek, owszem, niekiedy z osłupieniem przyglądał się swoim redakcyjnym kolegom, jego z natury rzeczy chorobliwie blada twarz wobec niektórych reakcji kierownictwa stawała się – ciężko teraz powiedzieć – trupio blada, ale co tu dużo gadać, tygodnik dawał nie byle jakie pole do działania.

W Wuelu – nawet w przypadku tak jedno-razowego epizodu jak okładka „Upadku człowieka pod Dworcem Centralnym” – było ściśle na odwrót. Broń Boże, nie chcę powiedzieć, że oficyna Małgosi Nyczowej nie dawała Królakowi możliwości, dawała mu możliwości inne, szczerze mówiąc – dla Niego stworzone i dla Niego jedyne.

On nie powinien przychodzić do koncertu na Ochocie, gdzie ochroniarze nie bardzo go poznawali, a wyżej – wobec największych nawet swoich oryginalności – tak czy tak był jednym z wielu.

On powinien – tak jest – jak zwykle zafrasowany i swym życiem wewnętrznym zaabsorbowany – wkraczać do krakowskich biur na Długiej, radosny pisk personelu powinien go witać, sekretarka winna biec z kawą, druga z ciasteczkami, każde słowo winno być zapisywane, każdy gest budzić aplauz, każda decyzja święta. Słowa, gesty, pomysły i decyzje Królaka na takie warunki zasługiwały. Rzecz jasna, utyskiwałem, ale byłby u siebie.

Tymczasem on tam wpadł raz, z jednym pomysłem na jedną okładkę – pisk się rozległ natychmiast, czy muszę dodawać – nie zachwyty, a przerażenia? Śmiertelnego przerażenia zupełnym czubem? Nie muszę.

Szło o drobiazg, ale ponieważ był perfekcjonistą, nie szło o drobiazg. W projekcie – znakomitym – dziś tej okładki nie wychwalam, stała się ona dla mnie ważna w zupełnie niestety innych kategoriach – słowem: w swym projekcie Królak nie bardzo mógł znaleźć miejsce na logo wydawcy; płaszczyzna, skos, perspektywa, te sprawy – nie pasowało mu.

Brak takiego znaczka na okładce ani od lat w świecie, a teraz nawet u nas żadną sensacją nie jest; nie nagminnie, ale zdarzają się takie precedensy – wtedy jednak jak Małgosi Nyczowa usłyszała, że ten psychol z Warszawy, którego Pilch namotał, pyta, czy może na okładce nie być skrótu WL, jak wszystkie te fantastyczne przecież kobiety z Długiej usłyszały, że jest gość, który pyta, czy na książce Wuelu może nie być znaczka Wuelu, jak do takiego horroru doszło – mieliśmy z Jackiem przejebane i ma się rozumieć, byliśmy bez szans. W obliczu Małgosi – niebagatelna jest to pociecha – nie my jedni w dziejach w takiej sytuacji.

Książka ukazała się, rzecz jasna, z logo. Królak szefem grafiki na Długiej nie został. Nie idziemy w południe na krakowski Rynek.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W marcowym numerze
SUKCESU w prezencie
próbka najnowszego zapachu
Dsquared HE WOOD dla niego



SZUKAJ SUKCESU Z ZAPACHEM

VISA

WORLDWIDE PARTNER

Płać kartą Visa i wygraj wyjazd na finał Mistrzostw Świata FIFA w piłce nożnej



Płać kartą Visa. Dzięki temu możesz wygrać wyjazd na finał Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej oraz wiele atrakcyjnych nagród.

Rejestruj swoje transakcje i wygraj!

Odwiedź stronę www.visa.pl i poznaj szczegóły.



Żyje się lepiej. Visa

